

MARC LEVY

W
następnym
życiu

Z francuskiego przełożył
JAN KŁOSOWICZ



Jonathanie,

czy wciąż tak się nazywasz? Rozumiem teraz, jak wiele było spraw, o których nie wiedziałem, i wciąż odpycham od siebie bezmiar pustki otaczającej mnie, od kiedy odszedłeś. Jakże często, gdy samotność zaciemniała moje dni, spoglądałem w niebo, a potem na ziemię, nadal z tym obłądnym poczuciem, że jesteś gdzieś blisko. Tak było przez wszystkie te lata, tyle że już nie mogliśmy siebie widzieć ani słyszeć.

Wydaje się, że gdybyśmy się minęli, jeden drugiego by nie rozpoznał.

Od dnia Twojego odejścia bez przerwy się zastanawiam, odwiedzam mnóstwo miejsc, szukając Ciebie, próbując coś zrozumieć, czegoś się dowiedzieć. I im więcej kart życia się odwracało, tym jaśniej zdawałem sobie sprawę, że to zrozumienie coraz bardziej się oddala, jak w sennym koszmarze, w którym każdy krok do przodu odsuwa nas wstecz.

Przemierzałem bez końca korytarze wielkich bibliotek, ulice miasta, które było naszym miastem, z którym łączą się prawie wszystkie nasze wspomnienia, od czasów dzieciństwa. Wczoraj poszedłem nabrzeżami aż na bruk targowiska, które tak lubiłeś. Zatrzymywałem się to tu, to tam i wydawało mi się, że idziesz ze mną. Potem wstąpiłem do małego baru koło portu, tak jak w każdy piątek. Pamiętasz? Tak często spotykaliśmy się tam pod koniec dnia. Cieszyliśmy się słowami tryskającymi z naszych ust, przypominającymi przeżywane wspólnie uniesienia. Rozmawialiśmy bez końca o obrazach, które nas poruszały i przenosiły w inny czas.

Boże! Jak kochaliśmy malarstwo! Przeglądam często książki, które napisałeś, i odnajduję w nich Twoje upodobania i Twój styl.

Jonathanie, nie wiem, gdzie jesteś. Nie wiem, czy wszystko, co razem przeżyliśmy, ma jakiś sens, ale jeśli prawda istnieje, jeżeli kiedyś znajdziesz tę kartkę, zrozumiesz, że dotrzymałem obietnicy, którą Ci dałem.

Wiem, że kiedy staniesz przed obrazem, założysz ręce do tyłu i zmrużysz oczy, tak samo jak wtedy gdy jesteś zdziwiony. Po chwili się uśmiechasz. Jeżeli tak jak chciałbym, ona jest obok Ciebie, obejmiesz ją i razem będziecie patrzyli na cud, którego podziwianie było kiedyś Twoim i moim przywilejem. I być może, być może, przypomnisz to sobie. Jeżeli tak jest, ja z kolei chciałbym Cię o coś poprosić, o coś, co jesteś mi winien. Zapomnij o tym, co właśnie napisałem, w

przyjaźni nie ma zobowiązań. Nie, mimo wszystko przedstawię Ci jednak moją prośbę.

Powiedz jej, powiedz, że gdzieś daleko, daleko od Was, od Waszego czasu, ja przebiegałem te same ulice, żartowałem z Tobą nad kamiennymi blatami stolików w tych samych kawiarniach, a ponieważ kamienie pozostają, powiedz jej, że te, na których opieraliśmy ręce i na które patrzyliśmy, zawsze będą stanowić część naszej wspólnej historii. Powiedz jej, Jonathanie, że byłem Twoim przyjacielem, że byłeś moim bratem, a może więcej niż bratem, bo my siebie wybraliśmy. Powiedz, że nic nie może nas rozdzielić. Nawet Twoje tak niespodziewane odejście.

Nie było dnia, w którym nie myślałbym o Was z nadzieją, że cieszycie się życiem.

Jestem już starym człowiekiem, Jonathanie, a godzina mojego prawdziwego odejścia się zbliża. Jednak dzięki Wam jestem też starcem, którego serce rozświecła iskra i czyni je lekkim. Kochałem! Czyż wszyscy ludzie mogą odejść bogaci w tak nieocenione doświadczenie?

Jeszcze kilka linijek i poskładasz ten list po cichu, chowając go do kieszeni marynarki, a potem założysz ręce do tyłu i uśmiechniesz się tak samo jak ja, kiedy piszę te ostatnie słowa. Uśmiecham się, Jonathanie. Nigdy nie przestałem się uśmiechać.

*Dużo szczęścia dla Was obojga
Twój przyjaciel, Peter*

1

- To ja. Wyjeżdżam ze Stapledonu, będę u ciebie za pół godziny, mam nadzieję, że tam jesteś? Cholerna sekretarka! Jadę.

Peter rzucił słuchawkę i zaczął szukać w kieszeniach kluczyków od samochodu, ale przypomniał sobie, że wczoraj zostawił je parkingowemu. Spojrzał na zegarek. Samolot do Miami odlatuje z Logan dopiero pod wieczór, tyle że w tych zwariowanych czasach nowe procedury bezpieczeństwa wymagają stawienia się do odprawy dwie godziny przed odlotem. Zamknął drzwi luksusowego apartamentu w eleganckiej dzielnicy, który wynajął na rok, i pognął korytarzem wyłożonym grubym chodnikiem. Niecierpliwie nacisnął trzy razy guzik windy, co oczywiście nie przyspieszyło jej przybycia. Dziesięć pięter niżej przeszedł szybko koło portiera, pana Jenkinsa, rzucając mu w przelocie, że wróci pojutrze i że zostawił przed drzwiami worek z brudną bielizną dla pralni obsługującej budynek. Pan Jenkins schował do szuflady dodatek kulturalny „Boston Globe”, który właśnie czytał, zanotował polecenie Petera i wybiegł zza kontuaru, żeby otworzyć mu drzwi.

Na podjeździe otworzył wielki parasol z emblematem Stapledonu i osłonił Petera przed ulewą.

- Lepiej zadzwonię po pański samochód - zaproponował, wskazując zasnucone chmurami niebo.

- To bardzo ładnie z pana strony - odpowiedział sucho Peter.

- Pani Beth, pańskiej sąsiadki z piętra, nie ma i kiedy zobaczyłem, że winda zaczęła jechać na wasze piętro, pomyślałem...

- Wiem, kim jest pani Beth, Jenkins!

Portier zaczął spoglądać na szare i białe chmury wiszące tuż nad ich głowami.

- Paskudna pogoda, prawda? - zapytał.

Peter nie odpowiedział. Nie znosił niektórych przywilejów, jakie daje mieszkanie w luksusowym apartamentowcu. Za każdym razem, kiedy przechodził koło kontuaru pana Jenkinsa, jakaś część jego prywatności wydawała mu się zagrożona. Zza tego kontuaru,

stojącego naprzeciwko obrotowych drzwi, portier mógł kontrolować wszystkie wejścia i wyjścia lokatorów. Peter był przekonany, że Jenkins w końcu lepiej pozna jego zwyczaje niż większość przyjaciół.

Któregoś dnia, gdy był w złym humorze, zbiegł służbowymi schodami, żeby wyjść na ulicę przez garaż. Kiedy wrócił i znalazł się w holu przed kontuarem Jenkinsa, ten, pełnym kurtuazji gestem, podał mu klucz z zaokrągloną główką. Peter popatrzył zdziwiony, a portier powiedział obojętnym tonem:

- Jeżeli interesują pana tylne schody, klucz bardzo się przyda. Na piętrach drzwi są blokowane od strony klatki schodowej i to pomoże rozwiązać ten przykry problem.

Znalazłszy się w windzie, Peter uznał za punkt honoru, żeby nie okazać zdenerwowania, pewny, że Jenkins zobaczy jego zachowanie dzięki zapisowi z kamery ochrony. Dlatego też, kiedy pół roku później miał przelotną przygodę z niejaką Thaly, młodą, bardzo modną aktoreczką, wolał spędzić z nią noc w jakimś hotelu, niż zobaczyć rano rozpromienioną twarz portiera, którego niezmiennie różowy poranny humor drażnił go niemiłosiernie.

- Wydaje mi się, że słyszę pański samochód. Nie trzeba już będzie długo czekać, proszę pana.

- Jenkins, rozpoznaje pan samochody nawet po odgłosie silnika? - powiedział Peter, celowo niezbyt miłym tonem.

- O, nie wszystkie, proszą pana! Ale pańskiemu staremu Anglikowi, przyzna pan, lekko klekocze wał korbowy, coś jakby: „dadeedoo”, co przypomina akcent naszych kochanych kuzynów zza oceanu.

Peter wznosił oczy do nieba, gotując się ze złości. Jenkins przez całe życie marzył, żeby być z urodzenia poddanym Jej Królewskiej Mości, co w tym mieście o starych anglosaskich tradycjach stanowi eleganckie wyróżnienie. W tym momencie w bramie parkingu ukazały się wielkie, okrągłe reflektory jaguara XK 140 coupé. Parkingowy zatrzymał wóz przed białą linią na podjeździe.

- Rzeczywiście, mój drogi Jenkinsie! - krzyknął Peter, podbiegając do otwartych drzwi samochodu.

Wciąż skrzywiony, usadowił się za kierownicą, rozgrzał swojego starego Anglika i ruszył, machając portierowi.

Widział w lusterku, że ten, jak zwykle, czeka, dopóki samochód nie zniknie za rogami. Dopiero wtedy pozwolił sobie na powrót do budynku.

- Stary cymbale! Urodziłeś się w Chicago i cała twoja rodzinka jest z Chicago! -

mruknął pod nosem.

Włączył komórkę i nacisnął wybieranie numeru domowego telefonu Jonathana. Zbliżając usta do mikrofonu zamontowanego na osłonie przeciwsłonecznej, wrzasnął:

- Wiem, że tam jesteś! Nie wyobrażasz sobie, jak mnie wkurza ta twoja nieprzystępność. Wszystko jedno, co teraz robisz, zostało ci dziewięć minut. Powinno ci zależeć na tym, by tam być!

Pochylił się, żeby nastawić radio. Kiedy się wyprostował, zobaczył w sporej jeszcze odległości kobietę przechodzącą przez ulicę. Jakieś szczególne wyczucie pozwoliło mu ocenić, że porusza się ona w zwolnionym rytmie, które często pojawia się z wiekiem. Opony zostawiły czarne ślady na asfalcie. Kiedy wóz się zatrzymał, Peter otworzył oczy. Kobieta szła spokojnie dalej. Z dłońmi wciąż zaciśniętymi na kierownicy, głęboko odetchnął, a potem odpiął pas i wyskoczył z wozu. Rzucił się ku staruszce, rozpluwając w przeprosinach, i wziął ją pod rękę, pomagając pokonać kilka metrów dzielących ją od krawężnika. Tam wyjął wizytówkę i nadal kajał się, używając całego swojego wdzięku. Przysięgł, że poczucie winy będzie go dręczyć przynajmniej przez tydzień. Starsza pani wydawała się bardzo zdumiona. Starła się go uspokoić, postukując białą laską. To jej przytępiony słuch spowodował, że podskoczyła, kiedy tak elegancko podał jej ramię, żeby pomóc przejść przez ulicę. Peter strzepnął końcami palców włos, który przyczepił się do gabardynowego płaszcza staruszki i pozostawił ją własnemu losowi, wracając do swoich spraw. Odzyskał humor w wypełnionym znajomym zapachem skóry wnętrzu samochodu. Pojechał spokojnie w kierunku domu Jonathana, a na trzecich światłach zaczął pogwizdywać.

*

Jonathan wbiegł na górę po schodach swojego pięknego domu w dzielnicy położonej koło starego portu. Drzwi przeszklonej pracowni na ostatnim piętrze były otwarte. Jego przyjaciółka, Anna, malowała. Jonathan i Anna poznali się któregoś wieczoru na wernisażu. Fundacja należąca do bogatej i dyskretnej kolekcjonerki dzieł sztuki urządziła wystawę prac Anny. Oglądając obrazy, zwrócił uwagę, że jej wdzięk jest wyczuwalny we wszystkich płótnach, utrzymanych w stylu nawiązującym do malarstwa stulecia, któremu poświęcił się jako ekspert. Pejzaże Anny odbijały w sobie nieskończoność. I tak też jej powiedział, a uznanie znawcy o światowej sławie trafiło do młodej malarki, po raz pierwszy wystawiającej swoje prace. Od tamtej pory prawie nigdy się nie rozstawali, a na wiosnę zamieszkali koło starego portu, w domu wybranym przez Annę. Pokój, w którym spędzała większą część dni, a

czasem i nocy, miał dużą oszkloną wnękę. Od pierwszych porannych godzin światło wypełniało całe wnętrze, nadając mu nieco magiczną atmosferę. Jasny parkiet współgrał ze ścianami z białych cegieł okalającymi wielkie okna. Kiedy Anna odkładała pędzel, lubiła usiąść z papierosem na jednym z drewnianych parapetów, skąd widać było całą zatokę. Bez względu na pogodę pociągała za sznur i otwierała okno, wdychając łagodną mieszankę dymu i morskiej mgły.

Jaguar Petera zatrzymał się przy krawężniku.

- Wydaje mi się, że twój przyjaciel przyjechał - powiedziała Anna, słysząc za sobą Jonathana.

Podszedł, objął ją i pocałował w szyję. Anna zadrżała.

- Przecież idzie Peter!

Jonathan wsunął rękę pod kołnierzyk sukienki i zaczął pieścić jej piersi. Rozległ się klakson samochodu, a ona odepchnęła go z uśmiechem.

- Twój świadek jest nieco natrętny. Leć na tę konferencję. Im szybciej wyjedziesz, tym szybciej wrócisz.

Jonathan pocałował ją jeszcze raz i wyszedł z pokoju. Kiedy tylko trzasnęły frontowe drzwi, Anna zapaliła następnego papierosa. Peter pomachał jej przez okno odjeżdżającego samochodu. Anna westchnęła i popatrzyła na port, do którego przyплыnęło niegdyś tylu imigrantów.

*

- Dlaczego nigdy nie możesz być na czas? - zapytał Peter.

- Na twój czas?

- Nie, na czas, kiedy startują samoloty, na czas, kiedy ludzie umawiają się, żeby zjeść razem obiad albo kolację, na czas pokazywany przez zegarki, których ty nigdy nie nosisz!

- Jesteś niewolnikiem czasu, a ja się na to nie zgadzam.

- Kiedy mówisz bzdury, typowe dla twojego zajoba, to jak uwierzyć choćby w jedno słowo, które wypowiesz potem? Jak wyobrazić sobie, że dzięki tobie będzie można kupić sobie wymarzoną brykę, coupé albo kabriolet?

- Nie mam żadnego zajoba!

- Lepiej się nad tym zastanów. Jak się czujesz?

- A co ciebie wprawiło w tak dobry humor?

- Czytałeś dodatek kulturalny do „Boston Globe”?

- Nie - mruknął Jonathan, spoglądając przez okno.

- Nawet Jenkins go przeczytał. Te gazety mnie wykończą!

- Tak?

- Czytałeś?

- Troszeczkę.

- Kiedyś, na studiach, zapytałem, czy spałeś z Kathy Miller, w której się kochałem, a ty odpowiedziałeś: „troszeczkę”. Mógłbyś mi wreszcie wyjaśnić, co rozumiesz przez „troszeczkę”? Od dwudziestu lat się nad tym zastanawiam...

Peter uderzył dłonią w kierownicę.

- Może przynajmniej widziałeś ten zachęcający tytuł: *Ostatnie aukcje organizowane przez Petera Gwela są podejrzone!* A kto ustanowił historyczny, niepokonywany od dziesięciu lat rekord za Seurata? Kto zorganizował najpiękniejszą aukcję Renoira ostatniej dekady? A kolekcji Bowena z jego Jongkindem, Monetem, z jego Mary Cassat i innymi? A kto pierwszy bronił Vuillarda? Widzisz, ile teraz jest wart!

- Denerwujesz się byle czym, Peter. Zawodem krytyków jest krytykowanie, i to wszystko.

- Znalazłem czternaście nagrań na sekretarce od moich zdenerwowanych współników z Christie's i to mnie denerwuje!

Peter zatrzymał się na czerwonym świetle i nadal złorzeczył. Jonathan słuchał go przez chwilę, a potem włączył radio. Wnętrze auta wypełnił głos Louisa Armstronga. Jonathan zauważył pudełko leżące na tylnym siedzeniu.

- Co to jest?

- Nic! - mruknął Peter.

Jonathan sięgnął po pudełko i rozbawiony, zaczął wyliczać jego zawartość:

- Elektryczna maszynka do golenia, trzy podarte koszule, dwie pary spodni od piżamy, para butów bez sznurowadeł, cztery otwarte koperty z listami, a wszystko umazane keczupem... Co się z tobą dzieje?

Peter przechylił się, zrzucając pudełko na podłogę.

- Nigdy nie miałeś złego dnia? - warknął i nastawił głośniejsze radio.

Jonathan wyczuł narastający niepokój przyjaciela.

- Nie powinieneś się denerwować. Ty jesteś nie do zdarcia - powiedział.

- To jedno z tych idiotycznych stwierdzeń, które zaprowadzi cię prosto na drzewo.

- Najadłem się strachu za kółkiem - wyznał Peter.

- Kiedy?

- Dopiero co, kiedy wyjechałem z domu.

Jaguar ruszył i Jonathan zobaczył, jak za oknem przesuwały się zabudowania starego portu. Zaraz potem skręcili na autostradę prowadzącą ku lotnisku Logan International.

- A jak się miewa nasz drogi Jenkins? - zapytał Jonathan.

Peter zaparkował naprzeciwko budki strażnika. Potem dyskretnie wsunął mu do ręki banknot, podczas gdy Jonathan wyjmował z bagażnika swoją starą torbę podróżną. Ruszyli poprzez betonowy parking, a ich kroki odbijały się zgodnym echem. Za każdym razem, kiedy leciał samolotem, Peter wściekał się, gdy kazano mu zdjąć pasek od spodni i buty, z powodu trzykrotnie popiskującej bramki. Wymamrotał kilka mało przyjemnych słów, a funkcjonariusz ochrony zaczął bardzo szczegółowo przeglądać jego bagaż. Jonathan dał mu znak, że jak zwykle będzie czekał koło kiosku z gazetami. Kiedy Peter do niego podszedł, zajęty był przeglądaniem antologii jazzu Milтона Mezz Mezwowa. Jonathan kupił książkę. Procedura wejścia na pokład przebiegła bez przeszkód i samolot wystartował o czasie. Jonathan podziękował za śniadanie, opuścił zasłonę w oknie, zapalił lampkę nad głową i zajął się przeglądaniem referatu, który miał wygłosić za parę godzin. Peter przekartkował gazetkę pokładową, przeczytał instrukcję bezpieczeństwa i spis produktów oferowanych do sprzedaży podczas podróży, który znał na pamięć. Potem zaczął kołysać się w fotelu.

- Nudzisz się? - zapytał Jonathan, nie podnosząc oczu z nad referatu.

- Rozmyślam!

- Na pewno się nudzisz.

- A ty nie?

- Przeglądam referat.

- Jesteś opętany przez tego faceta - odciął mu się Peter, odkładając instrukcję bezpieczeństwa boeinga 737.

- Ja się nim pasjonuję!

- Stary, poziom twojej obsesji pozwala mi sądzić, że to, co łączy cię z tym rosyjskim malarzem, wygląda na opętanie.

- Vladimir Radskin umarł pod koniec dziewiętnastego wieku i nie mam żadnych związków z nim, tylko z jego dziełem.

Jonathan wrócił do lektury i na moment zapadła cisza.

- Miałem uczucie *déjà vu* - wycedził Peter - ale to pewnie dlatego, że mówimy o tym po raz setny.

- No to co robisz w tym samolocie, jeżeli nie złapałeś tego samego wirusa, hę?

- Po pierwsze, lecę z tobą, po drugie, uciekam od telefonów moich przyjaciół,

urazonych artykułem tego kretyna z „Boston Globe”, a po trzecie, nudzę się.

Peter wyjął z kieszeni marynarki pisak i narysował na kartce służącej Jonathanowi do robienia poprawek mały krzyżyk. Jonathan narysował obok krzyżyka kółko. Peter dodał kolejny krzyżyk, a Jonathan wstawił po przekątnej następne kółko...

Przylecieli dziesięć minut przed czasem. Mieli tylko bagaż podręczny, więc taksówka od razu zawiozła ich do hotelu. Kiedy zarejestrowali się w recepcji, Jonathan poszedł na górę, żeby się przebrać. Drzwi jego pokoju zamknęły się bezszelestnie. Postawił torbę na mahoniowym sekretarzyku koło okna i sięgnął po telefon. Kiedy Anna podniosła słuchawkę, zamknął oczy i zapragnął dać unieść się jej głosowi, jakby siedział obok niej, w pracowni. Wszystkie lampy są zapalone. Anna opiera się o framugę okna. Ponad nią widać przez przeszkloną wnękę kilka gwiazd, które przenikają łunę światła nad miastem i rozpraszają się jak delikatny haft na jasnej wstędze. Bryzgi wody niesione znad morza spływają po oprawionych w ołów szybach starego okna. Ostatnio Anna oddalała się od Jonathana, i wyglądało to tak, jakby trybiki jakiegoś delikatnego mechanizmu zacięły się w momencie, w którym postanowili się pobrać. Przez pierwsze tygodnie Jonathan sądził, że jej oddalenie wynika z obawy przed związaniem się na całe życie. Jednak to ona niecierpliwie wyczekiwała ślubu. Ich miasto było tak samo konserwatywne jak środowisko artystyczne, w którym dojrzewali. Po dwóch latach spędzonych razem należało do dobrego tonu nadać związkowi oficjalny charakter. Tę sugestię można było dostrzec w spojrzeniach, którymi obdarzali ich ludzie z towarzystwa na każdym koktajlu, wernisażu czy aukcji dzieł sztuki.

Jonathan i Anna ulegli presji bostońskiej elity. Dobra opinia o ich związku mogłaby mieć wpływ na karierę Jonathana.

Na drugim końcu linii Anna milczała, on słuchał jej oddechu i odgadywał gesty. Anna zanurza palce w gęstych włosach. Zamknąwszy oczy, prawie czuł zapach jej ciała. Pod koniec dnia łączył się on z wonią olejków, która przesyciała pracownię. Ich rozmowa odbyła się bez słów. Jonathan odłożył słuchawkę i otworzył oczy. Pod oknami sunęła długa czerwona wstęga samochodowych świateł. Ogarnęło go poczucie osamotnienia, jak zawsze, kiedy był daleko od domu. Westchnął i zadał sobie pytanie, dlaczego zgodził się przyjechać na tę konferencję. Nadszedł czas. Sięgnął po torbę i wyjął z niej białą koszulę.

*

Przed wejściem na estradę Jonathan poczuł przyływ natchnienia. Powitały go oklaski, po czym publiczność pogrążyła się w półcieniu. Zajął miejsce za pulpitem z małą

lampką w miedzianej oprawie, która zaglądała do jego tekstu jak suflerka. Jonathan jej nie potrzebował, znał swoje wystąpienie na pamięć. Na ogromnym ekranie za jego plecami ukazał się pierwszy spośród obrazów Vladimira Radskina, o których mówił. Zdecydował się na pokazanie ich w odwróconym porządku chronologicznym. Pierwsza seria, przedstawiająca obrazy ze scenami z angielskiej wsi, stanowiła ilustrację ostatniego, skróconego przez chorobę okresu twórczości Radskina.

Malował te obrazy nie wychodząc z pokoju. Nie pozwalał mu na to stan zdrowia. Zmarł w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Najpierw Jonathan pokazał dwa imponujące portrety sir Edwarda Langtona - na pierwszym stał, a na drugim siedział za mahoniowym biurkiem - sławnego kolekcjonera i marszanda, który uczynił Radskina swoim protegowanym. Dziesięć innych płócien ukazywało z niezwykłą wrażliwością życie biedoty na londyńskich przedmieściach pod koniec XIX wieku. Prezentację uzupełniało dalszych szesnaście obrazów. Jonathan nie wiedział wprawdzie, w jakim dokładnie okresie powstały, ale ich tematyka wskazywała na lata młodości malarza spędzone w Rosji. Sześć pierwszych, namalowanych na zamówienie samego cara, przedstawiało osobistości z dworu, dziesięć innych ukazywało nędzę prostych ludzi. To właśnie sceny z zaułków Petersburga stanowiły przyczynę wygnania Radskina, który pospiesznie i na zawsze musiał opuścić ojczyznę. Stało się tak, kiedy car polecił, by zorganizowano mu indywidualną wystawę w Ermitażu. Malarz zaprezentował kilka płócien, które wywołały skandal. Władca zapłonął ku Radskinowi nienawiścią, równie silną co gwałtowną, za to, że ośmielił się on wierniej odmalować cierpienia ludu niż wspaniałość jego panowania. Przekazy historyczne mówią, iż radca dworu do spraw kultury zapytał Radskina o powody jego postępowania, a ten odpowiedział: „skoro człowiek dążący do osiągnięcia potęgi posługuje się kłamstwem, to moim malarstwem rządzą zupełnie inne zasady”.

Sztuka w chwilach słabości nie może robić nic gorszego, niż upiększać. Czyż nędza rosyjskiego ludu jest mniej warta uwiecznienia niż sam car? Radca, który cenił malarza, pożegnał go z gorzkim uśmiechem i zaraz potem otworzył drzwi ukryte w bibliotece pełnej cennych manuskryptów, mówiąc, żeby jak najszybciej uciekał, zanim przyjdzie go szukać tajna policja. On sam nic więcej nie może dla niego zrobić. Vladimir wspiał się po krętych schodach i pobiegł ciemnym korytarzem wydającym się ścieżką prowadzącą do piekła. Poruszając się po omacku, raniąc dłonie o szorstkie ściany, skierował się ku zachodniemu skrzydłu pałacu, przechodząc podziemiami, gdzie wciąż musiał się schylać i przeciskać pod wilgotnym kamiennym sklepieniem. Szczury wędrujące w przeciwnym kierunku ocierały się o jego twarz i zaciekawione intruzem, zaczynały go gonić, gryząc w nogi.

Kiedy wreszcie zapadła noc, Vladimir wyszedł na dziedziniec i schował się na wozie pełnym starej słomy służącej przedtem jako ściółka dla cesarskich koni. Przeczekał tam aż do świtu i uciekł, korzystając z porannego rozgardiaszu.

Wszystkie jego obrazy tego samego dnia zostały skonfiskowane, a wieczorem spłonęły na ogromnym kominku, uświetniając przyjęcie wydane przez carskiego doradcę. Uroczystość trwała cztery godziny.

O północy biesiadnicy podeszli do okien, żeby podziwiać widowisko, które przygotowano dla nich na pałacowym dziedzińcu. Ukryty w cieniu arkad, Vladimir widział, jak dokonywano morderstwa. Jego żona Clara, aresztowana wieczorem, została przywleczona przez dwóch gwardzistów na miejsce kaźni. Od momentu, w którym znalazła się na dziedzińcu, nie odwróciła oczu od gwiazd. Podniosły się lufy dwunastu karabinów. Vladimir błagał niebo, żeby Clara choć na chwilę popatrzyła w bok i żeby po raz ostatni ich oczy się spotkały. Lecz ona tylko drżała. Rozległo się dwanaście strzałów i rozdarte kulami ciało upadło w głęboki, splamiony krwią śnieg. Echo odbiło się od murów dziedzińca i zapadła cisza.

Oświecony przez ból, który go wypełniał, Vladimir zrozumiał, że życie jest silniejsze od sztuki. Żadne najdoskonalsze zestawienie barw całego świata nie może oddać jego cierpienia. Tej nocy lejące się strumieniami wino zmieszało się z krwią Clary. Strużki purpury przenikały biały płaszcz śniegu i układały się w napisy na odsłoniętym bruku dziedzińca, takie same jak czarne rysy na sercu Vladimira. Malarz zachował w pamięci widok, który stał się później tematem jednego z jego najwspanialszych dzieł, obrazu namalowanego w Londynie, dziesięć lat później. Na wygnaniu odtworzył on większość zniszczonych obrazów z rosyjskiego okresu swojej twórczości. Dokonał jednak pewnych zmian, ponieważ od tamtego momentu nigdy nie namalował ciała i twarzy kobiety, a na jego obrazach nie pojawił się nawet najmniejszy ślad czerwonej farby.

Ostatni diapozytyw zniknął z ekranu. Jonathan podziękował zebrany, którzy owacyjnie przyjęli jego wystąpienie. Oklaski ciążyły mu jak brzemień, naruszając jego wrodzoną powściągliwość. Pochylił się i dotknął okładki, wodząc palcami po literach układających się w napis: Vladimir Radskin. „To ciebie oklaskują, stary”, wyszeptał. Zarumieniony, wziął teczkę i po raz ostatni pozdrowił drżącą ręką rozentuzjasmowaną publiczność. W głębi sali jakiś jegomość podniósł się z miejsca. Jonathan przycisnął teczkę do piersi, ponownie odwracając się do publiczności. Tamten odezwał się donośnym, wysokim głosem:

- Frantz Jarvitch z „Art and News”. Panie Gardner, czy uważa pan za normalne, iż

żaden obraz Vladimira Radskina nie był nigdy wystawiany w jakimś ważnym muzeum? Nie sądzi pan, że historycy sztuki je lekceważą?

Jonathan podszedł do mikrofonu.

- Dużą część mojego życia zawodowego poświęciłem dla poznania i oceny jego dzieł. Radskin jest wielkim malarzem, lecz jak wielu innych, niedocenionym za życia. Jego celem nie było nigdy dawanie przyjemności, istotę jego sztuki stanowi szczerość. Vladimir chciał malować nadzieję, w człowieku interesowało go tylko to, co prawdziwe. Taka postawa nie zjednała mu przychylności krytyków.

Jonathan podniósł głowę. Jego wzrok wydawał się sięgać gdzieś dalej, w inne miejsce i w inny czas. Pozbył się tremy i jego słowa popłynęły tak, jakby to sam stary malarz, przemawiając przez niego, prezentował swoje dzieło, mając za sztalugi własne serce.

- Popatrzcie na twarze, które malował, na grę światła, na szlachetność i pokorę przedstawianych postaci. Ani jednej zaciśniętej pięści, ani jednego złowrogiego spojrzenia.

Na sali zaległa cisza. Wstała jakaś kobieta.

- Sylvie Leroy z Tekné, muzeum Luwr. Legenda głosi, że nikt nigdy nie widział ostatniego obrazu Radskina. Nie można go odnaleźć. Co pan o tym sądzi?

- Proszę pani, to nie jest żadna legenda. W listach do Aleksieja Sawrasowa Radskin pisał, że mimo choroby, która coraz bardziej go osłabia, podejmuje pracę nad czymś, co uważa za swoje najlepsze dzieło. A kiedy Sawrasow, wiedząc o stanie jego zdrowia, zapytał, jak postępuje praca, Vladimir odpowiedział: „Doskonalenie tego obrazu jest jedynym lekarstwem na straszne bóle, które rozdzierają mi wnętrzności”. Radskin zgasł po ukończeniu tego ostatniego obrazu. Płótno znikło w tajemniczy sposób podczas ważnej aukcji zorganizowanej w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku w Londynie, a więc rok po śmierci malarza.

Jonathan wyjaśnił, że ten obraz, prawdopodobnie wybitny, w ostatniej chwili został wycofany z aukcji, a z powodów mu nieznanych żadne inne płótno Radskina nie znalazło wtedy nabywcy. Malarz na długo popadł w zapomnienie. To bardzo smutny przypadek niesprawiedliwości - przykry zarówno dla niego, jak i dla tych wszystkich, którzy widzą w Radskinie jednego z najważniejszych malarzy tamtej epoki.

- Niezwykle bogactwo czyjejś duszy i serca często podsycza zazdrość i pogardę współczesnych - ciągnął Jonathan. - Jednak teraz czas nic nie znaczy dla Vladimira Radskina. Sztuka rodzi się z uczucia i to sprawia, że staje się ponadczasowa, nieśmiertelna. Zresztą większość jego prac jest eksponowana w niniejszych muzeach i znajduje się w ważnych kolekcjach prywatnych.

- Mówi się, że w ostatnim obrazie Radskin odstąpił od zakazów, które sobie narzucił, i że wynalazł niezwykły odcień czerwieni - powiedział ktoś z sali.

Wszyscy czekali na odpowiedź Jonathana. On założył ręce do tyłu, zmrużył oczy, i uniósł głowę.

- Jak już państwu powiedziałem, obraz, o którym mówimy, znikł nagle, zanim został pokazany, i do dzisiaj nie natrafiono na jego ślad. Ja poszukuję go od czasu, kiedy zacząłem uprawiać swój zawód. Jedyne korespondencja Vladimira Radskina z jego przyjacielem Sawrasowem i kilka artykułów w prasie z tamtego okresu dowodzi, że obraz naprawdę istniał. Należy więc zachować ostrożność i powiedzieć, że każde stwierdzenie dotyczące tematu i kompozycji tego obrazu to jedynie domysły. Dziękuję państwu.

Jonathan wysłuchał następnej serii oklasków, a potem zszedł szybkim krokiem z estrady i zniknął za kulisami. Tam czekał na niego Peter, który złapał go za ramię i pogratulował.

*

Po południu sale konferencyjne Centrum Kongresowego w Miami opustoszały, a cztery tysiące sześciuset uczestników obrad zapełniło jego liczne bary i restauracje. Odkryta promenada łączyła ten rozciągający się na obszarze prawie dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych kompleks, noszący nazwę James L. Knight Center, z hotelem Hyatt Regency, mającym ponad sześćset pokoi.

Od wystąpienia Jonathana minęła już prawie godzina. Peter nie rozstawał się ze swoją komórką, a Jonathan przysiadł na stołku przy barze, rozluźnił kołnierzyk koszuli i zamówił Bloody Mary. W głębi oświetlonej żółtawymi lampami sali stary pianista grał jakiś kawałek Charliego Haydena. Jonathan popatrzył na kontrabasistę, który mu akompaniował. Co chwila przyciskał on do siebie instrument i podpowiadał tamtemu każdą nutą. Mało kto zwracał na nich uwagę. A jednak ich gra miała w sobie coś niezwykłego. Patrząc na nich, łatwo można było sobie wyobrazić, że przebyli razem bardzo długą drogę. Jonathan wstał, podszedł do nich i wsunął dziesięciodolarowy banknot do szklanego flakonu stojącego na steinwayu. Na znak podziękowania kontrabasista trącił palcami strunę. Zanim Jonathan zdążył wrócić do baru, banknot znikł z flakonu, ale w wykonywanym utworze nie zabrakło ani jednej nuty. Na sąsiednim stołku siedziała teraz jakaś kobieta. Ukłonili się sobie z kurtuazją. Jej srebrne włosy przypominały mu matkę. Nasza pamięć utrwała obraz rodziców w pewnym wieku, tak jakby miłość nie pozwalała zdawać sobie sprawy z tego, że widzieliśmy, jak jeszcze bardziej się

zestarzeli.

Siwowłosa pani popatrzyła na plaketkę Jonathana, którą zapomniał odpiąć od klapy marynarki. Mogła tam zobaczyć jego nazwisko i specjalność - ekspert z dziedziny malarstwa.

- Jaka epoka? - zapytała zamiast „dzień dobry”.

- Dziewiętnasty wiek - odpowiedział Jonathan, podnosząc szklanę.

- Wspaniała epoka - zauważyła kobieta, pociągając długi łyk burbona, którego drugą szklanę właśnie podał jej barman. - Poświęciłam jej dużą część moich studiów.

Zaintrygowany Jonathan pochylił się i spojrzał na jej plaketkę zawieszoną na szyi. Zobaczył na niej tytuł seminarium poświęconego okultyzmowi. Zdziwiony, lekko pokręcił głową.

- Nie należy pan do tych, którzy czytują horoskopy? - zapytała. Pociągnęła następny łyk i dodała: - Zapewniam pana, ja też nie.

Określiła się na stolku i podała mu rękę. Na serdecznym palcu miała pierścionek z brylantem.

- To stary szlif - powiedziała. - Robi większe wrażenie niż jego rzeczywista wartość w karatach. Ale to klejnot rodzinny i bardzo go lubię. A poza tym, jestem profesorem uniwersytetu Yale i prowadzę pracownię badawczą.

- Czego dotyczą pani badania?

- Pewnego syndromu...

- Jakaś nowa choroba?

Uspokoiła go ze złośliwym uśmiechem.

- *Déjà vu!*

To intrygowało Jonathana od zawsze. Wrażenie, że coś przeżywał już przedtem, nie było mu obce.

- Słyszałem, że umysł potrafi czasem przewidzieć coś, co się wydarzy.

- Zupełnie odwrotnie, to objaw pamięci.

- Jeżeli jednak nigdy czegoś nie przeżywaliśmy, to jak możemy to pamiętać?

- A kto powiedział, że nie przeżywaliśmy?

Zaczęła mówić o przeszłym życiu, a Jonathan popatrzył na nią niemal kpiąco. Dama odsunęła się trochę i uważnie mu się przyjrzała.

- Dobrze pan wygląda. Pali pan?

- Nie.

- Tak sądziłam. Przeszkadza panu dym? - zapytała, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.

- Zupełnie nie.

Sięgnął po kartonik z zapalkami leżący na barze, wyrwał jedną, zapalił i zbliżył do jej papierosa. Tytoń zaskwierczał i natychmiast pojawił się płomyk.

- Czy pani wykłada?

- Wciąż zdarza mi się wypełnić niejedno audytorium. A pan, skoro nie wierzy pan w przeszłe życie, dlaczego poświęca pan swoje dziewiętnastemu stuleciu?

- Odczuwam wręcz niezwykłą więź z pewnym malarzem, który żył w tamtych czasach.

Trąciła zębami brzeg szklanki, z której popijała, i popatrzyła na półki zastawione butelkami.

- Co sprawia, że interesujemy się przeszłym życiem? - zapytał Jonathan.

- Spoglądanie na zegarek i niezadowolenie z tego, co na nim widzimy.

- Tak, właśnie to staram się wytłumaczyć mojemu przyjacielowi. Ja nigdy nie noszę zegarka!

Popatrzyła na niego bystro i Jonathan poczuł się nieswojo.

- Proszę mi wybaczyć, ale ja naprawdę nie chciałem z pani żartować.

- Rzadko zdarzają się mężczyźni proszący o wybaczenie. A czym dokładnie pan się zajmuje?

Popiół papierosa zwisał niebezpiecznie nad barem. Jonathan podsunął popielniczkę pod poźótkle palce rozmówczynie.

- Jestem rzeczoznawcą, ekspertem.

- Musi więc pan dużo podróżować.

- O wiele za dużo.

Siwowłosa pani pogładziła palcem szkiełko swojego zegarka.

- Czas też podróżuje. Zmienia się wraz z miejscem. Tylko w naszym kraju są aż cztery strefy czasowe.

- Mam już dość tego rozregulowania, podobnie zresztą jak mój żołądek. Czasami jem śniadanie w porze kolacji.

- Nasze postrzeganie czasu jest błędne. Czas to wymiar zapełniony cząsteczkami energii. Każdy żywy gatunek, każde indywiduum, każdy atom przemierza ten wymiar w różny sposób. Być może kiedyś udowodnię, że to czas zawiera w sobie wszechświat, a nie odwrotnie.

Jonathan dawno nie spotkał kogoś tak pełnego pasji, tak chętnie oddającego się dyskusji. Siwowłosa dama kontynuowała swój wywód:

- Długo wierzyliśmy też, że Ziemia jest płaska, a Słońce krąży wokół nas. Większości ludzi wystarcza wiara w to, co widzą. Kiedyś jednak zrozumiemy, że czas się porusza, że obraca się jak Ziemia, i nie przestaje się rozszerzać.

Jonathan nadal czuł się zakłopotany. Chcąc odzyskać równowagę, zaczął grzebać w kieszeniach marynarki. Siwowłosa pochyliła się w jego stronę.

- W momencie, w którym zgodzimy się na zakwestionowanie teorii przez nas wymyślonych, lepiej zrozumiemy kwestię względnego i rzeczywistego trwania naszego życia.

- To tego uczy pani na uniwersytecie? - zapytał, trochę się odsuwając.

- Niech pan spojrzy na siebie! Wyobraża pan sobie miny studentów, gdybym zaserwowała im dzisiaj wyniki moich badań? Wciąż za bardzo się boimy, nie jesteśmy jeszcze gotowi. Z taką samą ignorancją, jak nasi przodkowie, uznajemy za paranormalne czy ezoteryczne wszystko, co się nam wymyka, co podważa naszą wiedzę. Należymy do istot, które pasjonują się poszukiwaniem, ale boją się odkryć. Na obawy odpowiadamy wierzeniami, trochę jak dawni żeglarze, odrzucający pomysł dalekiej podróży, przekonani, że świat kończy się przepaścią bez dna.

- Mój zawód też ma charakter naukowy. Czas zmienia obraz i ujawnia rzeczy niewidoczne dla oka. Nie wyobraża sobie pani cudów, jakie odkrywamy, restaurując jakieś płótno.

Siwa pani niespodziewanie złapała go za ramię i mocno ścisnęła. Jonathanowi wydało się, że jej niebieskie oczy nagle zablęskły.

- Widzę, że nic z tego, co mówię, do pana nie trafiło. Nie chciałam pana zanudzić, ale kiedy zaczynam o tym mówić, nie mogę przestać.

Jonathan skinął na barmana, żeby podał jej następną szklanekę whisky. Kobieta obserwowała spod ciężkich powiek ruchy barmana. Śledziła złocisty płyn spływający z kryształowej karafki. Wzięła szklanekę, zagrzechotała kostkami lodu, opróżniła ją jednym haustem i mówiła dalej:

- Wciąż czekamy na nowych odkrywców, na wędrowców w czasie. Wystarczy garstka nowych Magellanów, Koperników i Galileuszy. Uznamy ich za heretyków, będziemy się z nich śmiali, ale to oni otworzą drogi wszechświata i uczynią widzialnymi nasze dusze.

- Takie stwierdzenie brzmi dziwnie w ustach naukowca. Nauka i duchowość rzadko idą w parze.

- Niechże się pan pozbędzie tych potocznych sądów! Wiara jest sprawą religii, duchowość rodzi się ze świadomości, że istniejemy lub tak myślimy.

- Sądzi pani, że nasze dusze istnieją po śmierci?

- Coś, co jest niewidzialne dla oka, nie przestaje przez to istnieć!

Mówiła o duszach, a Jonathan pomyślał o tej jednej - należącej do starego rosyjskiego malarza - która zamieszkała w nim pewnej deszczowej niedzieli, kiedy ojciec zaprowadził go do muzeum. W ogromnej, wysoko sklepionej sali urzekł go obraz Vladimira Radskina. Uczucie, jakiego doznał, otworzyło szeroko bramę młodości i na zawsze wyznaczyło drogę jego życia.

Kobieta przyglądała się mu, a jej oczy z niebieskich stały się czarne. Jonathan poczuł, że go osądza. Odwróciła wzrok i wpatrzyła się w szklankę.

- Coś, co nie odbija światła, jest przezroczyste - powiedziała ochryplym głosem - ale to nie znaczy, że nie istnieje, a kiedy opuszcza nasze ciało, nie możemy więcej oglądać życia.

- Muszę pani wyznać, że często nie mogę tego dostrzec w wielu z nas.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Jednak któregoś dnia wszystko musi umrzeć - dodał, nieco zażenowany.

- Każdy z nas tworzy i odnawia swoją egzystencję według własnego rytmu. Nie starzejemy się wskutek upływu czasu, ale z powodu działania energii, pochłanianej przez nas i częściowo odnawianej.

- Twierdzi pani, że jesteśmy napędzani czymś w rodzaju baterii, które zużywamy i ładujemy?

- Mniej więcej tak.

Gdyby plakietka, którą nosiła, nie świadczyła o jej kwalifikacjach naukowych, Jonathan mógłby wziąć ją za jedną z tych wyrzuconych poza nawias samotnych kobiet, okupujących stołki w barach, szukających kogoś, z kim mogłaby podzielić się swoimi obłąkańczymi myślami. Poczul się zakłopotany i skinął na barmana, by podał następną szklankę. Jednak ona ruchem głowy odrzuciła tę ofertę. Barman odstawił butelkę na półkę.

- Czy pani myśli, że dusza żyje wiele razy? - spytał, przysuwając bliżej swój stołek.

- Niektóre tak.

- Kiedy byłem dzieckiem, moja babka mówiła mi, że gwiazdy to dusze ludzi, którzy poszli do nieba.

- Światło gwiazdy nie potrzebuje czasu, żeby do nas dotrzeć, to czas je do nas kieruje. Zrozumienie, czym rzeczywiście jest czas, da nam możliwość podróżowania w jego wymiarze. Nasze ciała podlegają fizycznym ograniczeniom, ale nasze dusze są od nich wolne.

- Byłoby cudownie wyobrazić sobie, że one nigdy nie umierają. Znam jedną, należącą do pewnego malarza...

- Niech pan nie będzie zbyt optymistą, większość dusz kończy się, bo gaśnie. My

się starzejemy, a one, w miarę jak zapamiętują, zmieniają swój rozmiar.

- Co zapamiętują?

- Podróż przez wszechświat, którą odbywają! Światło, które wchłaniają! Genom życia! Przesłanie, jakie niosą, od nieskończonego małego do nieskończonego wielkiego. Żyjemy na planecie, na której tak niewielu spośród nas w ciągu swojego życia zatoczy koło i tylko nielicznym duszom uda się osiągnąć cel podróży, jakim jest przebycie całego kręgu stworzenia. Dusze są falami elektrycznymi. Składają się z miliardów cząsteczek, jak cały nasz wszechświat. Tak jak gwiazda pańskiej babci, dusza obawia się rozproszenia, bo wszystko w niej zależy od energii. Oto dlaczego potrzebuje ona ziemskiej powłoki, wciela się w nią, w niej się odnawia i dalej podąża własną trajektorią w wymiarze czasu. Kiedy ciało nie ma dostatecznej ilości energii, dusza je porzuca i szuka nowego źródła życia, które przyjmie, żeby kontynuować wędrówkę.

- Jak długo szuka?

- Jeden dzień, jedno stulecie? To zależy od jej siły, od zasobu energii, który ją odnawiał w ciągu jakiegoś żywota.

- A jeśli jej tego zabraknie?

- Zgaśnie!

- Czym jest energia, o której pani mówi?

- To źródło życia: uczucie!

Jonathan podskoczył. To Peter dotknął jego ramienia.

- Stary, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale nie będą dłużej trzymali naszego stolika. Znaleźć inny, to będzie prawdziwa męka, aż roi się od wygłodzonych wsiochów.

Jonathan obiecał, że za kilka minut przyjdzie do restauracji. Peter uklonił się damie i wyszedł z baru, wznosząc oczy do góry.

- Panie Gardner, nie wierzę w przypadek - oznajmiła.

- A jeśli to wszystko sprawia właśnie przypadek?

- Znaczenie, jakie mu przypisujemy, jest groźne. Z tego wszystkiego, co panu powiedziałam, niech pan zapamięta tylko jedno: zdarza się, że dwie gwiazdy się spotykają, aby stać się jednością, i na zawsze pozostają od siebie zależne. Są nierozłączne i nigdy nie przestaną się odnajdywać, od życia do życia. Jeżeli w ciągu jakiejś ziemskiej egzystencji jedna połowa oddzieli się od drugiej, łamiąc przysięgę, która je połączyła, obie dusze natychmiast gasną. Nie mogą osobno kontynuować swojej podróży.

Twarz siwej pani gwałtownie się zmieniła, jej rysy zaostrzyły się, a oczy znów stały się intensywnie niebieskie. Wstała i mocno ścisnęła nadgarstek Jonathana. Jej ton znowu stał

się bardziej surowy.

- Mój panie Gardner, w tej chwili coś panu mówi, że nie jestem starą kobietą, która straciła rozum. Niech pan zapamięta, co powiem: niech pan jej nie porzuca. Ona powróciła, jest tutaj. Gdzieś na tej ziemi, czeka na pana i szuka. Odtąd czas liczy się dla was obojga. Jeżeli wyrzekniecie się siebie, będzie to gorsze, niż gdybyście stracili życie, bo straciecie swoje dusze. Koniec waszych dwóch podróży zamieni się w nieprawdopodobny chaos. A jesteście tak blisko celu. Jeżeli siebie rozpoznacie, nie możecie się minąć.

Znów nadszedł Peter, złapał Jonathana za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Nie chcę nam dać stolika, dopóki nie będziemy „w komplecie”! Dopiero co uzyskałem od kierownika trzy minuty zwłoki, zanim przeniesie nas na koniec kolejki. Pospiesz się, czeka krwisty befszytk, który nie może już dłużej krwawić!

Jonathan błyskawicznie uwolnił się z uścisku przyjaciela, ale kiedy się odwrócił, białowłosej pani już nie było. Serce zaczęło mu mocniej bić. Ruszył w kierunku korytarza, jednak tłum zgęstniał i nie było żadnej nadziei żeby ją odnaleźć.

2

Kierownik sali ulokował ich w łoży na końcu sali. Usadowiwszy się na kanapie pokrytej czerwonym moleskinem, Jonathan nie mógł uwolnić się od napięcia. Jedzenie przed nim pozostawało nietknięte.

- To dziwne, co robisz - stwierdził Peter, żując z apetytem.

- Co robię?

- Ciągłe rozluźniasz krawat.

- I co z tego?

- Nie masz krawata!

Jonathan zauważył, że jego prawa dłoń drży. Schował ją pod stołem i popatrzył na przyjaciela.

- Wierzysz w przeznaczenie?

- Ten befsztyk nie ma szans, żeby mi ująć, jeśli o to ci chodzi.

- Mówię serio.

- Serio?

Peter nadział na widelec kartofel i zanurzył w sosie.

- O dwudziestej drugiej jest samolot, jeżeli wyjdiesz zaraz, to może jeszcze go złapiesz - oznajmił, spoglądając na ogromny kawał mięsa, który teraz umieścił na widelcu. - Masz straszną minę.

Jonathan, który nie tknął swojego dania, wziął z koszyczka kawałek bułki i ścisnął w palcach miękkie ciasto. Jego serce wciąż biło jak oszalałe.

- Ja zajmę się rachunkiem za pokoje. Pospiesz się!

Głos Petera nagle wydał mu się odległy.

- Nie czuję się za dobrze - mruknął Jonathan, usiłując zebrać się w sobie.

- Ożeń się z nią wreszcie dla dobra wszystkich, zaczynasz mnie męczyć tą swoją Anną.

- Nie chcesz ze mną wracać?

W pierwszej chwili Peter nie zrozumiał, że jego przyjaciel oczekuje pomocy. Dolał sobie wina.

- Chciałem wykorzystać ten obiad, żeby porozmawiać z tobą o problemach, jakie mam teraz w biurze. Chciałem, żebyśmy zastanowili się razem, jak zareagować na te artykuły, w których bezkarnie mnie atakują. Myślałem, że przyjrzesz się temu, co będę sprzedawał na moich przyszłych aukcjach, a ty zostawiasz mnie sam na sam z tym befsztykiem. Nie chciałbym jednak ciebie zatrzymywać, bo to by wyglądało na wesoły wieczór kawalerski.

Jonathan zawahał się, po czym wstał i sięgnął po portfel.

- Pozwolisz?

Peter przytrzymał jego rękę.

- Nawet o tym nie myśl. Nie możesz płacić za obiad, na którym cię nie było. A teraz pozwól, że zadam ci bardzo osobiste pytanie i to, co odpowiesz, pozostanie wyłącznie między nami. Dobrze?

- Oczywiście.

Peter ostrożnie wskazał nietknięty befsztyk, który królował na talerzu Jonathana.

- Nie masz nic przeciwko temu?

I zanim jego przyjaciel zdążył odpowiedzieć, zamienił talerze.

- Leć! I ucałuj ją ode mnie. Zadzwoń do ciebie jutro, zaraz jak wrócę. Naprawdę bardzo ciebie potrzebuję. Musisz mi pomóc usunąć tę kłodę. W biurze wszystko się trzęsie.

Jonathan położył dłoń na ramieniu przyjaciela i mocno je ścisnął. Odzyskał przy tym trochę równowagi, której tak mu teraz brakowało. Peter podniósł głowę i długo na niego patrzył.

- Czy ty na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. To po prostu zmęczenie. Nie przejmuj się. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Jonathan ruszył do wyjścia. Szedł niepewnie i wyglądał jak hazardzista zniechęcony brakiem szczęścia w grze. Oślepiły go reflektory oświetlające fasadę hotelu. Skinął na portiera. Taksówka podjechała pod wiatę. Wsiadł, uchylił okno i zaczerpnął powietrza.

- Słaby fart? - zapytał kierowca, oglądając go w lusterku.

Jonathan potwierdził skinieniem głowy. Zamknął oczy i oparł się o zagłówek. Światła ulicznych latarni przenikały przez zaciśnięte powieki, tworząc krąg rozbłysków, co przypomniawszy mu fakturę, którą przyczepiał kiedyś do szprych przedniego koła swojego roweru. Powietrze stało się czystsze. Za oknami przesuwały się zabudowania przedmieścia. Poczował, że nic mu się nie chce.

- Zjechałem z autostrady, bo tam była jakaś kraksa - poinformował taksówkarz.

Jonathan zauważył jego spojrzenie w lusterku.

- Wygląda pan na śpiącego. Za długo się balowało?

- Nie! Pracowało.

- Trzeba się namordować, żeby cokolwiek zarobić!

- Kiedy dojedziemy?

- Oj, chyba nieprędko, ten objazd jest ryzykowny.

W oddali z półmroku wyłoniły się pomarańczowe światła lotniska. Taksówka zatrzymała się na postoju zarezerwowanym dla pasażerów Continental Airlines. Jonathan zapłacił i wysiadł. Wóz odjechał.

Kiedy Jonathan podszedł do kontuaru, żeby przebukować bilet, hostessa powiedziała, że w pierwszej klasie nie ma miejsc, ale za to ekonomiczna jest prawie pusta. Wybrał miejsce przy oknie. Był już późny wieczór i nie leciało zbyt wielu pasażerów, więc kontrola odbyła się błyskawicznie i Jonathan zagłębił się w nieskończenie długim korytarzu prowadzącym do sali odlotów.

DC 10 w barwach Continental Airways stał u wlotu rękawa. Dziób samolotu zdawał się muskać okno sali. Chłopczyk czekający z mamą na odlot pomachał pilotom widocznym w kabinie. Kapitan pomachał mu w odpowiedzi. Kilka chwil później kilkunastu pasażerów wyłoniło się z rękawa i znikło na ruchomych schodach. Hostessa, która zamknęła za nimi drzwi, powiedziała zebranym, żeby jeszcze poczekali. Właśnie odbywa się sprzątanie samolotu i za chwilę wszystko ma być gotowe.

Niedługo potem jej walkie-talkie zabrzęczał, a ona słuchała przez chwilę, po czym pochyliła się nad mikrofonem i ogłosiła, że pasażerowie mogą wchodzić na pokład.

Samolot wynurzył się z gęstych chmur i noc rozjaśniło srebrne światło.

Jonathan odchylił oparcie fotela, szukając jak najwygodniejszej pozycji, ale nie mógł zasnąć. Zbliżył twarz do okienka i kontemlował kłęby waty przesuwające się pod skrzydłami.

*

Dom był pogrążony w ciszy. Jonathan wszedł po schodach i otworzył drzwi do pokoju. Łóżko nie było posłane, Anna musiała być na górze. Poszedł do łazienki wziąć prysznic. Woda uderzała go w twarz i spływała po ciele. Pozwolił, żeby trwało to bardzo długo. Potem włożył szlafrok i poszedł na najwyższe piętro. Kiedy otworzył drzwi pracowni, zobaczył, że nie pali się żadna lampa, jednak księżyc świecący przez oszkloną wnękę

dostatecznie rozjaśniał mrok. Anna zdrzemnęła się na ławeczce pod ścianą. Podeszedł do niej po cichu i stał, patrząc, jak śpi. Potem przyklęknął. Miał ochotę pogłodzić ją po policzku. Poruszyła się przez sen i cofnęła. Podciągnął aż do ramion popielatą chustę, którą miała okryte nogi, i wyszedł. Położył się samotnie w wielkim łóżku i skulił pod kołdrą. Wsluchany w bębnienie deszczu o szyby zapadł w głęboki sen.

*

Zima w Bostonie nadeszła wraz ze śniegiem. Zaczęły się przygotowania do Bożego Narodzenia, a stare miasto mieniło się od świateł. Wracając z dwóch następnych podróży, Jonathan zawsze zastawał Annę w domu, gdzie też odbywały się przygotowania, choć inne niż świąteczne.

Anna szykowała ich ślub, dbając o najdrobniejsze szczegóły: wybór papieru na zaproszenia, kwiatów do kościoła, psalmów do mszy, zakąsek do podania podczas koktajlu poprzedzającego uroczysty obiad. Zaplanowanie kogo z kim posadzić, żeby nie zakłócić surowej hierarchii bostońskiej socjety, przesłuchiwanie muzyków do orkiestry i dobieranie utworów, które mieli wykonywać w odpowiednich momentach podczas wieczornego przyjęcia. A Jonathan, z miłości do Anny, dzielił jej gorączkowe pragnienie, żeby ich ślub okazał się wspanialszy od wszystkich, jakie widziano w Bostonie w ciągu ostatnich pięciu lat. Każdą sobotę poświęcali na wizyty w specjalistycznych sklepach, każdej niedzieli przeglądali katalogi i próbki wzięte poprzedniego dnia. Jednak pod koniec kolejnego weekendu zaczęło mu się wydawać, że starannie dobierane obrusy czy bukiety zdobiące stoły więcej odbiorą, niż dodadzą piękna tej uroczystości. Mijały tygodnie i jego entuzjazm był coraz mniejszy.

*

Wiosna zjawiała się wcześniej i ogródki restauracji wokół targowiska przy starym porcie zostały już otwarte. Anna i Jonathan, którzy byli zajęci od rana, teraz usiedli w jednym z nich nad kopiastymi talerzami ostryg. Anna wyjęła notatnik i położyła przed sobą. Jonathan, z uniesionymi brwiami, patrzył uważnie, jak skreśla kolejne pozycje na ostatniej stronie, mając nadzieję, że może oznaczać to koniec przygotowań, którego od dawna oczekiwał. Za cztery tygodnie, o tej samej porze, ich związek zostanie uświęcony sakramentem małżeństwa.

- Trzy weekendy pełnego odpoczynku dobrze by nam zrobiły, jeżeli chcemy być przytomni w dniu Ś.

- Uważasz, że to śmieszne - odpowiedziała, gryząc długopis.

- Wiem, że to twoje ulubione długopisy, przez ostatnie miesiące zużyłaś ich ponad dwadzieścia, ale teraz lepiej spróbuj ostryg.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie mam ani matki, ani ojca, którzy by mi pomogli w zorganizowaniu całej tej ceremonii, a czasami, kiedy na ciebie patrzę, wydaje mi się, że ślub będę brała sama!

- A ja chwilami mam wrażenie, że masz zamiar poślubić kółka do serwetek!

Anna zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, zabrała notes i wyszła z restauracji. Jonathan nie próbował jej zatrzymać. Począł, aż ludzie przy sąsiednich stolikach przestaną niedyskretnie spoglądać w jego stronę i spokojnie wrócił do jedzenia. Korzystając z wolnej reszty popołudnia, pochodził po wielkich sklepach z płytami, a potem stanął przed wystawą, z której wyciągał ku niemu rękawy obszerny czarny sweter. Wałęsając się po uliczkach starego miasta, usiłował dodzwonić się na komórkę Petera, ale odzywała się tylko poczta głosowa. Zostawił mu wiadomość. Nieco później zatrzymał się przed straganem z kwiatami, kupił bukiet czerwonych róż i pieszo wrócił do domu.

Annę zastał w kuchni. Miała na sobie pikowany fartuch, który opinał jej talię i unosił piersi. Nie zwróciła uwagi na bukiet, który położył na stole. Jonathan usiadł na taborecie i z czułością obserwował Annę, która bez słowa przygotowywała obiad. Jej energiczne ruchy świadczyły o tym, że jest wściekła.

- Bardzo mi przykro. Nie chciałem cię zranić.

- To nic nie znaczy! Jeżeli chcę przygotować tę niezapomnianą uroczystość, to robię to dla nas obojga. Jestem z tobą i mam swój udział w twoich sukcesach zawodowych. Wyobraź to sobie! Nie mnie jest potrzebne uznanie wszystkich bogatych i znaczących ludzi na Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy zawieszają na ścianach swoich salonów wybrane przez ciebie obrazy, to po trosze spodziewają się zobaczyć w tym potwierdzenie twoich osiągnięć.

- Nie masz ochoty skończyć tej idiotycznej dyskusji? - przerwał jej. - Lepiej powiedz mi wreszcie, kto będzie twoim świadkiem. Chyba miałaś dość czasu, żeby się zdecydować?

Podniósł się, obszedł stół i próbował objąć Annę, ale go odepchnęła.

- Ludzie muszą ci zazdrościć - parsknęła. - Po to się maluję, po to chodzę na jakieś kursy, dlatego ten dom jest tak utrzymany, a nasze przyjęcia nie mają sobie równych. Cały ten kraj obraca się wokół zazdrości i dlatego nie wymawiaj mi, że tak się martwię o to, żeby wszystko było doskonałe, bo robię to dla ciebie.

- Ja nie sprzedaję obrazów - westchnął. - Ja je oceniam. Gwiżdżę na to, co o mnie myślą jacyś ludzie. A ponieważ mamy się pobrać, muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego: makijaż nic nie znaczy. Kiedy widzę ciebie rano, jesteś dla mnie o wiele piękniejsza niż

wtedy, gdy idziesz wymalowana na jakieś przyjęcie. Rano, w łóżku, nikt nie widzi ciebie takiej, jaką ja cię widzę. Chciałbym, żebyśmy do siebie wrócili, a nie oddalali jak przez te ostatnie tygodnie.

Postawiła na stole butelkę wina, którą zaczęła otwierać, i popatrzyła na niego uważnie. Jonathan podszedł do niej od tyłu, a jego ręce przesunęły się w dół jej pleców, aż do bioder. Rozwiązał pasek fartucha. Anna najpierw trochę się opierała, ale po chwili dała za wygraną.

*

Rano było słonecznie i zimno. Wczorajsza sprzeczka została zapomniana. Jonathan wstał, przygotował śniadanie i zaniósł Annie. Jedli razem, korzystając z długiego niedzielnego poranka. Anna poszła do pracowni, a on dalej leniuchował w łóżku. Nie pomyśleli o lunchu, tylko poszli włóczyć się po zaułkach koło starego portu. O czwartej objedli się po uszy we włoskiej trattorii, a potem wstąpili poprzeglądać półki w wypożyczalni kaset na rogu swojej ulicy.

*

Na drugim końcu miasta spod kołdry wyłoniła się rozczochrana czupryna Petera. Światło dnia wydobyło go w końcu z głębokiego snu. Zerknął ku radiu z budzikiem, stojącemu na nocnym stoliku. Długi poranek, na jaki sobie pozwolił, przeciągnął się ponad wszelkie oczekiwania. Ziewnął szeroko i po omacku poszukał zagrzebanego w pościeli pilota od telewizora. Kiedy go odnalazł, nacisnął jeden z guzików. Umocowany na ścianie przed nim ekran zaczął pokazywać kolejne kanały, a migająca w rogu koperta dawała znać, że przyszedł e-mail. Peter włączył funkcję odczytywania i ukazał się tekst. Nagłówek informował, że list został wysłany dzisiaj, przez pewnego pracownika Domu Aukcyjnego Christie's w Londynie. Na Wschodnim Wybrzeżu USA była piętnasta, a po drugiej stronie oceanu dwudziesta.

- A jednak nie czytali tej gazety. Oni też! - mruknął.

Litery listu były bardzo drobne. Peter nienawidził okularów, które powinien nosić już od kilku miesięcy. Odrzucając myśl o starzeniu, wołał zaaplikować sobie zabawną gimnastykę, polegającą na robieniu grymasów, które miały poprawić mu wzrok. Teraz tekst umykał mu sprzed oczu. Kiedy za trzecim razem zrozumiał, co pisze jego informator, natychmiast sięgnął po telefon i nie patrząc na klawiaturę, wybrał numer, nerwowo czekając na połączenie. Po dziesięciu sygnałach odłożył słuchawkę i spróbował jeszcze raz. Po trzeciej

nieudanej próbie wyszarpnął ze złością szufladę stolika i wyjął komórkę. Zadzwoił na informację i poprosił o jak najszybsze połączenie z rezerwacją British Airways. Przycisnął podbródkiem telefon do ramienia i poszedł do garderoby. Kiedy stanął na palcach, żeby dosięgnąć najwyższej półki i zdjąć walizkę, ta ześlizgnęła się, pociągając za sobą cały stos podróżyńnych toreb. Agent z rezerwacji odezwał się wreszcie, kiedy Peter przeklinał piżamę, która zapodziała się w komodzie.

- Co! Korona królowej jeszcze się nie znalazła i teraz wszyscy jej szukacie?!

*

Była osiemnasta, ale zrobiło się już ciemno od burzy zbierającej się nad miastem. Chmury pęczniały, przemieniając się w wielkie białe worki, które ocierały się o siebie i były tak wypełnione wilgocią, że barwiły się to na złoto, to na czarno. Kilka kropli przeniknęło gęstą zasłonę i zamieniło w srebrzystoszare strugi gwałtownie rozpryskujące się na asfalcie. Jonathan opuścił żaluzje. Przy takiej pogodzie najlepiej spędzić wieczór przed telewizorem. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął kilka puszek z włoskimi przekąskami kupionymi przez Annę. Zapalił gaz, żeby podgrzać zapiekane bakłażany, posypał je obficie parmezanem i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Kiedy miał wybrać wewnętrzny numer do pracowni Anny, zapaliła się lampka sygnalizująca zewnętrzne połączenie.

- Gdzieś ty się podziewał? Po raz dziesiąty próbuję cię złapać!

- Dobry wieczór, Peter!

- Spakuj małą walizeczkę. Czekam na Logan w sali odlotów British Airways. Samolot do Londynu odlataje o dwudziestej pierwszej piętnaście. Zarezerwowałem dla nas miejsca.

- Pomyśl przez dwie sekundy. Wyobraź sobie, że to nie jest niedziela, że nie siedzę w kuchni, przygotowując kolację dla damy, którą mam za miesiąc poślubić, i że nie mam zamiaru obejrzeć z nią *Arszeniku i starych koronek*... O co chodzi z tym wyjazdem?

- Bardzo lubię, kiedy tak gadasz, wydaje mi się, że już jestem w Anglii - odpowiedział zjadliwie Peter.

- Dobrze, stary, miło się z tobą gwarzy, i żeby podtrzymać ton, który tak lubisz, powiem, że jestem w trakcie konwersacji z zapiekаныmi bakłażanami, a więc jeżeli pozwolisz...

- Dopiero co dostałem e-mail z Londynu. Jakiś kolekcjoner chce wystawić na sprzedaż pięć obrazów pewnego mistrza, niejakiego Vladimira Radskina... No i co? Co tam z twoimi łazankami?

- Mówisz poważnie?

- Przy pierwszej okazji poznam cię z moim współpracownikiem. Mam taką ochotę na żarty, jak przed wizytą u dentysty! Jonathanie, albo my, albo konkurenci zorganizują sprzedaż. Ty decydujesz. Transakcja często zależy od ekspertyzy.

Jonathan ściągnął brwi. Nerwowo owijał wokół palca przewód telefonu.

- On nie może mieć na sprzedaż pięciu obrazów Radskina.

- Nie powiedziałem, że mają być sprzedane, tylko że mają być wystawione. Dla zbioru o takim znaczeniu zorganizuję aukcję w Bostonie... I uratuję karierę.

- Peter! Podajesz fałszywą liczbę. Powtarzam ci, że on nie może wystawić pięciu obrazów. Wiem, gdzie znajdują się wszystkie płótna Radskina, poza czterema w kolekcjach prywatnych dotąd niezidentyfikowanymi.

- Ty jesteś ekspertem - powiedział Peter i dodał kpiąco: - Pomyślałem sobie, że odkrycie takiej tajemnicy warte jest trochę więcej niż talerz zapiekanki. Na razie.

Jonathan usłyszał stuk odkładanej słuchawki. Peter rozłączył się, nie mówiąc „do widzenia”. Jonathan odwiesił słuchawkę. Kilka sekund później Anna, która nie uroniła ani jednego słowa z ich rozmowy, zrobiła to samo w pracowni. Owinęła się kaszmirowym szalem, poprawiła włosy i zeszła do kuchni. Jonathan, zamyślony, wciąż stał przy telefonie. Podskoczył na dźwięk jej głosu.

- Kto to dzwonił?

- Peter.

- Co u niego?

- Wszystko w porządku.

Anna poczuła zapach szałwi rozchodzący się po kuchni. Otworzyła piecyk i popatrzyła na zapiekankę, która przyrumieniała się na ruszcie.

- Pora na ucztę. Włożę film i poczekam w pokoju. Umieram z głodu. A ty?

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział niezbyt miłym tonem.

Anna, wychodząc, porwała z blatu mały karczocho i włożyła do ust.

- Przepadam za włoską kuchnią - mruknęła z pełnymi ustami.

Otarła wargi z oliwy i wyszła. Jonathan westchnął, wyjął parujące danie z piecyka i uważnie zastawił tacę. Umieścił przystawki wokół talerza z zapiekanką, a swoją porcję schował do lodówki. Potem otworzył butelkę chianti i napełnił piękny kielich, który postawił obok deseczki z mozzarellą.

Anna usadowiła się na kanapie. Wielki ekran plazmowy już się rozjaśnił, wystarczyło nacisnąć guziczek na pilocie DVD, żeby zaczęła się projekcja filmu Capry.

- Chcesz, żebym przyniosła twój? - zapytała słodkim głosem, kiedy Jonathan postawił talerz na jej kolanach.

Usiadł obok i wziął ją za rękę. Ze skruchą oznajmił, że nie będzie jadł. Zanim zdążyła się odezwać, powiedział jej, o co chodziło Peterowi, i zaczął się tłumaczyć, najdelikatniej jak potrafił. Powinien pojechać, nie tylko ze względu na siebie, ale także na przyjaciela, który znalazł się w trudnej sytuacji. W Christie's nie rozumieją, dlaczego miałyby zlekceważyć taką aukcję. To byłby błąd, mający wpływ na całą jego karierę, na której tak jej zależy. Przez grzeczność dodał też, że zawsze marzył o tym, że podejdzie do tych obrazów, że ich dotknie, że zobaczy ich kolorystykę niezafałszowaną przez obiektyw aparatu i druk na papierze.

- Kto je sprzedaje? - spytała, ledwie poruszając wargami.

- Nic nie wiem. Mogą należeć do spadkobierców marszanda Radskina. Nigdy nie znalazłem żadnego ich śladu na jakiegokolwiek aukcji, a kiedy robiłem pierwszy opisowy katalog jego obrazów, musiałem zadowolić się fotografiami i certyfikatami.

- Ile ich jest?

Jonathan zawahał się, zanim podał liczbę. Wiedział, że nie może podzielić się z nią nadzieją na odkrycie piątego obrazu, o którym mówił Peter. W oczach Anny ostatni obraz Radskina był jedynie złudzeniem wynikającym z niezdrowej i wyniszczającej pasji, którą wzbudzał w jej przyszłym mężu ten stary zwariowany malarz.

Jonathan wszedł do garderoby, otworzył małą walizkę, wybrał kilka starannie złożonych koszul, sweter, parę krawatów i trochę bielizny potrzebnej na pięć dni. Nie usłyszał kroków Anny za swoimi plecami.

- Nie brakuje ci tupetu. Miesiąc przed ślubem znowu mnie zostawiasz i wyjeżdżasz do swojej kochanki.

Jonathan podniósł głowę i popatrzył na sylwetkę przyszłej żony, widoczną w obramowaniu drzwi.

- Moja kochanka to stary malarz. Zwariowany, jak mówisz, który umarł dziesiątki lat temu. Tuż przed naszym ślubem mogłabyś lepiej znać moje upodobania.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć i czy wciąż należę do twoich upodobań.

- Nie to chciałem powiedzieć.

Objął ją, ale go odepchnęła i odwróciła się tyłem.

- Kochany, to cię zgubi.

- Nie mam wyboru. Nie komplikuj tego jeszcze bardziej. Dlaczego, do licha, nie mogę cieszyć się tym razem z tobą?

- A gdyby Peter wezwał cię w przeddzień ślubu, odwołałbyś nasze małżeństwo?

- Peter jest moim najlepszym przyjacielem i naszym świadkiem, nigdy by tego nie zrobił dzień przed ślubem.

- Tak? Myślę, że by się nie krępował!

- Nie masz racji. Pomimo specyficznego poczucia humoru, którego nie rozumiesz, Peter jest bardzo taktowny.

- Wobec tego dobrze to ukrywa. Ale gdyby jednak zadzwonił, to co byś zrobił?

- Myślę, że musiałbym wyrzec się kochanki, aby zalegalizować związek z towarzyszką życia.

Jonathan miał nadzieję, choć nie całkiem w to wierzył, że Anna wreszcie przestanie go dręczyć. Żeby nie podsycać kłótni, którą próbowała przeciągać, zabrał walizkę i poszedł do łazienki po neseser z przyborami toaletowymi. Anna szybko poszła za nim. Wyminął ją, zdjął płaszcz z wieszaka i próbował ją objąć, ale odepchnęła go i zrobiła krok do tyłu.

- Dobrze wiesz, że Peter gotów byłby zadzwonić w dniu ślubu!

Zszedł na dół. Kiedy znalazł się w holu, nacisnął klamkę i odwrócił się, długo patrząc na Annę, która ze skrzyżowanymi ramionami stała na szczycie schodów.

- Nie zrobiłby tego, Anno, bo dobrze wie, że za to bym go zabił.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i pomachał na taksówkę. Woda, która wciąż splotywała po chodnikach, szybko zmyła ślady jego butów. Powiedział kierowcy, żeby go zawiózł do terminalu British Airways na Logan. Kiedy taksówka ruszyła, drewniane listwy żaluzji w oknie pracowni opadły w dół. Anna się uśmiechnęła.

3

Jonathan czekał na Petera przed stanowiskiem, gdzie rejestrowano pasażerów lotu BA 776. Śledził wzrokiem ostatnich, znikających już w wejściu do rękawa. Nagle na jego ramieniu spoczęła czyjaś ręka. Peter dostrzegł skrzywioną minę przyjaciela i pytająco uniośł brwi.

- Wciąż jestem twoim świadkiem?

- Jak tak dalej pójdzie, będziesz świadkiem na mojej sprawie rozwodowej.

- Skoro chcesz, to bardzo chętnie, ale przedtem musisz się ożenić. Trzeba trzymać się jakiejś chronologii.

Funkcjonariusz BA dał im ponaglący znak. Czekają tylko na nich.

Peter usadowił się przy oknie, a Jonathan ledwie zdążył umieścić walizeczkę w schowku, kiedy samolot zaczął kołować.

Godzinę później stewardesa przyniosła tacki z kolacją. Peter grzecznie poinformował ją, że obaj za kolację dziękują. Jonathan popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Nie martw się! - zamruczał tajemniczo Peter. - Wynalazłem dwa cudowne sposoby na umilenie długich lotów. Zaszedłem do twojej ulubionej trattorii i kupiłem coś, co posłuży nam za prawdziwy obiad. Czułem się trochę winny z powodu twoich łazanek.

- To były zapiekane bakłażany - ze złością warknął Jonathan. - Gdzie te specjały, na które mam wielki apetyt?

- W schowku na bagaże. Tuż nad nami. Kiedy tylko stewardesa i jej wózek z potrawami bez smaku znikną za zasłonką, pójdę poszukać naszego obiadu!

- A jaki jest drugi sposób?

Peter przechylił się, żeby sięgnąć do kieszeni, i wyciągnął pudełeczko z lekarstwami, potrząsając nim przed nosem przyjaciela.

- To jest to! - oznajmił zadowolony, pokazując białe pastylki. - Cudowne pigułki! Kiedy się obudzisz i popatrzysz przez okno, zawołasz: „Londyn”!

Wysypał dwie na dłoń i podał jedną Jonathanowi. Ten odmówił.

- Nie masz racji - powiedział Peter, wkładając pastylkę do ust. - To nie jest środek nasenny. Ona po prostu pomaga zasnąć, a jedyny skutek uboczny jest taki, że nie wiesz, kiedy mija lot.

Jonathan nie zmienił zdania. Peter oparł głowę o szybę. Obaj pograżyli się w swoich myślach. Stewardesa, zakończywszy podawanie posiłków, znikła w przedziale dla personelu. Jonathan odpiął pas i wstał.

- W którym? - zapytał, pokazując rząd schowków ciągnących się nad ich głowami.

Peter nie odpowiedział. Jonathan pochylił się i zobaczył, że przyjaciel śpi. Poklepał go po ramieniu, zawahał się przez chwilę i kilka razy nim potrząsnął. Bez skutku. Peter spał jak zabity. Jonathan otworzył klapę tuż nad nimi. Jedne na drugich, leżało kilkanaście płaszczy i toreb, tworząc kłęb nie do ruszenia. Usiadł wściekły. W kabinie zrobiło się ciemno. Po godzinie zapalił lampkę nad głową i zaczął szukać pudełka z pastylkami w kieszeniach marynarki Petera. Tamten, przyciśnięty do okna, chrapał w najlepsze, a jego prawa kieszeń była niedostępna.

Sześć godzin później stewardesa znów pojawiła się w kabinie, pchając wózek. Wyglodzony Jonathan z radością wziął swoje śniadanie. Stewardesa pochyliła się nad Peterem, żeby otworzyć jego stoliczek. Natychmiast się obudził.

- Przecież mówiłem, że zadbałem o kolację! - powiedział, unikając wzroku Jonathana.

- Jeżeli powiesz choć słowo, to następnym razem, kiedy się obudzisz i popatrzysz przez okno, zawołasz: „O! To szpital Świętego Wincentego w Londynie”.

Stewardesa podała Peterowi tackę. Jonathan błyskawicznie zabrał z niej croissanta i brioszkę, którą od razu zaczął pałaszować pod nienawistnym spojrzeniem przyjaciela.

Pojechali taksówką z Heathrow do centrum Londynu.

Jazda przez Hyde Park tak wcześnie rano była cudowna. Można było zapomnieć, że jest się w sercu jednej z największych stolic Europy. Pnie starych drzew wylaniały się z mgły, która wciąż wisiała nad rozległymi trawnikami. Jonathan obserwował dwa siwe, drogiate konie, kłusujące w zaprzęgu po piaszczystej alei. Wyjechali z parku przez Princess Gate. Jeszcze nie było ósmej, ale na rondzie wokół Marble Arch już panował piekielny ruch. Skręcili w Park Lane i taksówka zatrzymała się pod wiatą hotelu Dorchester, stojącego na skraju parku, w eleganckiej dzielnicy Mayfair. Rozeszli się do swoich pokoi. Kiedy po jakimś czasie Peter przyszedł do Jonathana, ten właśnie się przebierał. Otworzył mu drzwi ubrany w białą koszulę i bokserki w szkocką kratę.

- Oto elegancki podróżnik! - zawołał Peter. - Ciekawe, co byś włożył, gdybyśmy pojechali do Afryki. Ten lot mnie umęczył - dodał, zagłębiając się w ogromnym skórzanym

fotelu naprzeciwko okna.

Jonathan bez słowa zniknął w łazience.

- Ciągłe się boczysz?! - krzyknął Peter.

Głowa Jonathana wysunęła się przez uchylone drzwi.

- Spędziłem weekend, patrząc, jak śpisz w samolocie, a miesiąc przed ślubem prawdopodobnie znalazłem się w separacji. Dlaczego miałbym się boczyć? - dorzucił, wiążąc krawat.

- Czy ty zawsze wkładasz spodnie na końcu?

- A tobie to przeszkadza?

- Nie, zupełnie nie, ale gdyby wybuchł pożar, ja czułbym się mniej zażenowany, wybiegając z pokoju tylko bez krawata.

Jonathan zgromił go spojrzeniem.

- Nie rób takich min, to twój malarz nas tutaj sprowadził.

- Czy ten informator jest przynajmniej pewny?

- Z uwagi na to, ile nas kosztuje, powinien dbać o to! On naprawdę napisał w e-mailu: pięć obrazów - odpowiedział Peter, wyglądając przez okno.

- Dobra, dobra. Pomylił się. Uwierz mi!

- E-mail od niego przeczytałem wczoraj, kiedy się obudziłem. Nie mogłem się do niego dodzwonić. Tutaj już było późno, a ja nie mam wpływu na to, jak spędza niedzielne wieczory.

- Spałeś do popołudnia?

- No, wiesz, zarwałem trochę noc... - Peter wyglądał na zawstydzonego. - Ale w końcu to ja poświęciłem weekend, żeby zaspokoić twoją pasję. I nie próbuj robić mi wymówek!

- A nie zrobiłeś tego, bo aukcja tej miary uratuje twoje interesy, panie aukcjonerze?

- No to powiedzmy, że poświęciliśmy weekend dla wspólnej sprawy!

- Masz jeszcze jakieś informacje?

- Mam adres galerii, gdzie od dzisiaj będą wystawione obrazy. Tam też zostaną przeprowadzone ekspertyzy, od których zależy, kogo właściciel czy właściciele wybiorą na szczęśliwego organizatora aukcji.

- Kto jest konkurentem?

- Każdy, kto trzyma młotek i mówi: „sprzedane”. Oczywiście liczę na ciebie i mam nadzieję, że wypadnie na mnie!

Renoma, jaką cieszył się Jonathan, była jednym z atutów w rozgrywce, którą podejmowali różni pośrednicy dla zdobycia praw do zorganizowania aukcji. To że Peter

zjawiał się pierwszy w towarzystwie takiego znawcy jak Jonathan dawało mu od razu znaczną przewagę.

Przeszli przez wielkie lobby hotelu Dorchester, Peter zatrzymał się przy stanowisku głównego portiera. Zapytał, jak dotrzeć pod adres, który miał zapisany na kartce. Jegomość odziany w czerwony uniform żwawo wyszedł zza kontuaru i rozwinął wielki plan miasta, rysując długopisem trasę wiodącą do galerii sztuki. Następnie, bardzo poważnym tonem, zaczął wskazywać i zaznaczać krzyżykami interesujące miejsca, na które należało zwrócić uwagę. Na taką to a taką fasadę, na taki to a taki budynek... Peter ze zniecierpliwieniem wznosił oczy do góry i zapytał, czy nie ma przypadkiem kuzyna lub dalekiego krewnego, który mieszka w Bostonie. Zamurowany tym pytaniem, portier odprowadził ich do obrotowych drzwi i wyszedł z nimi na podjazd, gdzie uznał, że należy jeszcze raz przypomnieć swoje porady. Peter wyrwał mu plan z ręki i wziął Jonathana pod ramię.

Uliczki, którymi szli były zalane słońcem. Fasady domów ciągnących się wzdłuż wyłożonego białymi płytami chodnika rywalizowały ze sobą kolorami. Koszyki z kwiatami zawieszane na latarniach kołysały się w powiewach lekkiego wiatru. Jonathanowi wydało się, że został przeniesiony w jakąś inną epokę. Podziwiając dachy kryte dachówką i gontami, szedł na spotkanie, o którym marzył od zawsze. I nawet jeżeli informator Petera się pomylił i czeka go rozczarowanie, to i tak w jednej z galerii odległych od Picadilly będzie mógł nareszcie na własne oczy zobaczyć kilka ostatnich obrazów Radskina. Już po dziesięciu minutach dotarli pod numer 10. przy Albermarle Street. Peter wyjął z kieszeni kartkę i sprawdził adres. Zerknął na zegarek i zajrzał przez kratę zasłaniającą witrynę galerii.

- Pewnie jeszcze zamknięte - westchnął z żalem.

- Powinieneś pracować w policji - Jonathan zrewanżował mu się za poprzednie docinki.

Po przeciwnej stronie ulicy zauważył małą kawiarenkę. Postanowił tam wstąpić, a Peter ruszył za nim. Miejsce było uroczne. Aromat świeżo zmielonej kawy mieszał się z zapachem bułeczek dopiero co wyjętych z pieca. Nieliczni klienci opierali się łokciami o wysokie stoliki, zajęci czytaniem gazet. Kiedy Jonathan i Peter weszli do środka, żaden z nich nie podniósł głowy. Przy kontuarze ze starego ziarnistego marmuru poprosili o dwie cappuccino i podeszli z filiżankami do stolika przy oknie. I wtedy Jonathan po raz pierwszy zobaczył Clare. Ubrana w beżowy prochowiec, siedziała przy jednym z sąsiednich stolików i przewracała strony „International Herald Tribune”, pijąc kawę z mlekiem. Zajęta lekturą, sparzyła sobie usta, skrzywiła się i nie odrywając oczu od artykułu, który czytała, odstawiła po omacku parujący kubek, jednocześnie szybko przewracając stronę. Bił od niej zmysłowy

czar, który podkreślił jeszcze biały wąsik z mleka nad górną wargą. Jonathan uśmiechnął się i podał jej papierową serwetkę. Clara wzięła serwetkę, nie podnosząc głowy, wytarła usta i machinalnie mu ją oddała. Jonathan schował serwetkę do kieszeni, wciąż ją obserwując. Skończyła czytać coś, co zdecydowanie jej się nie podobało, odłożyła gazetę, kręcąc głową, a potem odwróciła się i popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Czy my się znamy?

Nie odpowiedział. Trzymając w ręku kolejną serwetkę, dotknął jej podbródka. Clara wytarła usta, oddała serwetkę, zastanowiła się przez moment i oczy jej rozbłysły.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak mi przykro. Nie wiem, po co czytam te gazety. Za każdym razem psuje mi to humor na cały dzień.

- A o czym był ten artykuł?

- Nic ważnego. Stwierdzenia niby to techniczne i naukowe, które w końcu nie są niczym innym jak tylko pretensjonalnymi rozważaniami.

- A dokładniej?

- To bardzo miłe z pana strony, że tak się pan tym interesuje, ale pewnie nic by pan z tego nie zrozumiał. To jest strasznie nudne i związane z dziedziną, którą się zajmuję.

- Niech mi pani pozwoli zapytać, cóż to za dziedzina?

Clara spojrzała na zegarek i szybko zabrała szalik leżący na sąsiednim krzeselku.

- Malarstwo! Naprawdę muszę lecieć, jestem spóźniona, czekam na przesyłkę.

Ruszyła do drzwi, a kiedy już miała wyjść, nagle się odwróciła.

- Chcę jeszcze podziękować za...

- Nie ma za co - przerwał jej Jonathan.

Skinęła lekko głową i wyszła. Jonathan obserwował przez okno, jak przebiega przez ulicę. Na chodniku naprzeciwko podeszła do skrzyneczki zawieszanej na ścianie budynku numer 10 na Albermarle Street, włożyła do niej klucz i po chwili metalowa krata nad wejściem do galerii zaczęła się podnosić. Peter podszedł do niego i zapytał:

- Co robisz?

- Myślę, że już możemy tam iść - odpowiedział, widząc, że Clara zniknęła w drzwiach galerii.

- To z nią jesteśmy umówieni?

- Takie mam wrażenie.

- Wobec tego musisz zmienić sposób, w jaki na nią patrzysz.

- O czym ty mówisz?

- Masz mnie za kretyna? Nic w tym dziwnego, tak jest od dwudziestu lat.

W odpowiedzi na zdziwioną minę Jonathana, Peter wykrzywił się, wskazując na swoją brodę. Kiedy wychodzili, zaczął udawać, że wyciera ją chusteczką.

W galerii było jasno od słońca. Jonathan zbliżył twarz do witryny. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz, a dziewczyna musiała pójść gdzieś w głąb pomieszczenia. Nacisnął guziczek dzwonka koło pomalowanych na niebiesko drewnianych drzwi. Peter trzymał się za nim. Po kilku chwilach pojawiła się Clara. Wciąż miała na sobie płaszcz. Zaczęła szukać czegoś w kieszeniach. Uśmiechnęła się, rozpoznając Jonathana, nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi.

- Pewnie zostawiłam klucze na stoliku?

- Raczej nie - odpowiedział Jonathan. - Nie mogłaby pani tu wejść.

- Chyba ma pan rację... może... portmonetkę?

- Też nie.

- Kalendarzyk! Ciągle go gubię i mam piekło z umówionymi spotkaniami.

- Niczego pani nie zostawiła. Zapewniam.

Zniecierpliwiony Peter wysunął się przed Jonathana i podał jej swoją wizytówkę.

- Peter Gwel, reprezentuję Dom Aukcyjny Christie's. Dziś rano przylecieliśmy z Bostonu, żeby się z panią spotkać.

- Z Bostonu? To z dość daleka. Ale przecież siedziba pańskiej firmy znajduje się w Londynie - zauważyła, wpuszczając ich do środka.

Idąc przodem, spytała, czym może służyć. Jonathan i Peter popatrzyli na siebie zdziwieni. Jonathan poszedł za nią w głąb galerii.

- Jestem ekspertem w dziedzinie malarstwa. Dowiedzieliśmy się, że...

Clara przerwała mu z uśmiechem.

- Domyślam się, co was tu sprowadza, chociaż jesteście o wiele za wcześnie. Pierwszej przesyłki oczekuję dziś przed południem.

- Pierwszej? - zdziwił się Jonathan.

- Ze względów bezpieczeństwa obrazy będą przywożone po jednym każdego dnia. Żeby zobaczyć je wszystkie, musicie spędzić w Londynie tydzień. Moja galeria jest niezależna, ale w takich sprawach decydują towarzystwa ubezpieczeniowe.

- Obawia się pani kradzieży podczas transportu?

- Kradzież, wypadek... taka kolekcja powinna być zabezpieczona.

Przed witryną stanął wóz meblowy z napisem „Delahaye Moving”. Clara dała znak kierownikowi ekipy transportowej, który wyskoczył z szoferki. Peter i Jonathan mieli szczęście. Pierwszy obraz właśnie przyjechał. Tylne klapy ciężarówki opadły i trzech ludzi

wnieśli do galerii ogromną skrzynię. Z niezwykłą ostrożnością zdejmowali kolejne płyty dykty, osłaniające obraz. Kiedy wreszcie wyłonił się z drewnianego sarkofagu, Clara pokazała robotnikom miejsce, gdzie miał być zawieszony. Zrobili to z godną podziwu precyzją, a Jonathan płonął z ciekawości. Robotnicy się odsunęli, Clara dokładnie obejrzała ramę i płótno. Zadowolona, podpisała dokument przewozowy, który podał jej kierownik.

*

Od odjazdu ciężarówki minęły prawie dwie godziny. Jonathan i Peter w religijnym skupieniu obserwowali, jak Clara zabezpieczała obraz. Teraz, kiedy podłączyła instalację alarmową i wszedłszy na wysoki stołek, zaczęła nastawiać reflektorki oświetlające dzieło, co chwila proponowali pomoc. Jonathan stanął naprzeciwko i dał jej kilka wskazówek, na które nie zwróciła uwagi. Raz po raz zeskakiwała ze stołka i oceniała efekt swojej pracy. Wymruczawszy kilka słów zrozumiałych tylko dla niej, natychmiast znów wchodziła na stołek, wciąż poprawiając oświetlenie. Peter szepnął do przyjaciela, że dotąd uważał go za głównego opętanego na punkcie rosyjskiego malarza, ale teraz jego pozycja wydaje się zagrożona. Jonathan spojrzał na Petera z ukosa i ten oddalił się, żeby spędzić resztę poranka z komórką przy uchu. Obchodził witrynę, to od ulicy, to od środka, szukając lepszego zasięgu, podczas gdy Clara i Jonathan wymieniali uwagi na temat jakości oświetlenia, którą udało im się osiągnąć. Koło pierwszej Clara stanęła przed obrazem, obok Jonathana. Wyraźnie odprężona, ujęła się pod boki i lekko trąciła go łokciem, co sprawiło, że podskoczył.

- Jestem głodna, a pan?

- O tak!

- Lubi pan japońską kuchnię?

- Tak.

- Czy zawsze jest pan taki rozmowny?

- Tak - odpowiedział Jonathan, zanim dostał następnego kuksańca.

- Ten obraz jest cudowny, prawda? - westchnęła Clara, nie kryjąc wzruszenia.

Na płótnie przedstawiona była scena obiadu w wiejskiej rezydencji.

Kilkunastu biesiadników siedziało na tarasie przylegającym do jakiegoś budynku, pozostali stali trochę dalej, na tle krajobrazu. Ogromna topola okrywała cieniem dwóch wytwornie ubranych mężczyzn. Pociągnięcia pędzla były tak precyzyjne, że można było niemal odczytać z ich warg, o czym rozmawiają. Barwy liści na tle świetlistego nieba ozdabiały to piękne popołudnie, które przeminęło sto lat temu, a zdawało się trwać nadal.

Jonathan pomyślał, że nikt spośród przedstawionych na obrazie ludzi już nie żyje, że ich ciała rozpadły się w proch, ale dzięki pędzlowi Vladimira nie znikną nigdy. Wystarczyło popatrzeć, żeby wyobrazić ich sobie żywych.

W końcu przerwał kontemplację, której oddawali się z Clarą od dobrych kilku minut.

- To jeden z jego ostatnich obrazów. Czy zauważyła pani ten wyjątkowy kąt widzenia? Rzadko maluje się w ten sposób sceny zbiorowe. Vladimir patrzył z góry, żeby powiększyć głębię. Tak, jak by to zrobił fotograf.

- A czy zauważył pan, że przy stole nie ma żadnej kobiety? Za to co drugie krzesło jest puste.

- On nigdy nie malował kobiet.

- Mizogin?

- Niepocieszony wdowiec.

- Sprawdzalam, czy pan wie! Och, chodźmy, mój żołądek się buntuje, kiedy za długo o nim zapominam.

Clara pociągnęła Jonathana. Wychodząc, uruchomiła kamery, pogasiła światła, włączyła alarm, a potem zamknęła drzwi. Peter, który wciąż chodził tam i z powrotem przed galerią, dał znak, że kończy rozmowę i zaraz do nich dołączy.

- Pana kolega chyba ma baterie, które nigdy się nie rozładowują. A może potrafi korzystać z baterii rozmówcy?

- On sam wydziela tyle energii, że może je naładować!

- Pewnie tak jest. Chodźmy, to tu, naprzeciwko.

Przeszli przez jezdnię, weszli do małej japońskiej restauracji i usiedli we wnęce. Kiedy Peter wykonał hałaśliwe *entree* i do nich dołączył, Jonathan podawał Clarze menu.

- Bardzo tu miło - stwierdził Peter, sadowiąc się na krześle. - Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Myślałem, że dzięki różnicy czasu będę mógł poczekać, aż otworzą biuro w Bostonie, ale jastrzębie polują od rana.

- Jesteś głodny? - zapytał Jonathan, podając mu kartę.

Peter otworzył menu i z wyrazem niechęci położył je na stoliku.

- Czy wy na pewno lubicie surową rybę? Ja wolę potrawy, które pozwalają mi zapomnieć, że coś było żywe, zanim zobaczyłem to na talerzu.

- Dawno się znacie, zapytała Clara z rozbawieniem.

Lunch był bardzo miły. Peter roztaczał swoje uroki i rozśmieszał Clarę. Potajemnie nabazgrał kilka słów na serwetce i wsunął Jonathanowi do ręki. Ten rozpostarł ją na kolanach, a po przeczytaniu zmiął w kulkę i upuścił na podłogę. Po drugiej stronie ulicy, pod

londyńskim niebem, teraz zasnutym chmurami, obraz starego rosyjskiego mistrza emanował światłem niegdysiejszego lata, które nigdy nie przeminęło.

Po lunchu Peter pojechał do biura Christie's, a Jonathan i Clara wrócili do galerii. Jonathan spędził całe popołudnie, siedząc na taborecie przed obrazem. Oglądał przez lupę każdy detal i skrupulatnie zapisywał spostrzeżenia w wielkim notatniku.

Pod koniec dnia w galerii zjawiał się fotograf, którego przysłał Peter. Bardzo starannie rozstawił swój sprzęt. Wokół obrazu otworzyły się ogromne białe parasole na trójnogach, połączone przewodami z kamerą 6X6.

W zapadającym zmierzchu witryna galerii rozświetlała się rytmicznie wraz z następującymi po sobie błyskami fleszy. Patrząc z ulicy, można było sądzić, że szaleje tam burza. Gdy nadszedł wieczór, fotograf zaniósł sprzęt do pokoju na tyłach i pożegnał się z Jonathanem. Powiedział, że wróci jutro o tej samej porze, do następnego obrazu. Kiedy żegnał się z Clarą w drzwiach, Jonathan odczytał podpis na dole płótna. To był na pewno *Obiad na wsi* Vladimira Radskina, obraz, który wystawiano w Paryżu na początku XX wieku, potem w Rzymie, przed wojną, i który znajdował się w opisowym katalogu dzieł malarza. Skutki różnicy czasu już od dawna dawały o sobie znać. zaproponował Clarze pomoc przy zamykaniu galerii. Podziękowała mu i powiedziała, że ma jeszcze coś do zrobienia. Odprowadziła go do drzwi.

- To był cudowny dzień. Jestem pani bardzo wdzięczny.

- Mnie nie ma za co dziękować - odpowiedziała cicho. - Trzeba podziękować jemu - dodała, wskazując obraz.

Wychodząc na ulicę, Jonathan z trudem powstrzymał ziewnięcie. Odwrócił się i uważnie popatrzył na Clarę.

- Mam do pani tysiące pytań.

Roześmiała się.

- Myślę, że będziemy mieli na to cały tydzień. Niech pan się wyśpi. Przez całe popołudnie zadawałam sobie pytanie, jak pan może utrzymać się na nogach.

Jonathan zawahał się przez moment i pomachał jej na pożegnanie. Clara zrobiła to samo, a przy krawężniku zatrzymała się czarna taksówka.

- Dziękuję! - zawołał.

Clara stanęła na palcach i pomachała mu jeszcze przez szybę wystawy.

Potem zamknęła drzwi galerii, i znowu wróciła do okna, patrząc z rozmarzeniem na oddalającą się taksówkę. Od obiadu dręczyło ją pewne wrażenie, że już kiedyś spotkała Jonathana. Odczucie to nabrało wręcz obsesyjnego charakteru. Kiedy, siedząc na taborecie,

oglądał obraz, niektóre jego gesty wydawały jej się znajome. Jednak choć bez przerwy o tym myślała, nie mogła sobie uzmysłwić, gdzie i kiedy je widziała. Wzruszyła ramionami i wróciła do biura.

*

Po wejściu do pokoju hotelowego Jonathan zobaczył pulsowanie czerwonej lampki na tarczy telefonu. Natychmiast postawił torbę i nacisnął guzik sekretarki. Głos Petera nie stracił nic ze swojej siły. Obaj zostali zaproszeni na wernisaż i obiad w eleganckiej restauracji, gdzie podają, jak zaznaczył Peter, „porządnie ugotowane, prawdziwe dania”. Proponował, żeby spotkali się w holu o dziewiątej.

Jonathan starał się zignorować przyczynę swojego lekkiego rozczarowania. Zostawił wiadomość na sekretarce w pokoju Petera. Jest zmęczony, woli pójść spać, spotkają się jutro rano. Natychmiast jednak wybrał numer w Bostonie. Nikt nie odbierał. Anna jest pewnie w swojej pracowni i wyłączyła telefon, albo gdzieś wyszła i nie uruchomiła sekretarki. Jonathan rozebrał się i poszedł do łazienki.

Kiedy wrócił otulony obszernym szlafrokiem, sięgnął po notatnik i zaczął odczytywać swoje zapiski. Dotknął palcem małego rysunekku, który zrobił późnym popołudniem na dole strony wypełnionej notatkami. Mimo że portrecik wykonany został dość nieudolnie, można było rozpoznać profil Clary. Westchnął, odłożył notatnik, zgasił światło i założywszy ręce za głowę, czekał, aż nadejdzie sen.

Godzinę później, nadal nie mogąc zasnąć, wysunął się z łóżka, włożył świeżą koszulę i wskoczył w garnitur. Pobiegł długim korytarzem do windy. Już w windzie zasznurował buty, a kiedy drzwi otworzyły się na parterze, kończył wiązać krawat. Zauważył Petera, który stał obok marmurowej kolumny w drugim końcu holu. Jonathan pospieszył ku niemu, ale kiedy się zbliżył, zobaczył obok drugą, wyraźnie kobiecą sylwetkę. Ramię Petera obejmowało talię jakiejś młodej, posągowo zbudowanej niewiasty, której sukienka zakrywała tylko to, co najważniejsze. Jonathan uśmiechnął się i przystanął, a Peter tymczasem zniknął wraz z miłym towarzystwem za głównymi drzwiami. Stojąc samotnie w holu, Jonathan spojrzał w stronę baru i postanowił tam pójść.

Lokal był pełen ludzi. Kelner znalazł mu stolik i Jonathan zagłębił się w pokrytym czarną skórą, klubowym fotelu. Jeden burbon i firmowy sandwich pewnie pomoże mu zwalczyć skutki różnicy czasu i związane z tym dziwne zachcianki.

Otworzył gazetę i w tym momencie jego wzrok przyciągnęły srebrne włosy kobiety

siedzącej przy barze. Jonathan przechylił się, ale stłoczeni tam ludzie zasłaniali mu widok i nie mógł zobaczyć jej twarzy. Obserwował ją przez kilka chwil. Wydawało się, że przywołuje barmana.

Już miał wrócić do lektury, kiedy dostrzegł, że trzymając szklankę whisky w piegowatej dłoni, kobieta w bardzo szczególny sposób potrząsa pływającymi w niej kostkami lodu. Potem zauważył też pierścionek na jej palcu. Serce mu zabiło i natychmiast wstał. Przepychając się, z trudem dotarł do baru.

Na barowym stołku siedziała już inna kobieta. Otaczała ją gromada biznesmenów, którzy ochoczo zaproponowali, żeby się do nich przyłączył. Jonathanowi z trudem udało się uwolnić od rozbawionego towarzystwa. Stał na palcach i ponad głowami tłumu, jak nad falami morza, zobaczył srebrną głowę przesuwającą się do wyjścia. Kiedy tam dotarł, kobiety już nie było. Wybiegł na zewnątrz i zapytał portiera, czy nie widział siwej pani, która przed chwilą wychodziła. Ten odpowiedział z zażenowaniem, że ze względu na swoje stanowisko nie może udzielać tego rodzaju informacji... Jesteśmy w Londynie.

*

Jonathan i Peter spotkali się rano, żeby pobiegać po parku.

- Ty to masz zdrowie! Każdy, komu przesunął się zegar, nie może zasnąć. Tobie się udało?

- Nie, nie zmrużyłem oka. A ty? Jak minął wieczór?

- Nudny, jak na życzenie. W godnym towarzystwie.

- Czyżby? A jaka ona była?

- Godna uwagi!

- Taka mi się wydawała.

Peter oparł się na ramieniu Jonathana.

- No dobrze. Powiedzmy, że w ostatnim momencie zmieniłem plany, ale to dlatego, że nie było ciebie. Mam ochotę na kawę - dodał weselszym tonem. - Ja też niewiele spałem.

- Oszczędź mi szczegółów - przerwał Jonathan.

- Jesteś w dobrym humorze. To świetnie. Nasi konkurenci nie skompletują swoich ekip przed piątkiem, a to daje nam tydzień przewagi, żeby złapać tę aukcję. Proszę jednak, żebyś przybrał bardziej uwodzicielską minę, kiedy odwiedzimy naszą antykwariuszkę. Nie wiem jeszcze, do kogo należą te obrazy, ale jej zdanie zadecyduje, a mnie się wydaje, że twój urok nie jest jej obojętny.

- Peter, nie pieprz!

- Miałem rację! Jesteś w cudownym humorze! - wykrztusił Peter. - Musisz tam pójść teraz.

- Przepraszam?

- Przecież nie marzysz o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wrócić do oglądania tego twojego obrazu. Leć!

- Ty ze mną nie pójdziesz?

- Mam robotę. Wywóz obrazów Radskina do Stanów to nie jest coś, co można tak od razu załatwić.

- To zorganizuj aukcję w Londynie.

- Podczas aukcji potrzebuję ciebie.

- Więc w czym problem?

- Kiedy wrócisz do hotelu, zajrzyj do swojego kalendarzyka. Podobno pod koniec czerwca masz wziąć ślub w Bostonie.

- Chcesz sprzedać te obrazy w ciągu miesiąca?

- Katalog będzie rozesłany za dziesięć dni. Mogę zdążyć.

- Nie widzisz, że gadasz od rzeczy?

- Wiem, że to wariactwo, ale nie mam wyboru - mruknął Peter.

- To gorzej niż wariactwo!

- Jonathanie, ten artykuł zepchnął moją firmę na samo dno. Wczoraj ludzie na korytarzach patrzyli na mnie jak na nieboszczyka.

- To już zupełna paranoja!

- Wolałbym, żeby to była paranoja. Niestety, sprawy idą fatalnie, wierz mi. Ta aukcja może mnie uratować. A ty jesteś mi potrzebny jak nigdy dotąd. Pamiętaj, że obaj zajmowaliśmy się tym twoim starym malarzem. Jeżeli stracimy przetarg, nie mam do czego wracać. Podobnie jak ty.

W londyńskiej siedzibie Christie's także i w tym tygodniu panował piekielny ruch. Wszędzie tłoczyli się eksperci, aukcjonerzy, sprzedawcy i klienci. Specjaliści ze wszystkich działów pracowali od rana do nocy, ustalając daty sprzedaży w filiach na całym świecie, weryfikując katalogi i rozdzielając najwybitniejsze dzieła pomiędzy prowadzących przetargi. Peter musiał przekonać ludzi z centrali, żeby pozwolili mu na wywóz obrazów Radskina do Bostonu. Jeszcze niewiele ponad miesiąc temu pod jego młotek trafiały płótna mistrzów XIX wieku, o których wspominały międzynarodowe czasopisma poświęcone sztuce. Jednak zmienianie ustalonych planów nie leżało w zwyczaju jego zwierzchników. Peter wiedział, że

zadanie będzie trudne i po cichu sam przestawał w sobie wierzyć.

Było trochę po dziesiątej, kiedy Jonathan znalazł się przed domem numer 10 przy Albermarle Street. Clara już była w galerii. Zobaczyła przez okno, że wysiadł z taksówki i udał się do kawiarenki naprzeciwko. Wyszedł stamtąd po kilku minutach z dwoma wielkimi cappuccino w plastikowych kubkach, a ona otworzyła drzwi. Koło jedenastej przed galerią stanął wóz Delahaye Moving. Skrzynia z drugim obrazem została umieszczona na podeście pośrodku galerii i Jonathan poczuł rosnące napięcie. Wciąż miał w sobie coś z dziecka, co pozwalało mu wpadać w zachwyty. Jak wielu dorosłych z jego otoczenia zachowało tę cudowną zdolność? Jonathan, co niektórym mogło wydawać się staromodne, potrafił cieszyć się kolorami zachodzącego słońca, zapachem wiosny, uśmiechem na twarzy mijającej go kobiety lub dreptaniem jakiegoś staruszka, a także zwykłymi odruchami serca. I mimo że Peter często się z niego śmiał, Jonathan pozostał wierny przyrzeczeniu, które złożył pewnego dnia swojemu ojcu: że nigdy nie przestanie się zachwycać. Ukrywanie niecierpliwości wydało mu się jeszcze trudniejsze niż wczoraj. Być może jeszcze długo będzie musiał czekać na dzieło, o którym tak marzył. Mogło wcale nie znajdować się w tej kolekcji. Jednak Jonathan wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Patrzył na robotników odbijających, jedną po drugiej, jasne drewniane płyty. Z każdą płytą, którą kierownik ekipy starannie odstawiał pod ścianę, Jonathanowi mocniej uderzało serce. Clara splatała ręce za plecami. Ona też drżała z niecierpliwości.

- Wolalbym, żeby od razu zerwali te deski i żebym go już zobaczył - mruknął Jonathan.

- To dlatego, że robią odwrotnie, niż im mówiłam - powiedziała cicho.

Skrzynia była jeszcze bardziej imponująca niż poprzednia. Rozpakowywanie obrazu mogło potrwać bardzo długo. Przewoźnicy zrobili sobie przerwę. Poszli posiedzieć na klapie ciężarówki i skorzystać ze słońca. Clara zamknęła galerię i zaproponowała Jonathanowi, żeby odetchnęli trochę świeżym powietrzem. Kiedy szli w górę ulicy, nagle zamachała na taksówkę.

- Spacerował pan kiedyś nad Tamizą?

Szli pod drzewami wzdłuż nabrzeży. Jonathan odpowiadał na wszystkie pytania zadawane przez Clarę. Spytała, co skłoniło go do tego, żeby zajął się studiami nad malarstwem, i bezwiednie otworzyła drzwi do jego przeszłości. Kiedy usiedli na ławce, Jonathan opowiedział, jak pewnego jesiennego popołudnia ojciec po raz pierwszy zaprowadził go do muzeum. Opisał jej ogromną salę, w której się znalazł. Ojciec puścił jego rękę na znak, że może robić, co chce. Jonathan zatrzymał się nagle przed jednym z obrazów.

Namalowany na nim człowiek zdawał się patrzeć tylko na niego.

„To autoportret, powiedział cicho ojciec. Artysta namalował siebie. Wielu tak robiło. Przedstawiam ci Vladimira Radskina”.

Chłopiec, dopuszczony do tajemnicy, zaczął przekomarzać się ze starym malarzem. Jednak gdziekolwiek odszedł, czy to za kolumną, czy w głąb sali, w jedną lub drugą stronę, czy poruszał się wolno, czy szybko, do przodu czy do tyłu, wzrok tamtego podążał za nim. I tylko za nim. Nawet kiedy zacisnął powieki, wiedział, że „człowiek z obrazu” wciąż na niego patrzy. Zafascynowany, wrócił do płótna i godziny, które przed nim spędził, ciągnęły się w nieskończoność. Było tak, jak gdyby wszystkie zegary świata przestały tykać, jakby pod wpływem jednego uczucia, jednego spojrzenia, spotkały się dwie epoki. Dwunastoletni Jonathan poddał się wyobrażeniu, że dzięki śladowi pędzla na płótnie, wbrew wszelkim prawom fizyki, oczy człowieka sprzed wieków mówią mu coś, co tylko on może zrozumieć.

Ojciec usiadł na ławce za nim. Jonathan, zniewolony, kontemplował autoportret, a ojciec wpatrywał się w najpiękniejszy dla siebie obraz, w niego.

- Gdyby tata nie zaprowadził pana wtedy do muzeum, co by pan robił w życiu? - nieśmiało zapytała Clara.

Czy to jego ojciec, ten zawsze uśmiechnięty człowiek, pokazał mu wtedy tamten obraz? Czy kierowało nimi przeznaczenie? Jonathan nie odpowiedział. Zapytał natomiast Clary, co ją łączy ze starym rosyjskim malarzem. Uśmiechnęła się, popatrzyła na widocznego w oddali Big Bena, podniosła się z ławki i zamachała na taksówkę.

- Mamy jeszcze dużo pracy - powiedziała.

Jonathan nie nalegał. Zostały mu jeszcze dwa dni, a jeśli szczęście się do niego uśmiechnie, i ten piąty obraz naprawdę istnieje, może spędzi z nią nawet trzy.

*

Następnego ranka Jonathan znowu przyszedł do Clary, a przewoźnicy dostarczyli kolejne dzieło. Gdy byli zajęci rozpakowywaniem, pod galerią zatrzymał się jaskrawoczerwony austin mini. Wsiadł z niego młody człowiek, i niosąc plik dokumentów, wszedł do środka. Clara dała mu znak, żeby poczekał, i znikła na zapleczu. Nieznajomy w milczeniu obserwował Jonathana. Po dziesięciu minutach Clara pojawiła się ubrana w skórzane spodnie i gorsecik, wyraźnie pochodzące od jakiegoś dobrego projektanta.

Jonathana zafascynował zmysłowy urok, jaki teraz roztaczała.

- Wrócimy za dwie godziny - powiedziała do młodego człowieka.

Złapała szybko dokumenty leżące na biurku i idąc ku drzwiom, odwróciła się do Jonathana.

- Pan jedzie ze mną - rzuciła.

Na ulicy pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- On ma na imię Frank. Pracuje w innej mojej galerii. Sztuki nowoczesnej! - dodała, poprawiając gorsecik.

Jonathan, nieco oszołomiony, otworzył drzwi jej samochodu. Clara wsunęła się do środka i gramoląc się nad lewarkiem zmiany biegów, usadowiła się na prawym siedzeniu.

- Kierownica jest u nas po innej stronie niż u was - roześmiała się, zapalając silnik.

Jej galeria w Soho była pięć razy większa niż ta w Mayfair. Dzieła tam wystawione nie wchodziły w zakres kompetencji Jonathana, ale rozpoznał trzy obrazy Basquiata, dwa Andy'ego Warhola, po jednym Bacona i Willema de Kooninga, a pośród wielu innych obiektów, kilka nowoczesnych rzeźb, w tym dwie Giacomettiego i dwie Chillidy.

Clara rozmawiała przez dwie godziny z klientem, poleciła asystentowi przewiesić dwa obrazy, dotknęła dyskretnie jednego z mebli, sprawdzając, czy nie jest zakurzony. Podpisała też dwa czeki, które podała jej, w pomarańczowo oprawionym skoroszybie, młoda dziewczyna o rudych włosach związanych kilkoma zielonymi wstążkami. Wreszcie napisała jakiś list na komputerze mogącym uchodzić za jedno z eksponowanych tam dzieł sztuki nowoczesnej i usatysfakcjonowana, zaproponowała Jonathanowi, żeby pojechał z nią do jednego z jej partnerów handlowych. Poprosiła, by zawiadomiono Franka, że będzie musiał zostać w Mayfair trochę dłużej, i pożegnawszy czworo pracowników galerii, ruszyła z Jonathanem do samochodziku. Lawirowała zręcznie po wąskich uliczkach Soho i udało jej się wślizgnąć na jedyne wolne miejsce przy Greek Street. Jonathan czekał, gdy negocjowała warunki zakupu monumentalnej rzeźby u jakiegoś marszanda. Na Albermarle Street wrócili dopiero po południu. Płótno nie było tym, na które czekał, ale jego piękno zrekompensowało mu rozczarowanie.

Przyjście fotografa rozwiało ulotną atmosferę bliskości, w której oboje, o tym nie mówiąc, czuli się szczęśliwi. Podczas gdy Jonathan badał obraz, Clara porządkowała papiery i sporządzała notatki. Od czasu do czasu podnosiła oczy i go obserwowała. On robił to samo, a kiedy z rzadka ich spojrzenia się spotykały, szybko odwracali wzrok, unikając potwierdzenia, że to nie przypadek.

Peter spędził cały dzień w siedzibie Christie's, zajęty zbieraniem dokumentów potrzebnych do przygotowania aukcji. Jeżeli nie siedział u któregoś z urzędników, udowadniając mu, że może wszystko zorganizować na czas, zamykał się w archiwum. Siedząc przed monitorem terminalu połączonego z komputerem dającym dostęp do jednego z największych na świecie banków danych dotyczących dzieł sztuki z prywatnych kolekcji, znajdujących się na rynku, kopiował i selekcionował wszystkie artykuły na temat Radskina i wszystkie reprodukcje jego obrazów, jakie ukazały się w ciągu ostatnich stu lat. Posiedzenie rady, na którym miano zdecydować o losie Petera, zostało przesunięte na następny dzień, a on miał wrażenie, że z godziny na godzinę kołnierzyk koszuli robi się coraz ciaśniejszy.

Odnalazł Jonathana w hotelu, żeby zabrać go na biznesową kolację. Jonathan nie cierpiał takich imprez. Był to jednak zawodowy obowiązek i dlatego robił dobrą minę do złej gry na przedstawieniu musicalowym, na które przyszli wszyscy ważni reprezentanci rynku dzieł sztuki i najwięksi kolekcjonerzy. Pod koniec spektaklu wyszedł i już nie wrócił. Idąc ulicami Covent Garden, myślał o tym, jak kiedyś kipiały życiem. Teraz z monumentalnych fasad odpadał tynk, a cała dzielnica, dawniej należąca do najelegantszych w tej wielkiej metropolii, była obskurna i niezbyt bezpieczna. To gdzieś tutaj, koło latarni słabo oświetlającej bruk, mógłby sto pięćdziesiąt lat temu spotkać pewnego rosyjskiego malarza, który szkicował węglem postacie przechodniów kręcących się po rynku.

Peter natomiast spotkał dawną przyjaciółkę, Włoszkę, która na krótko przyjechała do Londynu. Zawahał się przez chwilę, kiedy miał ją zaprosić na ostatniego drinka. Ale przecież posiedzenie miało się odbyć dopiero jutro po południu, czyli w porze, kiedy on zawsze czuje przypływ energii, a teraz jest dopiero północ. Objął Melenę i wszedł z nią do nocnego klubu.

*

Jonathan wstał wcześniej. Ponieważ nie spotkał Petera w holu, postanowił spacerem pójść do galerii. Został opuszczoną kratę, więc kupił gazetę i czekał na Clarę w kawiarni. Trochę później znalazł go tam Frank i podał mu kopertę.

*Drogi Jonathanie,
przepraszam za moją nieobecność, ale nie będę mogła być z Panem dziś rano.
Frank przyjmie za mnie obraz, a galeria jest oczywiście dla Pana otwarta. Wiem,
że będzie się Pan niecierpliwił przed obejrzeniem dostarczonego dzisiaj płótna.
Jest cudowne. Tym razem Panu zostawiam sprawę jego oświetlenia. Wiem, że*

zrobi to Pan doskonale. Wróć, kiedy tylko będę mogła. Życzę pięknego dnia w towarzystwie Vladimira. Bardzo chciałabym być razem z Wami.

Serdeczności, Clara

Zamyślony, złożył kartkę i schował do kieszeni. Kiedy podniósł głowę, Frank już był w galerii. Wóz Delahaye Moving właśnie zatrzymał się przy krawężniku. Jonathan został przy kontuarze i jeszcze raz przeczytał list. Poszedł do Franka o jedenastej, a do dwunastej nie zamienili nawet jednego słowa. Kierownik ekipy przewozowej powiedział, że rozpakowywanie potrwa jeszcze długo. Jonathan spojrzął na zegarek i westchnął. Nie miał ochoty nawet na zajęcie się obrazami, które już wisiały.

Podszedł do okna i zaczął liczyć przejeżdżające samochody. Potem zgadywał, ile czasu zajmie strażnikowi miejskiemu z przeciwnej strony ulicy spisywanie jakiegoś protokołu. Policzył też, że do kawiarni weszło siedem osób, cztery z nich zostały w środku, a trzy wzięły coś na wynos. Latarnia miała zapewne dwa metry wysokości. Zjawił się czerwony cooper, ale pojechał dalej. Jonathan westchnął, poszedł do biura Clary i zatelefonował.

- Gdzie jesteś? - zapytał Petera.

- W piekle! Mam cholernego kaca, a moje posiedzenie przyspieszono o godzinę.

- Jesteś gotowy?

- Wziąłem cztery aspiryny, a jeśli chcesz wiedzieć, zamierzam teraz wziąć piątą. Co z twoim głosem? - zapytał Peter, kiedy Jonathan już miał odłożyć słuchawkę.

- A co ma być?

- Nic. Można by pomyśleć, że właśnie pochowałeś babcię.

- No nie, chłopie, to już było dawno temu.

- Przykro mi. Przepraszam. Wiesz, mam stracha.

- Trzymaj się. Stawiam na ciebie. Wszystko pójdzie jak trzeba.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Franka, który krzątał się na zapleczu.

- Dawno pan tu pracuje? - zapytał i odkaslnął.

- Niedługo minie trzy lata, od kiedy pani Clara mnie przyjęła - odpowiedział Frank, wsuwając szufladkę z fiskami.

- Dobrze się rozumiecie?

Frank popatrzył na niego z zakłopotaniem i wrócił do pracy. Godzinę później Jonathan znowu spróbował przerwać milczenie, proponując młodzieńcowi, żeby poszli zjeść hamburgera. Niestety, Frank okazał się wegetarianinem.

*

Peter wszedł do sali posiedzeń i zajął jedyne wolne miejsce przy owalnym mahoniowym stole. Usadowił się wygodnie i czekał, aż będzie mógł zabrać głos. Ilekroć mówił ktoś z zebranych, Peterowi wydawało się, że do uszu wjechał mu batalion czołgów i ćwiczy strzelanie w skroń. Dyskusja ciągnęła się bez końca. Sąsiad z prawej zrzekł się głosu i Peter wreszcie mógł mówić. Członkowie rady przeglądali dokumentację, którą rozdał im wcześniej. Omówił dokładnie kalendarium aukcji i skoncentrował się na tej, którą miałby zorganizować w Bostonie po koniec czerwca. Kiedy powiedział, że chce dodać do niej ostatnio ujawnione obrazy Vladimira Radskina, przez salę przeszedł pomruk. Głos zabrał dyrektor przewodniczący zebraniu. Przypomniawszy Peterowi, że galeria, w której wystawiono te płótna, cieszy się ustaloną renomą. Skoro jej właścicielka chce powierzyć dzieła tego malarza Domowi Aukcyjnemu Christie's, ma prawo oczekiwać, że zajmiemy się jej interesami z jak największą starannością. Nie ma powodu do pośpiechu. Aukcje, które mają się odbyć w drugim półroczu w Londynie, zupełnie wystarczą.

- Wszyscy czytaliśmy ten artykuł i bardzo ci, mój drogi, współczujemy, ale nie sądzę, żeby udało ci się przedstawić obrazy Radskina jako coś nadzwyczajnego. To jednak nie Van Gogh! - zakończył wesoło.

Tłumione śmiechy kolegów nie dotknęły Petera, ale dowodziły, że zostało mu niewiele argumentów.

Weszła asystentka, niosąc na tacy ciężki srebrny dzbanek. Obrady przerwano, żeby mogła obejść stół i wszystkich obsłużyć. Przez drzwi, które pozostały otwarte, Peter zobaczył Jamesa Donovana, wychodzącego z jednego z biur. To właśnie Donovan wysłał mu w ostatnią niedzielę e-mail do Bostonu.

- Przepraszam - zająknął się i wyszedł na korytarz.

Złapał Donovana za rękaw i odciągnął trochę dalej.

- Niech pan mi powie - zacharczał ze ściśniętym gardłem - zostawiłem panu sześć wiadomości w ciągu dwóch dni. Zapomniał pan numeru mojego telefonu?

- Dzień dobry, panie Gwel - odpowiedział spokojnie tamten.

- Dlaczego pan do mnie nie dzwonił? Czy pan też czyta za dużo gazet?

- Ukradli mi komórkę i nie wiem, o czym pan mówi.

Peter zmusił się do zachowania spokoju. Złapał Donovana za kłapy marynarki i pociągnął jeszcze dalej.

- Mam jedno bardzo ważne pytanie i dlatego proszę, żeby uruchomił pan wszystkie

szare komórki, jakie pan posiada, żeby odpowiedzieć mi na to jedno jedyne pytanie, które chcę zadać.

- Zrobię, co w mojej mocy, zapewniam pana.

- Chodzi o Radskina. Czy na pewno napisał mi pan w swoim mailu, że mówiono o pięciu obrazach?

Młody człowiek wyjął mały, oprawiony w skórę notes. Przewertował go w jedną stronę, potem w drugą, i jeszcze raz. Wreszcie trafił na właściwą kartkę i wykrzyknął z zachwytem:

- Dokładnie tak!

- A jak pan dowiedział się o tej cyfrze? Dokładnie. Jak? - dopytywał się Peter, coraz bardziej zirytowany.

Donovan wyjaśnił, że jedna z galerii zwróciła się do Christie's, a on został wysłany na spotkanie w zeszły piątek, o czternastej trzydzieści, pod numer dziesiąty przy Albermarle Street. Przyjęła go sama właścicielka i udzieliła wszystkich informacji. Wróciwszy do biura o szesnastej, sporządził raport ze spotkania i oddał dyrektorowi swojego departamentu o szesnastej czterdzieści pięć. Ten zapytał, czy do tego malarza jest przypisana jakaś osoba uprawniona przez Christie's. Panna Blenz z biura studiów wymieniła Petera Gwela, który stale współpracuje z Jonathanem Gardnerem, specjalistą od malarstwa Radskina.

- Poczuję się w obowiązku wysłać panu wiadomość pocztą elektroniczną, co zrobiłem w piątek po południu.

Peter popatrzył na niego uważnie i stwierdził rzeczowo:

- To jest rzeczywiście bardzo dokładne, panie Donovan. Podziękowawszy mu, odetchnął pełną piersią i wrócił na salę.

- Mam dostateczny powód, żeby zaprezentować te obrazy dwudziestego pierwszego czerwca w Bostonie - oznajmił dumnie.

Komisja podjęła decyzję. Jeżeli ostatni obraz Radskina rzeczywiście istnieje i jeśli jest to naprawdę największe jego dzieło, a Jonathan Gardner zobowiąże się do przeprowadzenia ekspertyzy w jak najkrótszym czasie, to w tym wypadku, i tylko w tym wypadku, Peter będzie mógł zorganizować aukcję w czerwcu. Zanim pozwolono Peterowi opuścić salę, dyrektor sformułował wobec niego formalne ostrzeżenie. Oznajmił, iż żaden błąd popełniony w trakcie realizacji tego przedsięwzięcia, które wydaje mu się ryzykowne, nie będzie tolerowany, a Peter, jako prowadzący aukcję, odpowiada przed partnerami.

Clara nie pojawiła się w galerii przez cały dzień. Zadzwoiła po południu, by usprawiedliwić swoją nieobecność. Jonathan pracował razem z Frankiem nad odpowiednim

zawieszeniem czwartego obrazu i jego właściwym oświetleniem. Resztę czasu poświęcił ekspertyzie. Kiedy fotograf zaczął przygotowywać kolejne ujęcia, Jonathan poszedł na kawę. Szukając drobnych, znalazł w kieszeni marynarki papierową serwetkę, którą podał Clarze podczas ich pierwszego spotkania. Poczł zapach perfum z nutą piżma. Do hotelu wrócił pieszo. Pod wieczór przyszedł Peter. Zamienili zaledwie kilka słów. Obaj byli zamyśleni. Peter, zmęczony i wciąż cierpiący na ból głowy, szybko poszedł się położyć.

Wróciwszy do swojego pokoju, Jonathan nagrał na sekretarkę wiadomość dla Anny, a potem wyciągnął się na łóżku, żeby przejrzeć notatki zrobione w ciągu dnia.

Kiedy skończył, włączył telewizor. Przeleciawszy po wszystkich kanałach, wstał i podszedł do okna. Park Lane przejechało szybko kilka aut. Popatrzył na ciągnącą się za nimi czerwoną wstęgę świateł. Na skrzyżowaniu zwolnił czerwony mini cooper i oddalił się w kierunku Notting Hill.

4

Ten piątek na początku czerwca miał być prawdopodobnie jednym z najważniejszych dni jego życia. Jonathan już wstał. Pusta ulica świadczyła o tym, że jest jeszcze bardzo wcześnie. Usiadł przy biurku w rogu pokoju i napisał list do Anny, żeby wysłać go faksem, zanim wyjdzie z hotelu.

*Claro,
co wieczór, bez skutku, próbowałem się z Tobą skontaktować. Mogłabyś przynajmniej zmienić powiadomienie na naszej sekretarce, wtedy chociaż słyszałbym Twój głos. Teraz, kiedy to piszę, Ty jeszcze śpisz. Tutaj już wschodzi słońce. Wołałbym, żebyś tu była, szczególnie dzisiaj. Możliwe, że tego ranka zobaczę wreszcie obraz, który od tylu lat spodziewałem się ujrzeć. Nie chcę być przesadnym optymistą, ale w ciągu dni spędzonych w Londynie, pogodziłem się z myślą, że w to wierzę. Czyżby miał to być koniec moich dwudziestoletnich poszukiwań?*

Przypominam sobie noce, kiedy samotnie, w moim pokoju, czytałem godzinami prace, w których znajdowały się sugestie dotyczące istnienia tego niezwykłego dzieła. Ostatni obraz Vladimira będzie przedmiotem mojej najpiękniejszej ekspertyzy.

Chciałbym, żeby sprawy, które oddaliły nas od siebie, nie przeszkadzały w przygotowaniach do naszego ślubu. Jednak może tych kilka dni spędzonych osobno dobrze nam zrobi? Chciałbym wrócić do Bostonu i chciałbym, żebyśmy się odnaleźli, wbrew wszystkim napięciom ostatnich, zbyt długich tygodni, które nas od siebie oddalały.

Myślę o Tobie. Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie dobrze. Odezwij się.

Jonathan

Włożył list do kieszeni marynarki i postanowił, że do galerii pójdzie piechotą, korzystając z łagodnej atmosfery budzącego się dnia. Znalazłszy się w holu, zostawił list recepcjonistce i wyszedł na ulicę. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park. Na drzewach były już liście, a klomby rywalizowały barwami. Jonathan ruszył w głąb parku, aż do mostka nad stawem, i patrzył na pelikany majestatycznie przemierzające spokojną wodę. Kiedy zawrócił w aleję, pomyślał, że mógłby żyć w tym mieście, które wydawało mu się dziwnie znajome. Był już czas, więc poszedł do galerii. Najpierw usiadł w kawiarni, czekając, aż zjawi się Clara. Przed niebieskimi drzwiami zatrzymał się austin i Clara włożyła klucz do skrzynki od alarmu na fasadzie domu. Żelazna krata zaczęła sunąć do góry, otwierając ich dzień. Clara zawahała się. Krata zatrzymała się w połowie i opadła, a ona obróciła się na pięcie, żeby przejść przez jezdnię.

Weszła zdecydowanym krokiem do kawiarni i po paru chwilach znalazła się przy nim z dwoma parującymi kubkami w ręku.

- Cappuccino bez cukru! Uwaga, gorące.

Jonathan popatrzył na nią zdumiony.

- Żeby poznać czyjeś przyzwyczajenia, trzeba tylko przez jakiś czas go obserwować - powiedziała, przysuwając mu kubek. - Kocham niebo. Miasto wygląda zupełnie inaczej, kiedy jest ładna pogoda.

- Mój ojciec mawiał, że kiedy kobieta zaczyna rozmawiać o pogodzie, to znaczy, że chce uniknąć innych tematów.

- A o czym mówiła pana matka?

- Jeżeli mówiła o pogodzie, to ostatnią rzeczą do zrobienia byłoby zwrócić jej na to uwagę.

- Miała rację!

Patrzyli na siebie przez chwilę i Clara się roześmiała.

- Pan jest z pewnością żonaty?

W tym momencie do kawiarni wszedł Peter. Ukłonił się Clarze i od razu zwrócił się do Jonathana:

- Musimy pogadać.

Clara wzięła torebkę, popatrzyła uważnie na Jonathana i powiedziała, że musi otworzyć galerię, a ich zostawia, żeby sobie porozmawiali.

- Mam nadzieję, że nie przerwałem wam w ważnym momencie - powiedział Peter, biorąc kubek Clary.

- O co chodzi? - zapytał Jonathan.

- Jeśli powiesz: śmierć palantom, uważaj, bo nastąpi prawdziwa hekatomba. Moi angielscy partnerzy mają zamiar zmienić decyzję. Stwierdzili, że Radskin przez większość życia malował w Anglii i że wobec tego jego obrazy powinny zostać wystawione na aukcji w Londynie.

- Vladimir był Rosjaninem, nie Anglikiem!

- Tak, dziękuję, to już im powiedziałem.

- Co chcesz zrobić?

- Chcesz zapytać, co już zrobiłem? Powiedziałem, że ta aukcja odbędzie się tam, gdzie mieszka największy znawca malarstwa Radskina.

- Tak?

- Chodzi o ciebie, ty durniu!

- Lubię, kiedy tak mówisz.

- Rzecz w tym, że zarząd nie widzi żadnej przeszkody, żeby pokryć koszty twojego pobytu w Londynie, na czas, który uznasz za potrzebny.

- To bardzo ładnie z ich strony.

- Najadłeś się prochów na śniadanie? Wiesz dobrze, że to niemożliwe!

- Dlaczego?

- Bo za trzy tygodnie bierzesz ślub w Bostonie, a moja aukcja odbędzie się dwa dni potem! Ta antykwariuszka zawróciła ci w głowie, stary. Boję się o ciebie.

- Czy oni wzięli ślub pod uwagę?

- Oni nie lubią pośpiechu. Konserwatyści! Woleliby poczekać na twój powrót.

- Nie myślisz, że tak byłoby lepiej? My też mielibyśmy więcej czasu.

- Myślę, że przez dwadzieścia lat nauczyłem się czegoś, słuchając twoich odczytów. Radskin zasługuje na wielkie aukcje, a w czerwcu zjawią się na nich najwięksi kolekcjonerzy.

- A ja uważam, że aukcja obrazów Radskina będzie zupełnie wyjątkowa, że zatkasz gęby złośliwym krytykom, i myślę, że jako twój przyjaciel, pomogę ci, jak tylko będę mógł.

Peter trącił go czubkiem buta.

- Myślę, że nie brakuje ci zapału!

- Peter, bądź poważny! Jeżeli szczęście się do mnie uśmiechnie i jeżeli dzisiaj pojawi się ostatni obraz, to ekspertyza będzie wymagała wiele pracy. Trzeba będzie przeprowadzić badania, a ja już mam cztery inne opisy do opracowania.

- Jeżeli szczęście się do nas uśmiechnie, zorganizujemy aukcję najważniejszą od dziesięciu lat. Zostawiam cię, i zrób tak, żebyśmy w poniedziałek podpisali kontrakt z tą cudowną dziewczyną, która pracuje naprzeciwko. Jeżeli ta aukcja mnie ominie, moja kariera

pójdzie w cholerę. Ja naprawdę na ciebie liczę!

- Zrobię wszystko, co będę mógł.
- Jednak nie rób za dużo. Jestem twoim świadkiem! Czy ty jeszcze o tym pamiętasz?
- Stary, czasami jesteś bezczelny.
- Możliwe, ale bardzo lubię, kiedy to mówisz!

Peter poklepał przyjaciela po ramieniu i wybiegł z kawiarni.

Jonathan popatrzył, jak wsiada do taksówki i też wyszedł.

Zatrzymał się na chodniku i obserwował Clarę przez okno wystawowe. Regulowała oświetlenie nad obrazem dostarczonym wczoraj. Zeszła z drabiny i otworzyła mu drzwi. Sprawiała wrażenie nieco zażenowanej, choć on nie zrobił żadnej uwagi na ten temat. Popatrzył na zegarek. Przewoźnicy nie powinni zwlekać z przyjazdem. Jego niecierpliwość sięgała zenitu.

Zajął się czterema obrazami dostarczonymi poprzednio. Co kwadrans odrywał się od pracy i ukradkiem spoglądał na ulicę. Clara kątem oka zerkała na niego zza biurka. Po raz kolejny podszedł do wystawy i spojrzał w niebo.

- Mówili, że się zachmurzy - zauważył.
- Czy to dotyczy również mężczyzn? - zapytała, unosząc głowę.
- Co dotyczy mężczyzn?
- Rozmowy o pogodzie!
- Myślę, że tak - odpowiedział zażenowany.

- Zauważył pan, że ulice są puste? Dzisiaj w Anglii jest święto. Nikt nie pracuje... z wyjątkiem nas. Ponieważ to piątek, będziemy mieli długi weekend. Londyńczycy uwielbiają wyjazdy za miasto. Ja po południu jadę do mojego domu na wsi.

Jonathan popatrzył na Clarę i nic nie mówiąc, wściekły wrócił do pracy. Nadeszło południe i sklepy na ulicy już zamykano. Podniósł się i poinformował Clarę, że idzie naprzeciwko, napić się kawy. Kiedy był w drzwiach, Clara wzięła z krzesła płaszcz i poszła za nim. Na chodniku złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

- Niech się pan tak nie niecierpliwi, to nic nie da. Mam pomysł. Zmienię plany i dziś wieczorem zostanę w Londynie. Jeśli chodzi o noc, to nie warto mówić o pogodzie, a jeśli chodzi o ten weekend, znam prognozy: w sobotę deszcz, w niedzielę słońce. Albo odwrotnie. Tutaj nigdy nie wiadomo!

Poszli do kawiarenki. Po południu zostawiła go w galerii, żeby popracował sam.

O piątej zadzwonił Peter.

- Co tam? - zapytał, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Nic - odpowiedział Jonathan.
- Jak to nic?
- Jak trzy litery! Nie mogę zrobić więcej.
- Czyli gówno!
- Używając innego określenia, podzielam twoją opinią.
- Więc wszystko się spieprzyło - mruknął Peter.
- Może nie całkiem, zawsze można spodziewać się dobrej wiadomości.
- To przecucie czy nadzieja?
- Pewnie jedno i drugie - odpowiedział spokojnie Jonathan.
- To jest to, czego się obawiałem. Czekam na twój telefon! - Peter odłożył słuchawkę.

Niezawodny Frank przyszedł wieczorem, żeby zamknąć galerię. Clare coś zatrzymało, chciała się spotkać z Jonathanem pod adresem, który jej młody pracownik nabazgrał na kartce.

Wróciwszy do hotelu, nie zastał żadnej odpowiedzi na faks, który wysłał do Anny. Kiedy się przebrał, zadzwonił do Bostonu po raz kolejny. Znowu usłyszał swój głos nagrany na sekretarce. Westchnął i odłożył słuchawkę, nie zostawiając żadnej wiadomości.

*

Clara umówiła się z nim w małym modnym barze w Notting Hill. Przyćmione światło, łagodna muzyka, miła atmosfera. Clara jeszcze nie przyszła i Jonathan usadowił się przy barze. Kiedy po raz dziesiąty przestawił z miejsca na miejsce miseczkę z migdałami, zobaczył, że wchodzi. Zerwał się od razu. Była ubrana w lekki prochowiec i obcisłą czarną sukienkę. Spostrzegła go i zawołała:

- Przepraszam za spóźnienie. Mój wóz ma piękny kapeć na przednim kole i trudno było złapać taksówkę.

Jonathan zauważył, że mężczyźni oglądają się za nią. Kiedy wzięła kartę, uważnie na nią popatrzył. Jej policzki i wargi uwydatniły się w świetle świecy stojącej na barze. Począł, aż barman odejdzie, i przysunął się bliżej.

Zaczęli mówić równocześnie.

- Pan pierwszy! - wykrzyknęła ze śmiechem.
- Cudownie jest pani w tej sukni.
- Przymierzałam sześć i jeszcze w taksówce próbowałam zmienić zdanie.
- A ja... chodzi o krawat... cztery razy.

- Przecież ma pan golf!

- Nie mogłem się zdecydować.

- Bardzo się cieszę, że mogę zjeść z panem kolację. Teraz ona zaczęła przestawiać miseczkę z migdałami.

- Ja też - powiedział Jonathan.

Clara poprosiła barmana, żeby doradził jej, co wybrać. Zasugerował bardzo dobre białe sancerre, ale ona nie była przekonana. Jonathan się rozchmurzył i powiedział wesoło do barmana:

- Moja żona woli czerwone wino.

Clara popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy. Szybko jednak weszła w nową rolę i podawszy kartę Jonathanowi, powiedziała, że wybór pozostawia mężowi. Jonathan zamówił dwie lampki pomerola i barman zostawił ich samych.

- Kiedy pan się odpręży, wygląda pan jak chłopiec. I nie brakuje panu poczucia humoru.

- Gdyby mnie pani poznała, kiedy byłem chłopcem, nie powiedziałaby pani tego.

- A jaki pan był?

- Żeby zacząć żartować i rozbawić jakąś dziewczynę, potrzeba mi było co najmniej pół roku.

- A teraz?

- Teraz idzie dużo szybciej. Z wiekiem stałem się bardziej pewny siebie. Wystarczy trzy miesiące! Myślę, że lepiej się czułem, mówiąc o pogodzie - dodał ciszej.

- Jeżeli to może panu pomóc, to powiem, że dobrze się z panem czuję.

Zarumieniła się.

Lokal był zadymiony i Clara zapragnęła wyjść na powietrze. Wyszli. Jonathan przywołał taksówkę i pojechali bulwarem nad Tamizą. Potem ruszyli chodnikiem ciągnącym się wzdłuż cicho płynącej rzeki. W spokojnej wodzie odbijał się księżyc. Leciutki wietrzyk poruszał gałązkami platanów. Jonathan spytał Clarę o jej dzieciństwo. Powiedziała, że kiedy miała cztery lata, z powodu, którego nigdy jej nie podano, została oddana pod opiekę babki, a kiedy skończyła osiem, znalazła się w typowej angielskiej szkole z internatem. Nigdy niczego jej nie brakowało. Bogata babcia odwiedzała ją raz do roku, z okazji urodzin. Jeden jedyny raz wywiozła ją poza mury szkoły i Clara zapamiętała to na zawsze. Świątowała wtedy swoje szesnaste urodziny.

- To dziwne - dodała. - Mówi się, że nie pamiętamy niczego z pierwszych lat życia, tymczasem wciąż mam przed oczami widok mojego ojca stojącego na końcu ulicy, przy

której mieszkaliśmy. Przynajmniej wierzę, że to był on. Podniósł rękę, jakoś niepewnie, jakby chciał mnie pożegnać, a potem wszedł do samochodu i odjechał.

- Może to się pani śniło?

- Możliwe. Zresztą nigdy się nie dowiedziałam, dokąd pojechał.

- I już nigdy go pani nie widziała?

- Nigdy. Chociaż co roku miałam na to nadzieję. Dziwnie się czułam w czasie Bożego Narodzenia. Większość dziewcząt wyjeżdżała do domu, a ja, aż do trzynastego roku życia, modliłam się, żeby moi rodzice mnie odwiedzili.

- A potem?

- Potem modliłam się o coś zupełnie przeciwnego. Żeby nie przyjechali i nie zabrali mnie z miejsca, które wreszcie uznałam za swój dom. Wiem, że to trudno zrozumieć. Jako małe dziecko cierpiałam, nie mogąc spędzić więcej czasu w jednym miejscu, bo moi rodzice nie mieszkali nigdzie dłużej niż miesiąc.

- Dlaczego ciągle się przenieśli?

- Nie wiem. Moja babka nigdy nie chciała mi nic powiedzieć. Nie mogłam też dowiedzieć się niczego od kogokolwiek innego.

- A co pani zrobiła w te swoje szesnaste urodziny?

- Moja protektorka, bo tak nazywałam babkę, przyjechała na pensję wspinałym samochodem. To głupie, ale żeby pan wiedział, jaka byłam dumna. I wcale nie dlatego, że był to niesamowity bentley, tylko dlatego że ona sama go prowadziła. Pojechaliśmy przez Londyn, gdzie, mimo moich błagań, nie chciała się zatrzymać. Chłonełam więc widoki - fasady starych kościołów, szyldy pubów, ulice pełne ludzi. Wszystko, co przesunęło się za oknami samochodu. A przede wszystkim nabrzeża Tamizy.

Od tego dnia Clara, gdziekolwiek była, zawsze szła nad rzekę. Podczas wszystkich podróży najbardziej lubiła uciec od wszelkich obowiązków i spacerować tuż nad wodą, unosząc głowę ku łukom mostów spinających brzegi rzek. Idąc wzdłuż Wełtawy w Pradze, Dunaju w Budapeszcie, Sekwany w Paryżu, czy najbardziej tajemniczej Jangcy w Szanghaju, poznawała dzieje tych miast i ich mieszkańców. Jonathan opowiedział jej o rzece Charles w Bostonie, o starym porcie, gdzie tak lubił wędrować. Obiecał pokazać jej brukowane uliczki targowiska.

- Dokąd wtedy pojechaliście? - zapytał.

- Na wieś! Byłam wściekła, bo przecież mieszkałam na wsi. Spałyśmy w hotelu, a pokój do dzisiaj mogłabym opisać ze wszystkimi szczegółami. Pamiętam tapety, skrzypiącą komodę, zapach politory na nocnym stoliku, obok którego, mimo długiego oporu, wreszcie

zasnęłam. Chciałam słuchać oddechu babci, czuć jej obecność. Następnego dnia, zanim odstawiła mnie na pensję, pojechaliśmy do jej dworu.

- Był piękny?

- Nie. Znajdował się w takim stanie, że trudno by było tak powiedzieć.

- To dlaczego przejechała taki kawał, żeby go pani pokazać?

- Moja babka była dziwną kobietą. Zawiozła mnie tam, żeby zawrzeć ze mną układ. Siedzieliśmy w samochodzie przed zamkniętą bramą i powiedziała mi, że w wieku szesnastu lat można się do czegoś zobowiązać.

- Co miała pani przyrzec?

- Chyba nudzę pana tymi opowieściami...

Usiedli na ławce. Zaczynał zapadać zmrok i nad ich głowami zapaliła się latarnia. Jonathan poprosił, żeby Clara mówiła dalej.

- Właściwie były trzy przyrzeczenia. Musiałam przysiąc, że po jej śmierci natychmiast wystawię dwór na sprzedaż i że nigdy nie przestąpię jego progu.

- Dlaczego?

- Żeby zrozumieć, musi pan usłyszeć dwa pozostałe. Moja babka okazała się bardzo twardą negocjatorką. Chciała, żebym obrała drogę naukową, żebym została chemikiem. Widziała we mnie nową Marię Curie!

- Wydaje mi się, że pod tym względem nie dotrzymała pani słowa.

- To nic w porównaniu z ostatnim przyrzeczeniem! Miałam przysiąc, że nigdy nie dotknę niczego, co w jakikolwiek sposób miałoby związek z malarstwem!

- No i rzeczywiście - mruknął zmieszany Jonathan. - Ale dlaczego tego chciała? Jaka miała być rekompensata za dotrzymanie tych obietnic?

- Zostawiłaby mi cały swój majątek. I proszę mi wierzyć, był bardzo duży. Kiedy złożyłam przyrzeczenie, odjechaliśmy.

- Więc tego dnia nawet nie weszła pani do dworu?

- W ogóle nie wysiadliśmy z samochodu.

- Sprzedała pani posiadłość?

- Kiedy babka umarła, miałam dwadzieścia dwa lata i zdałam na trzeci rok chemii. Tego samego dnia rzuciłam studia. Nie byłam na pogrzebie, bo pośród innych warunków zawartych w testamencie znalazł się też taki, że notariusz nie ma prawa powiedzieć mi, gdzie została pochowana.

Clara, która przysięgła sobie, że już nigdy nie weźmie do ręki probówki, zamieszkała w Londynie, żeby studiować historię sztuki w National Gallery, a potem pojechała na rok do

Florencji i zakończyła swoją edukację w paryskiej Ecole Nationale des Beaux-Arts.

- Ja też tam studiowałem! - wykrzyknął Jonathan. - Może nawet w tym samym czasie?

- Na pewno nie - odpowiedziała z lekką ironią Clara. - Żałuję, że pan się ze mną minął, ale między nami jest kilka lat różnicy!

Jonathan poruszył się na ławce, wyraźnie zakłopotany.

- Chciałem powiedzieć, że miałem tam kilka odczytów.

- Sam się pan wkopał - powiedziała ze śmiechem.

Przez cały ten czas oboje nie odrywali od siebie wzroku.

- Czy miał pan już kiedyś poczucie *déjà vu*? - zapytała.

- O tak, nawet często. To miejsce też już widziałem. Byliśmy tu wczoraj.

- Nie o to mi chodziło.

- Żeby wszystko wyjaśnić, chociaż boję się, że zabrzmiałoby to jak okropny banał i wyjdę przed panią na kompletnego idiotę, spytam, czy nie spotkaliśmy się już przedtem w tej kawiarni, w której widzieliśmy się po raz pierwszy?

- Nie wiem, czy nasze drogi kiedykolwiek się skrzyżowały - powiedziała Clara, patrząc mu w oczy. - Ale czasami wydaje mi się, jakbym od dawna pana znała.

Wstała z ławki. Oddalili się od rzeki i poszli przez przedmieścia.

Niewidzialny zegar wybijał swój rytm w ciszy nocy, jakby czas chciał zatrzymać ich oboje na magiczną chwilę, pośród pustej ulicy, ukrytych za zasłoną widzialną tylko dla nich. Dotykając się ramionami, odkrywali nowy świat, który niepostrzeżenie zmieniał się wraz z każdym ich krokiem. Nadjechała taksówka. Jonathan popatrzył na Clare ze smutnym uśmiechem. Podniósł rękę. Taksówka się zatrzymała. Otworzył drzwi samochodu. Clara odwróciła się i powiedziała cicho, że to był bardzo piękny wieczór.

- Też tak uważam - odpowiedział Jonathan, wbijając wzrok w czubki butów.

- Kiedy wraca pan do Bostonu?

- Peter wraca jutro... A ja... Nie wiem.

- A więc, do zobaczenia.

Nachylił się, a ona pocałowała go w policzek. Po raz pierwszy się dotknęli. I po raz pierwszy nastąpiło coś niesłychanego.

Jonathan poczuł zawrót głowy, ziemia zawirowała.

Zamknął oczy i zobaczył pod powiekami tysiące gwiazd. Unosił go dziwny wir. Serce podeszło mu do gardła. Krew rozděła żyły. Skronie pulsowały. Ulica zaczęła się zmieniać. Po niebie, ze wschodu na zachód pędziły chmury, przez które przenikał jasny krąg księżyca. Nad chodnikiem zawisła mgła. Pod kloszem starej latarni żarówkę zastąpił płomień pochodni.

Asfalt zafalował z głuchym pomrukiem, jak morze gwałtownie cofające się od brzegu, i odsłonił drewnianą jezdnię. Z domów poodpadał tynk, ukazując tu i ówdzie cegły i surową zaprawę. Po prawej stronie, zgrzytając na zardzewiałych zawiasach, pojawiły się metalowe pręty bramy, która zamykała ślepą uliczkę.

Z tyłu usłyszał tętent końskich popyt. Koń zbliżał się szybkim klusem. Jonathan chciał odwrócić głowę, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Jakiś głos, którego nie mógł rozpoznać, szeptał mu do ucha: „Prędko, prędko, niech się pan pospieszy. Proszę”. Jonathanowi wydawało się, że zaraz pękną mu skronie. Koń był tuż za nim. Nie mógł go zobaczyć, ale poczuł jego oddech, kiedy dyszące chrapy przesunęły mu się po ramieniu. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie, serce podeszło do gardła.

Ostatkiem sił spróbował zaczerpnąć tchu. Słyszał daleki głos Clary, która go wołała. Wszystko wokół znieruchomiało.

Potem, powoli, chmury znowu zakryły księżyc, asfalt zalał drewnianą kostkę, a zrujnowane fasady, jedna po drugiej, stawały się równe i gładkie. Jonathan otworzył oczy. Żle wkręcona żarówka znów migotała na latarni, a warkot taksówki zastąpił dyszenie konia, który zniknął bez śladu. Oszołomienie minęło.

- Jonathanie, dobrze się pan czuje? - usłyszał, jak Clara pyta go już trzeci raz.

- Chyba tak - odpowiedział, zbierając myśli. Zakręciło mi się w głowie.

- Przestraszyłam się. Był pan taki blady.

- To chyba zmęczenie podróżą. Niech się pani nie niepokoi.

- Proszę wsiadać, podwiozę pana.

Jonathan podziękował. Hotel jest kilka kroków stąd, spacer dobrze mu robi. Noc jest taka piękna.

- Wróć panu kolory - pocieszyła go, uspokojona.

- Wszystko będzie dobrze. Na pewno. To tylko mała niedyspozycja. Nic poważnego. Niech pani jedzie, już jest późno.

Clara zawahała się przez chwilę, zanim znów wsiadła do taksówki. Zamknęła drzwi i wóz odjechał, a Jonathan patrzył, jak się oddala. Clara też patrzyła przez tylną szybę. Jej twarz skryła się za odblaskiem migacza taksówki, która skręciła na końcu ulicy. Jonathan poszedł do hotelu.

Czuł się już dobrze, ale wciąż niepokoiła go jedna rzecz: sceneria, którą zobaczył, nie była mu nieznaną. Coś, co wyłaniało się z najgłębszych pokładów pamięci, dawało mu niemal całkowitą pewność. Zaczął padać drobny deszczyk. Jonathan uniósł głowę i krople kapały mu na twarz. Tym razem pod przymkniętymi powiekami zobaczył, jak Clara wchodzi do baru, i

ten cudowny moment, kiedy zdjęła swój płaszcz, a potem uśmiechnęła się, siadając koło niego. W tej chwili chciał móc cofnąć wskazówki zegara. Otworzył oczy i schował ręce do kieszeni. Idąc, poczuł, że ramiona dziwnie mu ciążyą.

W hotelu pozdrowił recepcjonistę i skierował się do windy. Zmienił jednak zdanie i wszedł schodami. Pod drzwiami swojego pokoju znalazł kopertę. Prawdopodobnie potwierdzenie odbioru faksu, który wysłał do Anny. Podniósł ją i rzucił na biurko. Powiesił mokrą marynarkę na wieszaku i wszedł do łazienki. W lustrze zobaczył, że jest bardzo blady. Wziął ręcznik i wytarł włosy. Kiedy znalazł się w łóżku, przysunął sobie telefon i wystukał swój numer w Bostonie. Po raz kolejny nagrał się na sekretarkę, prosząc Annę, żeby się odezwała. Przyznał, że bardzo go niepokoi brak wiadomości od niej. Chwilę potem telefon zadzwonił. Jonathan szybko podniósł słuchawkę.

- Anno! Gdzieś ty była? - zapytał od razu. - Dzwoniłem do ciebie ze sto razy, naprawdę się niepokoiłem.

Po kilku sekundach ciszy usłyszał głos Clary.

- To ja. Martwiłam się o pana. Chciałam tylko sprawdzić, czy dotarł pan do hotelu.

- To bardzo miłe z pani strony. Deszcz dotrzymywał mi towarzystwa.

- Widziałam. Wydaje mi się, że nie ma pan ani płaszcza od deszczu, ani parasola.

- Myślała pani o tym?

- Tak.

- Nie mogę powiedzieć dlaczego, ale bardzo się z tego cieszę.

- W związku z naszym wieczorem, chciałabym powiedzieć panu coś ważnego - odezwała się po krótkiej przerwie.

Podniósł się na łóżku, przycisnął mocniej słuchawkę do ucha i wstrzymał oddech.

- Wiem, że powstrzymuje się pan przed mówieniem mi o tym, tylko dlatego że nie pozwala panu poczucie honoru. Rozumiem tę powściągliwość, a nawet ją podziwiam. Muszę przyznać, że nie ułatwiłam panu zadania, a na koniec powiem, że oboje dręczyliśmy się tym problemem od naszych pierwszych dyskusji w galerii. Słuchając pana dzisiaj wieczorem, podjęłam decyzję i wierzę, że Vladimir by ją zaakceptował. Sądzę nawet, że by panu zaufał. A niezależnie od wszystkiego, ja już postanowiłam. Powinni byli przekazać panu kopertę, którą zostawiłam w recepcji. Jest tam podana trasa dojazdu. Niech pan wynajmie samochód i jutro do mnie przyjedzie. Mam panu do pokazania kilka ważnych rzeczy, rzeczy, które sprawią panu dużo radości. Czekam o dwunastej w południe. Niech pan będzie punktualny. Dobranoc, Jonathanie. Do jutra.

Rozłączyła się, nie dając mu czasu na odpowiedź. Jonathan podszedł do biurka,

rozerwał kopertę i rozłożył plan. Zadzwoił do recepcji, prosząc o zarezerwowanie na jutro wozu, i zapytał, czy nie przyszedł do niego żaden faks. Odpowiedzieli, że nie i że pani Anna Walton dzwoniła po południu, prosząc, żeby go o tym poinformowano. Jonathan wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę.

Zasnął od razu, ale przez całą noc męczył go dziwny sen. Jechał konno po śliskim bruku starej dzielnicy Londynu. W pewnym momencie zauważył tłum podnieconych przechodniów, którzy gromadzili się przed jakimś domem. Wszyscy byli ubrani w stroje z dawnej epoki. Żeby ich ominąć, popędził galopem.

Na końcu uliczki widać było wiejski krajobraz. Zwolnił do kłusa i wjechał w aleję wysadzaną wysokimi drzewami. Kobieta, która jechała niedaleko od niego, zbliżyła się z prawej. Zaczął kropić deszczyk. „Prędzej, prędzej! Niech się pan pospieszy!”, zawołała, puszczając w cwał swojego wierzchowca.

*

Z tego snu wyrwało go telefoniczne budzenie, które zamówił wieczorem. Wsiadł do wynajętego wozu i skierował się na autostradę prowadzącą na wschód. Trzymając się dokładnie wskazówek Clary, po stu kilometrach skręcił w zjazd z autostrady. Pół godziny później znalazł się na wąskiej wiejskiej drodze, wciąż przypominając sobie, że w Anglii trzeba trzymać się lewej strony. Rozległe pola otaczały długie szpalery drzew. Zauważył rozwidlenie zaznaczone na planie, a potem gospodę, którą Clara również zaznaczyła. Po dwóch zakrętach wjechał w wąską bitą drogę, zagłębiając się w gęsty las. Samochód zaczął podskakiwać na wybojach, ale on nie zdjął nogi z gazu. Spod kół tryskały strumienie błota, ochlapując karoserię, co nawet go bawiło. Potem droga rozszerzyła się w aleję wysadzaną drzewami. Zatrzymał się przed ogrodzeniem z kutego żelaza. Po drugiej stronie imponującej bramy widać było zwirową alejkę, skracającą do przepięknego angielskiego dworu. Trzy szerokie kamienne stopnie prowadziły na taras przed budynkiem. Do środka wchodziło się przez dwuskrzydłowe oszklone drzwi.

Clara, w lekkim płaszczu od deszczu, trzymała w ręku sekator. Podeszła do krzewów pnących się po murze i ucięła kilka białych róż. Wąchając kwiaty, popodcinała łodygi, i zaczęła układać bukiet. Była olśniewająco piękna.

Słońce, które bawiło się z chmurami w chowanego, teraz przebiło ich cienką powłokę. Clara od razy zrzuciła płaszcz na ziemię. Biała obcisła koszulka podkreślała jej figurę i odsłaniała ramiona.

Jonathan wysiadł z wozu. Gdy podchodził do ogrodzenia, Clara znikła wewnątrz domu. Pchnął furtkę lewą ręką i w tym momencie zobaczył wystający spod mankietu zegarek, który Anna dała mu w dniu zaręczyn. Żółty promień słońca wpadł przez oszklone drzwi dworu i rozpląnął się na posadzce z jasnego drewna. Jonathan długo stał bez ruchu, zanim podjął decyzję, o której wiedział, że będzie go dużo kosztowała. Zawrócił, wsiadł do samochodu i wrzucił wsteczny bieg. Przez całą drogę do Londynu walił pięścią w kierownicę. Spojrzał na zegarek na konsoli, wziął komórkę i zadzwonił do Petera. Powiedział mu, że spotkają się na lotnisku i poprosił, żeby zabrał z pokoju jego rzeczy. Potem zadzwonił do British Airways i zarezerwował bilet.

Był ponury, nie dlatego że rozwiało się jego marzenie o zobaczeniu obrazu, na co czekał przez tyle lat, ale dlatego że prześladowała go inna myśl. Im bardziej oddalał się od dworu, tym mocniej czuł obecność Clary, od której uciekał. Kiedy dojechał do Heathrow, uświadomił sobie, że po prostu za nią tęskni.

5

Peter przytupywał niecierpliwie, chodząc tam i z powrotem po hali odlotów. Jeżeli lot do Bostonu nie będzie miał opóźnień, Jonathan pod wieczór przyjedzie do domu.

- Nie rozumiesz tego? - zapytał Jonathan.

- Od dwudziestu lat ciągniesz mnie po różnych kongresach. Łazimy kilometrami po bibliotekach, przekopujemy tony dokumentów, żeby znaleźć najmniejszą wskazówkę pozwalającą wyjaśnić tajemnicę twojego malarza. Od dwudziestu lat rozmawiamy o nim prawie codziennie, a teraz nie chcesz wiedzieć, czy ten obraz istnieje?

- Peter, prawdopodobnie nie ma piątego obrazu.

- Skąd to wiesz, skoro w ogóle nie wszedłeś do tego pałacu? Jonathanie, ja go bardzo potrzebuję. Inaczej moi współpracownicy mnie wykołują. Czuję się, jakbym był zamknięty w akwarium, którego ściany na mnie napierają.

Peter podjął w Londynie olbrzymie ryzyko. Udało mu się przekonać radę Christie's do opóźnienia kolejnej edycji katalogu, wydawanego przez ten cieszący się wielkim prestiżem dom aukcyjny, co było wyraźnym sygnałem dla całego rynku dzieł sztuki, że szykuje się jakaś sensacja. Przecież do tego katalogu odwołują się wszyscy, a jego zawartość opiera się na reputacji szacownej instytucji, która go wydaje.

- Pociesz mnie i powiedz, że im tego nie obiecałeś?

- Kiedy zadzwoniłeś rano i opowiedziałeś o rozmowie z Clarą i o nagłym wyjeździe na wieś, skontaktowałem się z prezesem naszego biura w Londynie.

- Nie zrobiłeś tego! - Jonathan był wyraźnie zaniepokojony.

- Jest sobota, zadzwoniłem do niego do domu! - wyjąkał Peter, chowając twarz w dłoniach.

- Co mu powiedziałeś?

- Że zobowiązuję się osobiście. I jeżeli mi zaufa, zorganizuję jedną z najważniejszych aukcji tej dekady.

Peter nie czuł się winny. Gdyby odnaleźli ostatnie dzieło Vladimira Radskina,

przedstawiciele największych muzeów przebijałyby ceny oferowane przez najbogatszych kolekcjonerów. Jonathan zapewniłby staremu malarzowi sławę, o jakiej zawsze dla niego marzył, a Peter znowu stałby się jednym z najwyższej „przechodzących” aukcjonerów.

- W tym idyllicznym obrazie, który namalowałeś, brakuje jednego szczegółu. Czy przewidujesz jakąś alternatywę? - zapytał Jonathan.

- Tak. Będziesz mi wysyłał przekazy pieniężne na bezludną wyspę, na której pomożesz mi się ukryć, w zamian za przyrzeczenie, że nie popełnię samobójstwa, kiedy zostanę wyśmiany przez całe środowisko.

Było już widać amerykański brzeg, a dyskusja dwóch kumpli wciąż trwała, ku niezadowoleniu ich sąsiadów, którzy przez cały lot nie zmrużyli oka. Stewardesa przyniosła śniadanie, a Peter z niewinną miną podniósł zasłonę w oknie i zaczął patrzeć na obłoki, żeby uniknąć wzroku Jonathana. Nagle odwrócił się, porwał z jego tacki czekoladowe ciastko i połknął.

- Przyznasz, że jedzenie w samolocie jest obrzydliwe.

- Znajdujemy się trzydzieści tysięcy stóp nad oceanem, możemy dostać się z kontynentu na kontynent bez morskiej choroby. Nie marudź tylko dlatego, że indyk ci nie smakuje!

- Żeby chociaż w tej kanapce był indyk!

- Wyobraź sobie, że jest!

Peter popatrzył na Jonathana.

- O co chodzi? - zapytał Jonathan.

- Kiedy zabierałem rzeczy z twojego pokoju, znalazłem potwierdzenie nadania listu, który wysłałeś faksem do Anny. Nie powinienem go czytać, ale spadł na podłogę... więc...

- Co? - przerwał mu ostro Jonathan.

- To, że napisałeś Claro, a nie Anno! Woląłem cię uprzedzić, zanim twoja narzeczona ci to powie.

Popatrzyli na siebie i Peter wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę zastanawiam się... - wykrztusił, odzyskując oddech.

- Nad czym?

- Co robisz ze mną w tym samolocie?

- Wracam do domu!

- Więc zapytam inaczej, tak że nawet ty zrozumiesz! Czego się boisz?

Jonathan zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Siebie! Boję się siebie.

Peter pokiwał głową i popatrzył przez okno na widoczny w oddali Manhattan.

- Ja też czasami się ciebie boję, starszku, mimo że jesteś moim najlepszym przyjacielem. Odwiedzaj siebie trochę częściej, a przyzwyczaisz się do wszystkich swoich kaprysów i skończysz jak ja, opętany przez starego ruskiego malarza, o którym gadasz całymi dniami. Zobaczysz, że szykujesz się do małżeństwa jak sójka za morze. Nie! Uwierz mi, jeżeli zostaniesz swoim własnym przyjacielem, przekonasz się, że życie jest pełne zakrętów!

Jonathan nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni na oparciu fotela gazetkę pokładową. Przypadek bywa czasem prowokujący. Kiedy podczas startu przeglądał ten miesięcznik, zobaczył w nim krótki wywiad z właścicielką bardzo modnej londyńskiej galerii. Obok tekstu widniało zdjęcie Clary stojącej przed swoim dworkiem. Jonathan schował pismo do torby. Peter dostrzegł to kątem oka.

- Jeżeli mam się pogodzić z wygnaniem na bezludną wyspę, muszę tam pojechać zupełnie sam.

- Tak? A dlaczego?

- Bo jeżeli będziesz musiał do mnie dołączyć, wyspa nie będzie już bezludna.

- A dlaczego musiałbym do ciebie dołączyć?

- Bo pomyliłeś się co do swojego życia w Bostonie i za późno zdałeś sobie z tego sprawę!

- Do czego ma to być aluzja, Peter? - zapytał z rozdrażnieniem Jonathan.

- Do niczego! - odpowiedział Peter drwiąco i ostentacyjnie wziął swój egzemplarz pokładowej gazetki.

Po przejściu przez odprawę celną Peter i Jonathan poszli w kierunku strzeżonego parkingu. Kiedy znaleźli się na estakadzie nad drogą prowadzącą do terminalu, Peter przechylił się przez balustradę i zawołał:

- Widzisz ten tłum do taksówek? Komu powinieneś podziękować za genialny pomysł zabrania wozu?

Jonathan nie zauważył na początku długiej kolejki ciągnącej się wzdłuż postoju kobiety o białych włosach, która właśnie wsiadała do taksówki.

Przedmieścia były zakorkowane i dopiero po godzinie Peter dowiózł go do domu. Jonathan postawił torbę na półce pod wieszakiem i powiesił płaszcz. W kuchni paliło się światło.

Zawołał Annę, ale nie było żadnej odpowiedzi. W jej pokoju panowały ciemności, a łóżko nie zostało posłane. Usłyszał skrzypnięcie nad głową i natychmiast wbiegł na piętro. Ostrożnie pchnął uchylone drzwi. Pracownia była pusta. Na sztalugach stał nowy obraz Anny.

Jonathan podszedł i zaczął go oglądać. Przedstawiał widok, który można by było podziwiać z okien pracowni w ubiegłym stuleciu. Rozpoznawał nieliczne, nienaruszone przez ząb czasu domy. Pośrodku obrazu, przy nabrzeżu starego portu, zacumował wielki dwumasztowy żaglowiec. Na pokładzie kręciło się kilkoro pasażerów. Jakaś rodzina schodziła po trapie na brzeg. Jonathan zbliżył się bardziej, żeby móc podziwiać precyzję pędzla Anny. Widać było nawet delikatną różnicę między fakturą drewna kadłuba i nadbudówek. Mocno zbudowany mężczyzna prowadził za rękę córkę, ubraną w kapturek w pięknym perłowszarym kolorze. Na dłoni jego żony, która trzymała się sznurowej poręczy, widać było imponujący pierścień.

Jonathan pomyślał o swoim najlepszym przyjacielu, który był teraz sam. Peter na pewno chciałby odwrócić kartę. Jonathan za dobrze go znał, żeby lekceważyć gryzący go niepokój, i czuł się winny. Podszedł do biurka Anny i wybrał numer Petera. Rozglądał się po pokoju oświetlonym ostatnimi promieniami słońca wpadającymi przez oszkloną wnękę i słuchał głosu przyjaciela. Jasny kolor klepek parkietu miał taki sam złoty odcień jak posadzka w starym angielskim dworze. Serce zaczęło mu bić od pragnienia, które go uszczęśliwiało. Odłożył słuchawkę, wyszedł z pracowni i zbiegł po schodach. Zabrał torbę z półki przy wejściu i zamknął za sobą drzwi. Wskoczył do taksówki i rzucił kierowcy:

- Lotnisko Logan, jak najszybciej, proszę!

Taksówkarz zobaczył w lusterku minę pasażera i opony wielkiego forda zapiszczały na asfalcie.

W chwili gdy auto zniknęło za zakretem, Anna opuściła drewnianą żaluzję. Uśmiechnęła się, stojąc za oknem pracowni. Potem zeszła na dół, włączyła automatyczną sekretarkę telefonu w kuchni i wyjęła z garnuszka swoje klucze. Koło drzwi zauważyła płaszcz, którego Jonathan zapomniał zabrać. Wzruszyła ramionami i wyszła z domu. Poszła ulicą i trochę dalej wsiadła do swojego samochodu. Jechała na północ, przez Harvard Bridge nad rzeką Charles, a potem w stronę Cambridge. Ruch był duży. Wjechała w Mass Avenue, okrążyła uniwersytecki kampus i skręciła w Garden Street.

Zaparkowała niedaleko domu o numerze 27. Weszła po trzech schodkach na ganek i nacisnęła guziczek domofonu. Zabrzęczał sygnał i drzwi się otworzyły. Wjechała windą na ostatnie piętro. Drzwi na końcu korytarza były uchylone.

- Otwarte! - odezwał się kobiecy głos.

Mieszkanie było eleganckie. W salonie stały doskonale utrzymane antyczne meble, kilka srebrnych naczyń i bibelotów. We wnękach okiennych lekko falowały zasłony.

- Jestem w łazience, zaraz przyjdą! - rozległ się ten sam głos.

Anna usadowiła się w fotelu pokrytym brązowym aksamitem. Mogła stąd podziwiać

wspaniały widok na Danehy Park.

Kobieta, do której przyjechała, weszła do pokoju. Wytarłszy ręce, rzuciła ręcznik na krzesło.

- Te podróże mnie wykańczają - powiedziała, obejmując Annę.

Potem wyjęła z pięknie cyzelowanej czarki pierścionej ze wspaniałym brylantem o starym szlifie i włożyła na palec.

*

Jonathan powoli dochodził do siebie podczas lotu. Zamknął oczy w momencie, kiedy maszyna British Airways oderwała się od pasa startowego i otworzył dopiero wtedy, gdy podwozie wysunęło się spod kadłuba. Wynajął samochód i odjechał z Heathrow, kierując się na autostradę. Kiedy zobaczył małą gospodę, przycisnął pedał gazu. Niedługo potem przednią szybę przesłoniło wysokie ogrodzenie posiadłości. Brama była otwarta. Wjechał do środka, zwolnił i zatrzymał się przed tarasem.

Fasada dworu kąpała się w słońcu. Spirale dzikich róż o pastelowych barwach pięły się po ścianach. Długie gałęzie rosnącej pośrodku gazonu rozłożystej topoli muskały dach. Clara pojawiła się na tarasie i zeszła po schodach.

- Jest dokładnie południe - powiedziała, idąc ku niemu. - Pomijając jeden dzień, okazał się pan punktualny.

- Jest mi naprawdę przykro. To długa historia - odpowiedział zakłopotany.

Odwróciła się i weszła do domu. Zbity z tropu, Jonathan dopiero po paru chwilach podążył za nią. W tym wiejskim dworze wszystko zdawało się być poustawiane przypadkiem, a jednak żadna rzecz nie znalazła się tu bez powodu. Są miejsca, które nie wiadomo dlaczego natychmiast wprawiają nas w dobry nastrój.

Należał do nich dom, w którym Clara spędziła dużą część życia. Otoczenie było tak przyjazne, jakby przez lata nasyciała je dobrymi fluidami.

- Proszę za mną - rzuciła.

Weszli do wielkiej kuchni o podłodze z brązowych cegieł. Wydawało się, że czas się tu zatrzymał. Na kominku dogasało kilka rozżarzonych węgli. Clara sięgnęła do wielkiego wiklinowego kosza, wyjęła parę szczap i dorzuciła do kominka. Natychmiast wystrzeliły płomienie.

- Mury są tak grube, że i w zimie, i w lecie trzeba tu palić. Gdyby wszedł pan rano, zobaczyłby pan, jak jest zimno.

Postawiła naczynia na wielkim drewnianym stole.

- Napije się pan herbaty?

Jonathan oparł się o ścianę i patrzył na Clarę. Każdy jej gest był pełen wdzięku.

- Nie spełniła pani żadnego życzenia babki? - zapytał.

- Wprost przeciwnie.

- Więc nie jesteśmy w jej dworze?

- Ona była bardzo dobrym psychologiem. Wiedziała, że po to, by zmusić mnie do spełnienia jej życzeń, trzeba było zażądać czegoś zupełnie odwrotnego.

Czajnik zagwizdał. Clara nalała herbatę, a Jonathan usiadł przy stole.

- Zanim odwiozła mnie na pensję, zapytała, czy dobrze pamiętałam, żeby skrzyżować palce podczas składania przyrzeczeń.

- Wyobrażam sobie, że to był jej sposób widzenia świata.

Clara usiadła naprzeciwko niego.

- Czy zna pan historię Vladimira i jego marszanda, sir Edwarda? Przez lata stali się nierozłączni, byli dla siebie jak bracia. Mówi się, że Vladimir umarł w jego ramionach.

W jej głosie była radość i nadzieja. Jonathan poczuł, że jest mu teraz bardzo dobrze.

Clara zaczęła swoją opowieść.

Po ucieczce z Rosji w latach sześćdziesiątych Radsकिन przybył do Anglii.

Londyn stanowił wtedy tymczasowe schronienie dla przeróżnych wygnańców. Byli wśród nich Turcy, Grecy, Szwedzi, Francuzi i Hiszpanie, a nawet Chińczycy. Dawne śródmieście stało się tak kosmopolityczne, że najpopularniejszy tam alkohol nazywano napojem wszystkich narodów. Vladimir go nie pił, bo nie miał ani pensa. Mieszkał w brudnym pokoiku, w strasznej dzielnicy Lambeth. Był człowiekiem odważnym i dumnym, i wolałby umrzeć z głodu, niż wyciągnąć rękę po jałmużną. Pewnego dnia, z kawałkami węgla, których używał jako ołówków, znalazł się na targu Covent Garden, gdzie na znalezionych kawałkach zużytego papieru szkicował twarze przechodniów.

Sprzedając swoje rysunki za kilka pensów, jeżeli któregoś dnia dopisało mu szczęście, jakoś sobie radził. Przy takiej właśnie okazji spotkał sir Edwarda. To było przeznaczenie, którego moc objawiła się tego jesiennego poranka na targowej alejce Covent Garden.

Sir Edward był szeroko znanym bogatym marszandem.

Nigdy nie chodził na targ, lecz jedna z jego służących nagle zachorowała i żona poprosiła, żeby ją zastąpił. Kiedy Vladimir Radsकिन podetknął pod nos sir Edwardowi wizerunek jego twarzy, który wykonał, gdy tamten stał przy straganie z jarzynami, sir Edward natychmiast zorientował się, że ten żałośnie wyglądający człowiek ma wielki talent. Kupił

szkic i patrzył na niego przez cały wieczór. Następnego dnia przyjechał kolasa w towarzystwie córki i poprosił Vladimira, żeby i ją sportretował. Radskin odmówił. Nigdy nie maluje kobiecych twarzy. Jego minimalna znajomość angielszczyzny sprawiła, że nie został dobrze zrozumiany. Sir Edward uniósł się gniewem i drugie spotkanie tych dwóch ludzi, którzy mieli stać się nierozłączni, o mało nie skończyło się bijatyką. Jednak Vladimir spokojnie pokazał sir Edwardowi inny rysunek. Był to jego portret, tym razem na stojąco, narysowany poprzedniego dnia, z pamięci, zaraz po jego odejściu. Sylwetka sir Edwarda była uchwycona zaskakująco prawdziwie.

- Czy to portret, który znajduje się w San Francisco?

- Tak, to szkic do tego obrazu. Od tego rysunku... - Clara ściągnęła brwi. - Pan to wszystko wie, a ja się ośmieszam. Jest pan najwybitniejszym znawcą tego malarza, a ja opowiadam panu anegdoty, które można znaleźć w każdej biografii Radskina.

Palce Jonathana zbliżyły się do dłoni Clary. Miał ochotę ją pogłaskać, ale się powstrzymał.

- Przede wszystkim jest bardzo mało książek o Radskinie, i zapewniam panią, że nie znałem tej historii.

- Pan mnie podpuszcza?

- Nie. Ale musi mi pani powiedzieć, skąd pani zna tę historię, a zacytuję ją w monografii, którą zamierzam napisać.

Clara wahała się przez chwilę, zanim podjęła swoją opowieść.

- No dobrze - powiedziała, dolewając mu herbaty. - Ponieważ sir Edward był podejrzliwy, zażądał, żeby Vladimir natychmiast narysował portret jego stangreta.

- I to był szkic do obrazu, który rozpakowaliśmy w śróde? - wykrzyknął rozentuzjasmowany Jonathan.

- Oczywiście. Vladimir i Edward byli przyjaciółmi połączonymi jedną pasją. Jeżeli nadal kpi pan sobie ze mnie i wszystko to pan już wie, to obiecuję...

- Proszę niczego nie obiecywać. Niech pani mówi dalej.

- Vladimir był za młodu bardzo dobrym jeźdźcem. Kiedy któregoś dnia ukochany koń tego stangreta padł na samym środku ulicy, Vladimir pocieszył go po stracie, sportretowawszy go przed stacją obok jego rumaka. Stangret był już wtedy stary i Vladimir namalował jego twarz na podstawie szkicu, który powstał pewnego chłodnego, deszczowego poranka na targu Covent Garden.

Jonathan nie mógł powstrzymać się od uwagi, że ta historia poważnie podniosłaby wartość obrazu, gdyby został wystawiony na sprzedaż. Clara tego nie skomentowała, a

Jonathan, w czym się ujawniała jego natura badacza, wciąż próbował odgadnąć, skąd ona czerpie te informacje. Przez całe popołudnie opowiadała mu o Vladimirze i sir Edwardzie.

Marszand prawie codziennie odwiedzał Vladimira, obłaskawiając go okazywaniem mu względów. Po kilku tygodniach zaoferował, bez żadnej rekompensaty, porządnie ogrzewany pokój na poddaszu położonej koło targu kamienicy czynszowej, która do niego należała.

Dzięki temu Radskein nie musiałby bladym świtem i po zmroku chodzić zaśmieconymi i niebezpiecznymi ulicami. Jednak malarz nie chciał przyjąć mieszkania za darmo. Ofiarował za to schronienie kilka rysunków. Kiedy tam zamieszkał, sir Edward zaopatrzył go w wysokiej jakości pędzle i farby, które sprowadzał z Florencji. Vladimir sam tworzył oryginalne mieszaniny farb, otrzymał też od sir Edwarda płótna i blejtramy. Porzucił szkicowanie węglem i zaczął malować. To był początek angielskiego okresu jego twórczości, który trwał osiem lat, aż do śmierci. Mieszkając w pokoiku koło Covent Garden, realizował teraz zamówienia marszanda. Sir Edward osobiście przynosił mu wszystkie akcesoria malarskie. Za każdym razem zostawał u niego coraz dłużej. W ten sposób pochlebiał dumie artysty, którego chciał uczynić swoim protegowanym. W ciągu roku jego rosyjski przyjaciel, jak go nazywał, namalował sześć wspaniałych obrazów. Clara je wymieniła. A Jonathan, który znał wszystkie, powiedział jej, w którym zakątku świata znajduje się każdy z nich.

Wygnanie i okropne warunki, w jakich żył w Lambeth, nadwątlily zdrowie malarza. Męczyły go częste ataki kaszlu, które coraz bardziej go osłabiały. Pewnego ranka sir Edward zastał go leżącego na podłodze.

Unieruchomiony przez reumatyzm, nie mógł wdrapać się z powrotem na łóżko, z którego spadł.

Vladimir został natychmiast zawieziony do domu marszanda, który sam go doglądał. Kiedy osobisty lekarz zapewnił sir Edwarda, że stan jego protegowanego się poprawia, ten zawiózł go do swojej posiadłości za miastem, by miał odpowiednie warunki do rekonwalescencji. Vladimir powrócił do zdrowia. Dzięki sir Edwardowi odbył kilka podróży do Florencji, żeby samemu zaopatrzyć się w sproszkowane pigmenty, dzięki którym uzyskiwał swoje, tak oryginalne, głębokie kolory. Sir Edward traktował go jak brata. Przez wszystkie te lata ich przyjaźń mogła służyć za wzór. Vladimir podróżował i malował. Sir Edward wystawiał jego obrazy w swojej galerii w Londynie, a kiedy któryś obraz nie znajdował nabywcy, wieszał go w jednej ze swoich posiadłości, płacąc za niego artyście tak samo, jak gdyby był sprzedany. Po ośmiu latach Vladimir znowu zachorował i jego stan gwałtownie się pogarszał.

- Umarł pewnego dnia, na początku czerwca, spokojnie siedząc na fotelu w cieniu drzewa, pod które zaniósł go sir Edward.

Kiedy Clara kończyła opowieść, jej głos zrobił się smutny. Wstała, żeby sprzątnąć ze stołu, a Jonathan bez pytania zaczął jej pomagać. Clara wzięła filiżanki, a on czajnik, i oboje zanieśli naczynia do wielkiego fajansowego zlewu zwieńczonego imponującym miedzianym kranem. Podczas zmywania Jonathan przyznał się Clarze, że nie wiedział prawie nic o pobycie Vladimira na wsi. Opowiedział jej za to o kilku innych epizodach z życia malarza, któremu poświęcił swoje.

Dzień dobiegał końca. Clara i Jonathan przeszli zamglonymi ulicami starego Londynu, opisali dom koło Covent Garden, w którym mieszkał Vladimir, odwiedzili ogród różany, po którym lubił spacerować, kiedy żył na wsi. Przywołując postać malarza, mogli wręcz usłyszeć szelest jego kroków na słomie w stajni, gdy szedł odwiedzić swojego przyjaciela, stangreta. Jonathan płukał naczynia, a Clara je wycierała. Poddał się emanującej od niej aurze zmysłowości. Kiedy stanęła na palcach, żeby poustawiać talerzyki na drewnianej półce, po raz setny zapragnął ją objąć i po raz setny się powstrzymał. Clara zakręciła kran i wytarła ręce drugą stroną fartucha, który zdjęła i zostawiła koło staroświeckiej kuchni opalanej drewnem.

- Idziemy! Proszę za mną - zawołała radośnie, odwracając się do niego.

Wyszli na tyły dworu. Przeszli przez podwórko i stanęli przed ogromną stodołą. Kiedy Clara przekręciła klucz, Jonathan poczuł, że serce bije mu mocniej. W środku błyszcząca chromem chłodnica zabytkowego kabrioletu Morgana. Clara usiadła za staromodną, drewnianą kierownicą i motor zawarczał.

- Niech pan nie robi takiej miny! Niech pan wsiada! Muszę pojechać do wsi. Po powrocie zobaczy pan to, po co pan tu przyjechał. A poza wszystkim, kto spóźnił się dwadzieścia cztery godziny? - dokończyła, uśmiechając się przekornie.

Jonathan usadowił się obok Clary, a ona ruszyła z piskiem opon.

Samochód był bardzo szybki. Zatrzymali się przed małym sklepikiem. Clara zrobiła zakupy na kolację. Jonathan wyjął z jej rąk wiklinowy koszyk i postawił na miniaturowym tylnym siedzeniu. W drodze powrotnej dała mu poprowadzić. Nerwowo wrzucił pierwszy bieg i silnik zgasł.

- Sprzęgło daje opór, kiedy ktoś nie jest do tego przyzwyczajony - powiedziała spokojnie.

Jonathan schował dumę do kieszeni i starał się nie okazywać zniecierpliwienia.

Kiedy zajechali przed dom, w końcu się odprężył. Zostawiwszy zakupy w kuchni, Clara poprowadziła go w głąb domu. Idąc długim korytarzem, weszli do wielkiej biblioteki.

Zniszczona boazeria na ścianach podzielona była pokrytymi wyblakłą tkaniną pilastrami. Stary zegar nad kominkiem zatrzymał się na szóstej i nie było wiadomo, czy wskazuje rano, czy wieczór. Na królującym pośrodku mahoniowym stole leżało kilka książek w zniszczonych okładkach. Przez okna z małymi szybkami widać jeszcze było zachodzące za grzbiety wzgórz słońce. Jonathan zauważył drzwiczki w zgrubieniu muru, ku którym skierowała się Clara. Utknęła we framudze, a on cofnął się, żeby pomóc jej wejść, ich ręce się dotknęły, i wtedy powstał zamęt.

Ciężkie chmury szybko zakryły niebo. Zapadł zmrok i zaczął padać deszcz. Wiatr otworzył jedno z okien biblioteki. Jonathan próbował je zamknąć, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Wszystkie mięśnie mu zdrętwiały. Chciał zawołać Clare, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Na zewnątrz wszystko się zmieniło. Cudowne róże pnące, teraz zwisały splątane. Spróchniałe okiennice trzeszczały pod naporem wiatru. Kilka dachówek spadło i roztrzaskało się na dziedzińcu. Jonathan miał wrażenie, że się dusi, czuł ból w płucach, jego policzki smagał deszcz. Przed dworem stała żałośnie wyglądająca dorożka. Koń nerwowo uderzał kopytami. Woźnica w cylindrze starał się go utrzymać, ściągając lejce. Wewnątrz pojazdu widać było sylwetkę młodej osoby otulonej w szary płaszcz z kapturem zakrywającym twarz. Z domu wybiegło w pośpiechu dwoje ludzi w średnim wieku. Mężczyzna imponującej postury pomógł wsiąść kobiecie, podtrzymując ją ramieniem. Zatrzasnął drzwiczki i wystawiając głowę przez okienko, krzyknął: „Przez las! Szybko! Już jadą!”.

Woźnica smagnął konia i powóz skręcił koło wielkiego drzewa. Ta królująca nad parkiem topola nie miała w ogóle liści. Lato, które dopiero co nastąpiło, zdawało zbliżać się do końca. Jonathan znów usłyszał nieznany głos: „Prędko, prędko! Niech pan się pospieszy!”, zmieszany z szumem wiatru.

Jonathan z wysiłkiem odwrócił wzrok i spojrzał na wnętrze biblioteki. I tu wszystko się zmieniło. Nagle w głębi otworzyły się drzwi prowadzące na korytarz. Zobaczył sylwetki dwojga ludzi uciekających na górę. Jedno z nich trzymało pod pachą dużą paczkę owiniętą w koc. Poczul, że za chwilę zabraknie mu powietrza. Odetchnął głęboko i starał się ze wszystkich sił zwalczyć duszność. Cofnął się o krok i oszołomienie natychmiast zniknęło. Znów był w alkuwie przy drzwiach.

- To powróciło? - zapytała Clara.

- Tak - odpowiedział Jonathan, odzyskując oddech.

- Mnie też to się zdarza. Mam przywidzenia - szepnęła - kiedy się dotykamy.

Po tym wyznaniu wszystko wydawało się jeszcze dziwniejsze. Clara popatrzyła na

niego uważnie i nie mówiąc nic więcej, weszła do małego gabinetu.

Pośrodku stały sztalugi. Clara zdjęła zasłonę okrywającą obraz, ofiarowując Jonathanowi coś, co od lat było jego marzeniem. Nie wierzył własnym oczom.

6

Widziana od tyłu, znieruchomiła w nieskończonej głębi gęstej głębokiej czerwieni, czerwieni, jakiej Jonathan nigdy nie widział. Musnął płótno palcami. Obraz był piękniejszy ponad wszystko, co mógł sobie wyobrazić, i sprzeciwiający się wszelkim regułom, jakie Vladimir sobie narzucił. I ta nieopisana czerwień, która przypomniała mu, że malarz sam rozcierał i mieszał farby.

Zachwyt wziął górę nad metodycznymi rozważaniami znawcy. Efekt oświetlenia dawał fakturę całkowicie współczesną. Nie chodziło tu o wibrowanie światła, ale o jego precyzyjne unaocznienie, o coś, co wyprzedzało XX wiek. Na drugim planie niebieska topola i szmaragdowe niebo zapowiadały fowizm. Teraz Jonathan widział jeszcze wyraźniej ogromny talent Radskina. Vladimir nie należał do żadnej epoki. Tego obrazu nie poprzedzało nic, i nic nie było do niego podobne.

- Zrobiłeś to, stary draniu! - mruknął. - Namalowałeś swoje arcydzieło.

Spędził długie godziny, patrząc na *Młodą kobietę w czerwonej sukni*.

Clara, która szybko wyszła, nie wróciła potem ani na moment, przez całą noc nie przerywając ciszy spotkania malarza i jego badacza.

Przyszła dopiero rano. Postawiła na sekretarzyce tacę, rozsunęła zasłony i uchyliła okno, żeby wpuścić trochę dziennego światła. Jonathan przeciągnął się, przecierając oczy. Usiadł naprzeciwko niej przy małym stoliku i nalał sobie filiżankę herbaty. Przez jakiś czas patrzyli na siebie bez słowa, i to on przerwał milczenie:

- Co zamierza pani z nim zrobić?

- Dużo zależy od pana - odpowiedziała i wyszła.

Jonathan został jeszcze chwilę. Teraz wiedział, że obraz, który studiował przez całą noc, zapewni Radskinowi uznanie, jakiego jest wart. *Młoda kobieta w czerwonej sukni* stawia go wśród największych współczesnych mu malarzy. Kuratorzy Metropolitan Museum w Nowym Jorku, londyńskiej Tate Gallery, Musée d'Orsay w Paryżu, Prado w Madrycie, Uffizzi we Florencji, Bridgestone w Tokio, wszyscy będą teraz chcieli wystawiać dzieła

Radskina. Pomyślał o Peterze i jego pytaniu, który z nich wygra i ostatecznie zawiesi ten obraz w jakimś muzeum. Wyjął komórkę, wystukał numer i nagrał się na pocztę głosową przyjaciela.

- To ja. Mam nowinę i chciałbym się nią z tobą podzielić. Stoję przed obrazem, którego tak długo szukaliśmy, i możesz mi wierzyć, że przechodzi najśmielsze oczekiwania. Zrobi z ciebie najszcześniejszego i najbardziej godnego zazdrości aukcjonistę.

- Jest jeden szczegół - odezwała się Clara za jego plecami.

- Jaki szczegół? - Jonathan schował komórkę do kieszeni.

- Musi pan być bardzo przejęty, skoro uszło to pana uwagi!

Wzięła go pod ramię, żeby zaprowadzić do obrazu. Popatrzyli na siebie zmieszani i Clara szybko schowała rękę za plecami. Podeszli do sztalug. Jonathan po raz kolejny dokładnie obejrzał dzieło Vladimira. Kiedy zrozumiał swój błąd, otworzył szeroko oczy, podniósł obraz i obejrzał z odwrotnej strony. Natychmiast uświadomił sobie rozmiary katastrofy: Vladimir Radskin nie podpisał swojego ostatniego dzieła.

Clara chciała położyć mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć, lecz się zawahała.

- Niech pan nie bierze tego do siebie. Nie jest pan pierwszym, któremu ten obraz zrobił niespodziankę. Sir Edward też tego nie zauważył, bo był równie urzeczony jak pan. Chodźmy. Mały spacer dobrze panu zrobi.

W parku zaczęła opowiadać o dalszym ciągu historii malarza i jego marszanda.

Vladimira zniszczyła choroba. Umarł zaraz po namalowaniu *Młodej kobiety w czerwonej sukni*. Sir Edward nie mógł pogodzić się ze śmiercią przyjaciela. Szalał z żalu i wściekłości, gdyż zdawał sobie sprawę, że dzieło malarza nie zostanie należycie docenione. Rok później ogłosił, narażając swoją reputację, że ostatnie dzieło Vladimira Radskina należy do najważniejszych w całym stuleciu. W rocznicę jego śmierci zorganizował prestiżową aukcję, na której obraz został wystawiony. Z całego świata zjechali się wielcy kolekcjonerzy. Dzień przed aukcją wyjął obraz ze skrzyni, w której miał być zaniesiony na salę.

I wtedy stwierdził, że nie jest podpisany. Było już jednak za późno. Rozmach, z jakim zorganizował wielką ceremonię poświęconą dziełu swego przyjaciela, obrócił się przeciwko niemu. Wszyscy marszandzi i krytycy skorzystali z tego, by go zaatakować. Środowisko artystyczne go odrzuciło. Sir Edward został oskarżony o zaprezentowanie ordynarnego fałszerstwa. Skompromitowany i zrujnowany, porzucił swoje dobra i szybko opuścił Anglię. Wyjechał do Ameryki z żoną i córką, gdzie kilka lat potem umarł w zupełnym zapomnieniu.

- Skąd pani to wszystko wie? - zapytał Jonathan.

- Pan wciąż nie rozumie, gdzie się pan znajduje?

Patrząc na jego zaniepokojoną minę, nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Przecież jest pan w posiadłości sir Edwarda! To tutaj pana ukochany malarz spędził ostatnie lata życia i namalował wiele obrazów.

Jonathan rozejrzał się i popatrzył na dwór zupełnie innym okiem. Kiedy przechodzili koło topoli, usiłował wyobrazić sobie pracującego pod nią artystę. Zgadywał, gdzie Vladimir mógł postawić sztalugi, malując jeden z najbardziej cenionych przez niego obrazów. Obraz ten, przedstawiający widok, który właśnie się przed nim rozciągał, wisiał, według jego wiedzy, w małym muzeum w Nowej Anglii. Jonathan spoglądał na biały mur okalający posiadłość. Wzgórze dominujące nad okolicą było na pewno dużo wyższe na obrazie niż w rzeczywistości. Jednak kiedy przyklęknął, zrozumiał, że Vladimir malował, siedząc. Clara musiała pomylić chronologię swojej opowieści. Dwa lata po zamieszkaniu tutaj malarz był prawdopodobnie jeszcze bardzo osłabiony.

Mijało piękne, letnie popołudnie Jonathan ruszył w stronę domu.

Resztę dnia spędził w małym gabinecie. Clary poszukał dopiero wieczorem. Podśpiewywała w kuchni. Wszedł tam po cichu, oparł się o framugę i ją obserwował.

- To zabawne, pan zawsze zakłada ręce do tyłu i mruży oczy, kiedy jest pan zamyślony. Czy coś pana dręczy? - zapytała.

- O tak! Niedaleko jest mała gospoda, do której chciałbym zaprosić panią na obiad. Będę miał okazję poćwiczyć prowadzenie tego kabrioletu. A poza tym, jestem głodny!

- Ja też umieram z głodu! - zawołała, wstawiając do zlewu talerz, który trzymała w ręku. - Idę się przebrać, będę gotowa za dwie minuty.

Prawie dotrzymała słowa. Jonathan ledwie zdążył spróbować, bez rezultatu, połączyć się z Peterem i stwierdzić, że bateria w jego komórce wydała ostatnie tchnienie, kiedy Clara krzyknęła z holu:

- Jestem gotowa!

Kabriolet pędził w świetle księżyca. Clara osłoniła włosy szalem, żeby nie rozwiewał ich wiatr. Jonathan szukał w pamięci dnia, kiedy miał serce tak przepełnione radością. Znowu pomyślał o Peterze. Koniecznie musi go ostrzec, że *Młoda kobieta w czerwonej sukni* nie jest podpisana. Wyobrażał sobie jego minę i pracę, jaka go czeka, by uratować przyjaciela. Trzeba będzie w ciągu kilku dni znaleźć sposób potwierdzenia autentyczności obrazu tak różniącego się od innych dzieł malarza, któremu miał zostać przypisany.

Chociaż każde dotknięcie pędzla znaczyło dla niego więcej niż podpis, to jednak brak choćby prostego inicjału umieszczonego na płótnie wywoła tysiące pytań ze strony historyków sztuki. Najpierw musi się dowiedzieć, dlaczego Vladimir nie sygnował tego

obrazu. Może dlatego że złamał swoje dwie żelazne zasady: nigdy nie użyje czerwonego koloru i nigdy nie namaluje żadnej kobiety? Jeżeli jednak tylko takie powody skłoniły malarza do zachowania dziwnej anonimowości, to nic o tym nie wiedząc, ekspertowi, który chciałby sto kilkadziesiąt lat później udowodnić światu wartość jego dzieła, zrobił najgorszy z możliwych kawałów.

Vladimirze, dlaczego tak postąpiłeś?, pomyślał Jonathan.

- To pytanie, które wciąż sobie zadaję - odezwała się Clara.

Mała lampka stojąca na stoliku, przy którym usiedli w gospodzie, rzucała łagodne światło na jej twarz. Jonathan wciąż pragnął na nią patrzeć.

- Pani czyta w moich myślach?

- Chcę je dzielić! Tyle że na to nie zasługuję. Jednak pana wargi zdradzają słowa, które szepcze pan do siebie, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Niesygnowany obraz musi budzić wiele wątpliwości. Potrzebujemy niezbitych dowodów na to, że Radskin jest jego autorem.

- Od czego chce pan zacząć?

- Od kompozycji obrazu. Muszę też ustalić pochodzenie farb użytych do namalowania *Młodej kobiety w czerwonej sukni*, żeby porównać je z tymi, których używał przy malowaniu innych płócien. To da nam pierwsze wskazówki.

Ich dłonie były blisko siebie, wystarczyło tylko o kilka centymetrów przekroczyć granicę wstydu czy obawy, by spleść palce. I kto wie, czy nie udzieliłyby im one odpowiedzi na pytania, które po cichu oboje sobie zadawali.

*

Jonathan zajął pokój gościnny. Postawił torbę na fotelu i oparł się o filar łóżka z kremowym baldachimem. Potem podszedł do jednego z okien wychodzących na park, wdychając zapach wielkiej topoli wyłaniającej się z jasnej nocy. Przejął go dreszcz, zamknął wewnętrzne okiennice i skierował się do łazienki. Korytarzem szła Clara. Zatrzymała się na moment przed jego drzwiami, a potem zniknęła w swoim pokoju na drugim końcu domu.

Obudził się bardzo wcześnie. Ubrał się szybko i szedł do kuchni. Pachniała wygasłym drewnem. Clara nie przesadzała, o tej porze było lodowato. Na stole stały dwa kubki i koszyk. Jonathan położył na blacie list. Rozpalił ogień i wyszedł po cichu tylnymi drzwiami. Park zdawał się spać, okryty różową poświatą. Jonathan odetchnął głęboko świeżym powietrzem. Lubił tę porę, kiedy dzień i noc na moment się spotykają. Żwir

chrzęścił pod stopami. Gałęzie drzew i girlandy róż na ścianach dworu trwały w bezruchu. Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał. Jadąc wysadzaną wysokimi drzewami aleją, widział malejącą we wstecznym lusterku sylwetkę dworu. W chwili, gdy skręcał na drogę, Clara otworzyła okno swojego pokoju na piętrze.

*

Na Heathrow padał drobny deszczyk. Jonathan oddał samochód i złapał mikrobus, który zawiózł go pod stanowisko Alitalii. Samolot do Florencji odlatywał za dwie godziny. Jonathan postanowił pokręcić się po sklepach.

*

Clara zeszła do kuchni. Zbliżyła się do trzaskającego ognia i uśmiechnęła się. Postawiła czajnik na gazie. Gospodyni, która przyszła jak co dzień, żeby posprzątać dom, przyniosła gazetę i świeże pieczywo. Dochodzący z góry odgłos jej kroków podniósł Clarę na duchu. Zauważyła list, który zostawił Jonathan. Rzuciła gazetę i rozerwała kopertę.

Claro,

odjechałem bardzo rano. Miałem ochotę zapukać do Pani drzwi, żeby powiedzieć do widzenia, ale Pani jeszcze spała. Kiedy będzie Pani czytała te słowa, ja już będę w drodze do Florencji, podążając śladami naszego malarza. To dziwne, że tak długo musiałem czekać na największe odkrycie mojego życia. Chciałbym podzielić się z Panią doznaniem, z którym się obudziłem. Chodzi o coś, co przypomina podróż. Podróż, jak myślę, zaczynając się w momencie, w którym Panią spotkałem. Ale kiedy to naprawdę było? Czy Pani wie?

Zadzwoń do Pani wieczorem. Życzę miłego dnia. Bardzo bym chciał spędzić go z Panią. Wiem teraz, że będzie mi Pani brakowało.

Oddany Pani,

Jonathan

Clara złożyła list i powoli schowała go do kieszeni szlafroka. Głęboko odetchnęła, popatrzyła przez chwilę na żyrandol pod sufitem, a potem wyciągnęła ręce do góry i głośno krzyknęła z radości.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa zdumionej Dorothy Blaxton, jej gospodyni.

- Czy pani mnie wołała?

Clara zakasłała, zasłaniając dłonią usta.

- Nie, Dorothy, to pewnie czajnik zagwizdał.

- Pewnie tak - przytaknęła Dorothy, patrząc na palnik pod czajnikiem, który Clara zapomniała włączyć.

Clara wstała i zakreśliła się, prawie nie zdając sobie z tego sprawy.

Poprosiła pannę Blaxton, żeby posprzątała dom i żeby włożyła kwiaty do wazonu w gościnnym pokoju. Ona jedzie do Londynu, ale szybko wróci.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała gospodyni, wychodząc.

Skoro tylko zniknęła w korytarzu, Clara, wznosząc oczy do nieba, pobiegła na piętro.

W tym samym momencie, kiedy koła samolotu Jonathana oderwały się od pasa startowego, Clara odjechała kabrioletem do miasta. Świeciło słońce.

Dwie godziny później zaparkowała wóz przed galerią.

*

Ponad tysiąc kilometrów od Londynu taksówka przywiozła Jonathana na Piazza della Repubblica, pod hotel Savoy. Kiedy tylko znalazł się w swoim pokoju, zadzwonił do przyjaciela, którego nie widział od lat. Lorenzo odebrał po pierwszym sygnale i od razu poznał jego głos.

- Co cię do nas sprowadza? - zapytał z tokańskim akcentem.

- Jesteś wolny w porze lunchu? - odpowiedział pytaniem Jonathan.

- Dla ciebie, zawsze! Gdzie się zatrzymałeś, skoro nie przyszedłeś do mnie?

- W Savoyu.

- To spotkajmy się za pół godziny w Café Gilli.

Taras był zatłoczony, ale Lorenza znano we wszystkich najbardziej uczęszczanych lokalach Florencji. Jeden z kelnerów uściskał go, podał rękę Jonathanowi, i natychmiast posadził ich przy stoliku, ku oburzeniu turystów czekających w długiej kolejce przed kawiarnią. Jonathan grzecznie podziękował za kartę, którą podał mu kierownik sali.

- Wezmę to co on!

Potoczyła się rozmowa dwóch przyjaciół, którzy cieszyli się ze spotkania.

- Więc myślisz, że znalazłeś ten twój słynny obraz?

- Jestem o tym przekonany, ale potrzebuję twojej pomocy, żeby inni podzielili moje zdanie.

- Dlaczego ten twój malarz wyklęty... Czemu nie podpisał obrazu?

- Jeszcze nie wiem i właśnie dlatego chcę, żebyś mi pomógł.

- Zupełnie się nie zmieniłeś! Ciągłe jesteś tak samo zwariowany. Już na zajęciach w Beaux-Arts zanudzałeś mnie tym twoim Radskinem.

- Ty też się nie zmieniłeś.

- Przybyło mi dwadzieścia lat, więc jednak to jakaś zmiana.

- A jak Luciana?

- Wciąż jest moją żoną, matką moich dzieci. Wiesz, jak tu jest, we Włoszech, małżeństwo to instytucja. A ty jesteś żonaty?

- Prawie!

- Miałem rację. Nie zmieniłeś się ani trochę.

Kelner przyniósł dwie mocne kawy i rachunek. Jonathan sięgnął po portfel, lecz Lorenzo przytrzymał jego rękę.

- Zostaw to mnie. Dolary już nie mają wartości w Europie. Nie wiesz? Dobra. Pójdę z tobą do Zecchiego. Jego zakład jest niedaleko stąd. Może tam dowiemy się, jakich pigmentów używał twój Ruski. Oni tam od wieków stosują te same receptury. Ten zakład to historia naszego malarstwa.

- Lorenzo, znam firmę Zecchi!

- Dobrze, ale nie znasz nikogo, kto tam pracuje, a ja tak!

Taksówka zabrała ich z Piazza della Repubblica i zawiozła pod numer 19 przy Via della Studio. Lorenzo podszedł do kontuaru. Olśniewająca brunetka, którą nazywał Graziella, przyjęła go z otwartymi ramionami. Lorenzo wyszeptał jej do ucha kilka zdań, na które ona odpowiadała, prawie śpiewając: *Si! Si!* Spojrzała kątem oka na Jonathana i zaprowadziła ich do pomieszczenia na tyłach. Tam weszli na stare trzeszczące schody. Graziella zabrała ze sobą imponujących rozmiarów klucz. Włożyła i przekręciła go w zamku drzwi, które otworzyły się, ukazując ogromne ciemne poddasze. Cienka warstwa kurzu pokrywała tysiące ksiąg stojących rzędami na półkach ciągnących się w nieskończoność pod więzaniem dachu. Graziella odwróciła się do Jonathana i zapytała po francusku, prawie bez obcego akcentu:

- W jakich latach bywał tu pański malarz?

- Między rokiem tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim a sześćdziesiątym piątym.

- Więc chodźcie za mną, rejestry z tych lat są trochę dalej.

Przesunęła palcami po jednej z półek i zatrzymała je na popekanych grzbietach pięciu ksiąg, które wyciągnęła i położyła na podręcznym stoliku.

W tych rejestrach znajdowały się wszystkie zamówienia zrealizowane w ciągu

czterystu lat przez firmę Zecchi.

- To tu przygotowywano pigmenty i oleje. Na tym poddaszu tłoczyli się najwięksi mistrzowie pędzla. Obecnie jest to archiwum podlegające florenckiemu muzeum. Wiecie, że na wejście tutaj powinniście mieć pozwolenie konserwatora? Gdyby mój ojciec nas zobaczył, byłby wściekły. Ale pan jest przyjacielem Lorenza, więc może czuć się jak u siebie. Pomogę wam szukać.

Jonathan, Lorenzo i Graziella skupili się wokół stolika. Przeglądając odręczne zapisy na stronach rejestru, Jonathan wyobrażał sobie Vladimira przechadzającego się w oczekiwaniu na przygotowanie jego zamówień. Radskin mawiał, że malarz jest odpowiedzialny nie tylko za wartość estetyczną i techniczną doskonałość swoich dzieł. Powinien także umieć ochronić je przed upływem czasu. Kiedy wykładał w Rosji, często musiał narzekać na szkody wyrządzone przez złą konserwację płótnom mistrzów, których najbardziej cenił. Jonathan znał kilku paryskich konserwatorów podzielających te poglądy.

Nagle usłyszeli skrzypienie schodów i krew zastygła im w żyłach. Ktoś wchodził na górę. Graziella złapała księgi i pobiegła wstawić je na miejsce. Zazgrzytała klamka. Graziella ledwie zdążyła przybrać niewinny wygląd, żeby powitać swojego ojca, który z groźną miną wszedł do środka. Giovanni Zecchi przesunął ręką po brodzie i zwrócił się do Lorenza:

- Co ty tu robisz? Nie byliśmy umówieni.

- Ach, Giovanni! Jaka to przyjemność cię widzieć - odpowiedział radośnie Lorenzo, idąc w jego stronę.

Przedstawił Jonathana gospodarzowi. Giovanni rozchmurzył się nieco, widząc, że jego córka nie jest z Lorenzem sama.

- Nie gniewaj się na córkę, poprosiłem ją, żeby pokazała to jednemu z moich najlepszych przyjaciół. Przyjechał z Ameryki. Z Bostonu. Pozwól, że przedstawię ci Jonathana Gardnera, którego poznałem na studiach w Paryżu. To jeden z najwybitniejszych znawców malarstwa na świecie.

- Przesada nie jest wadą narodową. Lorenzo, staraj się! - powiedział ojciec Grazielli.

- Tato! - skarciła go córka.

Giovanni oszacował spojrzeniem Jonathana, przesunął ręką po brodzie, uniósł prawą brew i uściśnął mu rękę.

- Witam. Jeżeli jest pan przyjacielem Lorenza, to także i moim. A teraz byłoby lepiej, gdybyśmy zeszli na dół porozmawiać. Mieszkańcy tego poddasza nie lubią przeciągów. Proszę za mną.

Starszy pan zaprowadził ich do wielkiej kuchni. Przy palenisku stała kobieta w

chustce na głowie. Na ich widok odwiązała fartuch, odwróciła się, i uroczystym gestem powitała gości swojej córki. Jonathan popatrzył na nią i w charakterystyczny sposób zmrużył oczy. Zupełnie niespodziewanie poczuł tęsknotę za Clarą.

Godzinę później Jonathan i Lorenzo wyszli z domu don Giovanniego.

- Zostajesz do wieczora? - zapytał Lorenzo.

- Tak, wolę poczekać na wyniki poszukiwań, o które poprosiłem twoją przyjaciółkę.

- Skoro Graziella nad tym pracuje, możesz jej zaufać.

- Jeżeli ojciec pozwoli jej pracować.

- Nie martw się. Dobrze go znam. Wydaje się groźny, ale przed córką mięknie jak wosk.

- A ja powinienem ci zapalić świeczkę.

- No to przyjdź do nas na kolację. Luciana się ucieszy. Pogadamy o twojej pracy.

Lorenzo zostawił Jonathana przed hotelem i poszedł do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie kierował działem badań naukowych. Jonathan chciał pójść do galerii Uffizzi, ale była zamknięta. Przyjął to ze spokojem, przeszedł przez Ponte Vecchio i dotarł do Piazza Pitti. Kupił bilet i wszedł do ogrodów Boboli.

Przebiegł wewnętrzny dziedziniec i wspiął się schodami prowadzącymi na taras oddzielony od pałacu fontanną Carciofo. Widok na Florencję był porywający. W oddali kopuła katedry i dzwonnica górowały nad dachami domów, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Przypomnił sobie znajdujący się w Luwrze obraz Corota, namalowany w 1840 roku. Od strony parku widać było amfiteatr zbudowany w XV wieku. Z zainteresowaniem obejrzał stojącą pośrodku rzymską misę z marmuru i egipski obelisk. Wdrapał się na szczyt wzgórza. Po prawej stronie prowadząca do góry aleja kończyła się okrągłym placem. Usiadł na ławce pod drzewem, żeby odpocząć w cudownej atmosferze florenckiego popołudnia. Na sąsiedniej kamiennej ławeczce jakaś para trzymała się za ręce. W milczeniu podziwiali majestat dzieł sztuki, które ich otaczały. W ogrodach Boboli panowała przesycona spokojem atmosfera, którą mogą ukształtować tylko upływające stulecia. Z rozterką w duszy, Jonathan przymknął oczy, żeby nie patrzeć na delikatną intymność młodej pary, i odszedł w kierunku Viottolone. Długie przesło wiaduktu otoczonego stuletnimi cyprysami opadało po stromym stoku ku Piazzale dell'Isolotto, gdzie królował okrągły basen ozdobiony posągami. Pośrodku znajdowała się wysepka z drzewkami pomarańczowymi i cytrynowymi. Jonathan podszedł do fontanny Okeanosa. Wśród mitologicznych postaci zobaczył nagle odbitą w wodzie twarz Vladimira. Zupełnie jakby tamten zaszedł go od tyłu, a on nie usłyszał jego kroków. Jonathan odwrócił się. Uwierzył, że

rozpoznaje sylwetkę Vladimira, który teraz chował się za drzewem. Stary malarz kroczył niedbale pośród relikwów minionych kultur, przesycających to miejsce tajemniczymi woniami. Zaintrygowany Jonathan szedł za nim aż do basenu fontanny Neptuna. Vladimir przystanął przed statua Obfitości, kładąc palec na ustach. Protekcyjnym gestem położył rękę na ramieniu Jonathana i pociągnął go za sobą.

Aleja, którą schodzili, doprowadziła ich do podnóża Belwederu. Weszli na rozległą pochyłość, która na prawo od pałacu ciągnęła się ku grotom. „To dzieło zaprojektowane przez Buontalente. Składa się z wielu sal ozdobionych marmurowymi czaszami, obrazami, stalaktytami i rzeźbami w skale”, szepnął malarz. „Popatrz, jakie to wszystko piękne”, dodał. A potem uklonił się i rozpląnął. Jonathan wstał z ławki, na której się zdrzemnął.

Przy wyjściu z parku, mijając małą fontannę Bachusa, pozdrowił figurkę Karła dosiadającego żółwia.

Skradając się jak kot, Graziella weszła na poddasze. Nacisnąwszy po cichu klamkę, wślizgnęła się do archiwum i delikatnie zdjęła rejestr z regału. Położyła go na stole i w świetle małej lampki zaczęła szukać tego, o co prosił ją Lorenzo. Zaabsorbowana lekturą, podskoczyła, kiedy ojciec usiadł obok niej. Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Czegóż to szukasz dla swoich przyjaciół, córeczko?

Ona uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. Jedna za drugą, odwracały się strony starych ksiąg, drobinki kurzu wirujące w promieniach światła przebiegały po linijkach starych zapisów dotyczących tego pełnego tajemnic miejsca. Graziella i Giovanni pracowali aż do wieczora.

*

Nad Florencją zapadał zmierzch. Jonathan stanął przed fasadą szesnastowiecznej kamienicy, w której mieszkał Lorenzo. W tym samym momencie Graziella wyszła na wewnętrzny dziedziniec domu Zecchich. Była otulona szerokim szalem, ale nie ze względu na chłód tokańskiego wieczoru, tylko dlatego że ukrywała pod nim gruby rejestr w popękanych okładkach. Popatrzyła w okna na piętrze. Rodzice oglądali telewizję. Wyszła przez bramę i zagłębiła w uliczki starego miasta.

*

W Londynie Clara spotkała się w sali konferencyjnej z jednym z angielskich aukcjonerów i towarzyszącym mu rzeczoznawcą. Dyskretnie zerkała na zegarek. Konkurenci

Jonathana i Petera zostali poinformowani, że dokonała już wyboru i ich kandydatura nie została zaakceptowana. Clara wyszła z sali. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała na wiszący tam obraz Corota. Znajdujący się na nim pejzaż był zaskakująco wierny. Jej myśli uleciały nad dachy Florencji.

*

Anna przeszła szybko przez alejki targowiska koło starego portu. Usiadła w jednej z licznych kawiarenek. Otworzyła gazetę. Kobieta o białych włosach przyszła dziesięć minut później i usiadła naprzeciwko niej.

- Przepraszam za spóźnienie, ale jest piekielny ruch.

- A więc? - spytała Anna, odkładając gazetę.

- A więc wszystko idzie doskonale. Jeżeli kiedyś zdecyduję się opublikować moje prace, dostanę Nagrodę Nobla.

- Jeżeli opublikujesz swoje prace, natychmiast zamkną cię w szpitalu dla wariatów.

- Może masz rację. Ludzie zawsze odrzucali odkrycia, które ich bulwersowały. A jednak, jak powiedział jeden z moich starych przyjaciół, ona się kręci.

- Masz zdjęcia?

- Oczywiście, że mam.

- Wobec tego wszystko idzie najlepiej na tym najlepszym ze światów. Muszę jak najszybciej z tym skończyć - powiedziała Anna.

- Cierpliwości, moja droga - odrzekła białowłosa pani. - Czekamy na ten moment od niepamiętnych czasów, więc podaruj mi jeszcze kilka tygodni. Przeleć szybko, niż sobie wyobrażasz. Uwierz mi.

- Zawsze ci wierzyłam. - Anna podniosła rękę, żeby przywołać kelnera.

*

Luciana przygotowała wspaniałą kolację. Dwoje dzieci Lorenza przyszło przywitać się z Jonathanem, a Graziella dołączyła do towarzystwa w momencie, kiedy mieli siadać do stołu.

- Myślę, że coś znalazłam - oznajmiła. - Ale obejrzymy to później.

Kiedy skończyli jeść, poszła po zostawioną przy wejściu paczkę, którą przyniosła pod szalem.

Położyła rejestr na stole w salonie i otworzyła go. Jonathan i Lorenzo stanęli obok

niej.

- Wasz Vladimir nie przyjeżdżał do Florencji, a przynajmniej jego stopa nigdy nie powstała w domu Zecchich.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Jonathan.

Lorenzo dał mu znak, żeby pozwolił Grazielli mówić. Ona odwróciła jedną stronę, potem drugą i wróciła do poprzedniej.

- Popatrzcie, to jest tu - wskazała cienkie linijki liter pisanych niebieskim atramentem.

Dotknęła palcem pierwszej kolumny, w której wyliczono zamówione artykuły: pigmenty, olej, pędzle, rozpuszczalnik, werniks. Druga kolumna zawierała datę ich przygotowania, trzecia należną kwotę i wreszcie ostatnia, nazwisko zamawiającego. Był nim sir Edward.

- To nie tamten tu przychodził - stwierdziła.

Mrok tajemnicy, który Jonathan spodziewał się tu rozjaśnić, zgęstniał jeszcze bardziej.

- Przygotowałam dla was wyczerpującą listę wszystkiego, co kupował. Jeden szczegół powinien was zainteresować. Nie można przynajmniej powiedzieć, że wasz marszand żałował pieniędzy. Materiały, które zamawiał, kosztowały w tamtym czasie prawdziwą fortunę.

Wyjaśniła Jonathanowi, że aby lepiej oczyścić olej, wystawiano go w wielkich kubłach na rozpalony od słońca dach domu Zecchich. Wieczorem zbierano tylko wierzchnią warstwę.

- Ale to nie wszystko. Odkryłam też, jakie pędzle kupował. Chodzi o majoliki. To pędzle wysokiej jakości, robione z tego samego włosia, co pędzle do golenia. One też musiały być bardzo drogie, ale zapewniały niezwykle precyzyjne i równomierne nakładanie mieszanki farb z palety.

Luciana przyniosła kawę. Graziella skrupulatnie poskładała rejestry.

- Jeżeli ojciec cię przyłapie, będę słyszał moje imię w całym mieście - mruknął Lorenzo, spoglądając na nią.

- To on pomógł mi zapakować rejestr. Przecież znasz tatę...

Lorenzo był uczniem ojca Grazielli, strasznym uczniem, jak go określał. Ale jednocześnie jednym z ulubionych, ze względu na swoją nieposkromioną ciekawość.

- Dodam jednak, że kiedy ojciec dowie się, co jeszcze zrobiłam, to wtedy wolałabym być na wakacjach w Rzymie.

Graziella wyjęła z kieszeni arkusz, na którym skopiowała skład wszystkich pigmentów, które sir Edward kupował we Florencji.

- Odtworzyłam wzory każdego z nich. Możecie porównać je z tymi, które są na

waszym obrazie. Nie wiem, czy to wystarczy do autentyfikacji, ale tylko tyle mogę dla was zrobić.

Jonathan wstał i wziął ją w ramiona.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować. To jest to, czego potrzebowałem!

Zarumieniona Graziella wysunęła się ze spontanicznego uścisku Jonathana i zakasłała.

- Przywróćcie malarzowi sprawiedliwość. Ja też bardzo kocham tego waszego Vladimira.

Nastał wieczór. Lorenzo odprowadził Graziellę, niosącą cenny manuskrypt. Kiedy doszli pod dom Zecchich, zapytała, czy Jonathan jest żonaty. Lorenzo uśmiechnął się i powiedział, że życie uczuciowe jego przyjaciela wydaje się w tym momencie nieco skomplikowane. Graziella wzruszyła ramionami i też się uśmiechnęła.

- Tak jest zawsze, kiedy podoba mi się jakiś mężczyzna. Zresztą, jak mawiała moja babcia, właściwe spotkanie to spotkanie właściwych ludzi we właściwym momencie. Ale jestem bardzo szczęśliwa, że go poznałam. Pozdrów go ode mnie i powiedz, że gdyby kiedyś wrócił do Florencji sam, to będę bardzo zadowolona, jeśli zaprosi mnie na obiad.

Lorenzo obiecał spełnić jej prośbę i kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, poszedł z powrotem do domu. Luciana skorzystała z nieobecności Lorenza, żeby porozmawiać z Jonathanem.

- Więc, jak mówił Lorenzo, wreszcie zdecydowałaś się ożenić?

- Dziewiętnastego czerwca. Gdybyście przyjechali, byłoby wspaniale.

- Wspaniale, ale dla nas to niemożliwe! Mój mąż ma dobrą pracę i bardzo się cieszę, widząc, jak poświęca się swojej pasji, ale koniec miesiąca jest dość ciężki dla każdego prowadzącego badania. Wiesz, Jonathanie, nigdy nie przestaliśmy być szczęśliwi. Mamy wszystko, czego nam potrzeba. W tym domu jest dużo miłości.

- Wiem, Luciano. Podziwiam was oboje.

Luciana pochyliła się ku niemu i wzięła go za rękę.

- Czy ciebie też czeka taka piękna przyszłość z kobietą, którą poślubisz?

- Co kryje się za tym pytaniem w twoich czarnych oczach?

- Pytam, bo nie widzę, żebyś był szczęśliwy jak ktoś, kto za parę tygodni ma się ożenić.

- Ostatnio mam trochę kłopotów. Powinienem być z nią w Bostonie i pomagać w przygotowaniach do ślubu, a jestem we Florencji, goniąc za tajemnicami, które czekają na rozwiązanie od ponad wieku i mogą poczekać jeszcze parę miesięcy.

- Dlaczego to robisz?

- Nie wiem.

- Myślę, że wiesz. Jesteś inteligentny. Czy tylko ten obraz pojawił się w twoim życiu?

Jonathan bezradnie popatrzył na Lucianę.

- Masz dar jasnowidzenia?

- Jedyne, jaki mam, to taki, że biorę mojego męża, moje dzieci, moich przyjaciół takimi, jakimi są. To mój sposób na to, żeby ich rozumieć i kochać.

- A kiedy patrzysz na mnie, co widzisz?

- Widzę w twoich oczach dwa światełka. To nieomylny znak. Twój rozum zapala jedno, drugie zapalają uczucia. Mężczyźni zawsze wszystko komplikują. Uważaj, rozdarte serce może pęknąć. Żeby zrozumieć, co ci mówi, wystarczy umieć go słuchać. Ja znam jeden prosty sposób...

Lorenzo zadzwonił do drzwi. Luciana wstała i uśmiechnęła się do Jonathana.

- Znowu zapomniał kluczy!

- Luciano, co jest proste?!

- Po grappie, którą ciebie częstuję, będziesz dobrze spał. Sama ją robię i wiem, jak działa. Jutro rano, kiedy się obudzisz, zwróć uwagę na pierwszą twarz, jaka ci się przypomni. Jeżeli będzie to twarz tej samej osoby, o której myślałeś przed zaśnięciem, znajdziesz odpowiedź na dręczące cię pytanie.

Lorenzo wszedł do pokoju i poklepał przyjaciela po ramieniu. Jonathan wstał i serdecznie pożegnał gospodarzy. Obiecał, że w przyszłości nie minie tak dużo czasu, zanim znowu ich odwiedzi. Odprowadzili go do końca ulicy, a potem samotnie poszedł do Piazza della Repubblica.

Café Gilli właśnie zamykano i kelnerzy sprząтали taras. Jeden z nich pomachał mu przyjaźnie. Jonathan też pozdrowił go gestem i przeszedł przez prawie pusty plac. Wciąż myślał o Clarze.

*

Clara weszła do swojego małego mieszkania w Notting Hill. Nie zapalając światła, błądziła po ciemnym saloniku. Przesunęła ręką po kontakcie przy wejściu, potem po oparciu kanapy, dotknęła abażuru lampy, a potem podeszła do okna. Spoglądając na pustą ulicę, zsunęła płaszcz, rozwiązała pasek spódnicy i zdjęła bluzkę. Naga, narzuciła na siebie pled, który znalazła na oparciu jednego z foteli. Spojrzała na telefon, westchnęła i poszła do sypialni.

*

Jonathan opuścił hotel wcześniej rano i złapał pierwszy lot do Londynu. Kiedy tylko wysiadł z samolotu, pobiegł niekończącymi się korytarzami Heathrow. Zdyszany przeszedł przez kontrolę celną i popędził dalej. Kiedy znalazł się przed terminalem, zobaczył długą kolejkę do taksówek. Odwrócił się na pięcie i rzucił w stronę szybkiej kolei. Heathrow Express dojeżdżał do centrum Londynu w piętnaście minut. Jeżeli złapie najbliższy pociąg, dotrze na czas, żeby urzeczywistnić to, o czym marzył od momentu, gdy się obudził.

Zdyszany dotarł do ruchomych schodów, które z zawrotną szybkością zanurzały się w podziemiach. Zbiegł, przeskakując po cztery stopnie naraz, pokonał niebezpieczny wiraż na śliskim marmurze i wpadł do korytarza, którego końca nie mógł dojrzeć. Tablice świetlne, zawieszane w regularnych odstępach pod sufitem, pokazywały, że najbliższy pociąg do Londynu odjeżdża za dwie minuty i dwadzieścia siedem sekund. Peronu jeszcze nie było widać.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Powtarzały się dzwonki, a liczby wskazujące upływ sekund gwałtownie się zmniejszały. Pędził jak szalony. Kiedy znalazł się na peronie, drzwi pociągu właśnie się zamykały. Wyciągnął ręce przed siebie i rzucił się do środka. Heathrow Express odjechał o 8.45. Piętnaście minut jazdy pozwoliło mu odzyskać coś w rodzaju oddechu. Gdy tylko pociąg się zatrzymał, Jonathan przebiegł przez dworzec Paddington i wskoczył do taksówki. Była dokładnie 9.10, kiedy usadowił się w kawiarence naprzeciwko Albermarle Street 10. Po pięciu minutach przyjechała Clara. Kto powiedział, że aby poznać czyjeś zwyczaje, trzeba jedynie przez jakiś czas go obserwować?

Zaabsorbowana lekturą jakiegoś artykułu, Clara podeszła do kontuaru. Zamówiła cappuccino, położyła monetę na blacie, zabrała kubek i usiadła koło okna.

Kiedy podnosiła kubek do ust, w polu jej widzenia pojawiła się duża biała chustka. Nie podniosła od razu głowy, ale czując, że powstrzymywanie radości, która ją rozpiera, jest zupełnie bezsensowne, zerwała się i objęła Jonathana. Zaraz potem usiadła na stolku, próbując ukryć zmieszanie za parującą kawą.

- Mam dobre wieści - oznajmił Jonathan.

Weszli do galerii i opowiedział jej prawie wszystko o swojej podróży do Włoch.

- Nie rozumiem - zastanowiła się. - W liście do jednego ze swoich klientów, sir Edward chwalił się, że wysłał Vladimira do Florencji. Dlaczego kłamał?

- Zadamę sobie to samo pytanie. Muszę złapać Petera, żeby polecił mi jakieś angielskie laboratorium.

Jonathan popatrzył na zegarek. W Londynie było prawie południe, a więc na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych siódma rano.

- Może jeszcze się nie położył!

*

Peter szukał po omacku źródła nieznośnego hałasu, który nie pozwalał mu godnie zakończyć nocnego wypoczynku. Zdjął z oczu opaskę, a potem, zawadzając ręką o uśpioną buzię niejakiej Anity, podniósł słuchawkę i wymruczał:

- Kimkolwiek jesteś, właśnie straciłeś przyjaciela!

I rzucił słuchawkę.

Kilka sekund później telefon zadzwonił znowu. Peter wygrzebał się spod kołdry.

- Nudziarz! Uparty jak osioł! Kto mówi?

- To ja - odpowiedział spokojnie Jonathan.

- Czy ty wiesz, która godzina? Jest niedziela!

- Wtorek! Peter, jest wtorek!

- Cholera, nie zauważyłem, jak mija czas.

Gdy Jonathan wyjaśniał mu, o co chodzi, Peter delikatnie potrącił stworzenie spoczywające u jego boku. Szepnął Anicie do ucha, żeby się zbierała, bo jest strasznie spóźniony.

- Słuchasz mnie? - zapytał Jonathan.

- Kogo innego miałbym słuchać? Ale powtórz, co powiedziałeś, tu jest bardzo rano.

Jonathan poprosił go o kontakt z jakimś angielskim laboratorium.

- Mam przyjaciela, który robi zdjęcia rentgenowskie. Możesz powołać się na mnie. Jego laboratorium jest blisko hotelu, w którym się zatrzymałeś.

Jonathan zapisał adres.

- Jeżeli chodzi o analizy chemiczne, to będę musiał podzwonić - dodał Peter.

- Daję ci jeden dzień. Pamiętaj, że to tobie zależy na czasie.

- Dziękuję za obudzenie. Czuję, że czegoś mi brakowało, żeby dobrze zacząć dzień.

Peter już prawie uporządkował dokumentację, którą przywiózł z Londynu. Siedząc godzinami w archiwach Christie's, mógł skserować materiały prasowe z lat, które Radskin spędził w Anglii.

Kiedy je przeczytał, sporządził syntetyczne opracowanie wszystkich artykułów dotyczących słynnej aukcji zorganizowanej przez sir Edwarda, podczas której obraz się

ulotnił.

- Musimy dowiedzieć się, dlaczego zniknął - powiedział Jonathan.

- Pocieszające jest to, że szukamy takiej informacji od dwudziestu lat, a ja na pewno odkryję tę tajemnicę w dwa tygodnie - oznajmił Peter sarkastycznym tonem.

- Pamiętasz, co ci mówił ten twój kumpel, policjant?

- Mam masę kumpli w policji! Bądź bardziej precyzyjny!

- Ten, który mieszka w San Francisco.

- A, Georges Pilguez.

- Podczas naszych poszukiwań cytowałeś go ze sto razy: wystarczy najmniejsza wskazówka, żeby odtworzyć przebieg wydarzeń.

- Myślę, że Pilguez mówił coś więcej, ale wiem, o co ci chodzi. Odezwę się, jak tylko będę mógł zorganizować dalsze badania.

Anita wyszła z łazienki w chwili, kiedy Peter odkładał słuchawkę. Była ubrana w dżinsy i T-shirt. Jedno i drugie było tak obciste, że po pierwszym praniu nie trzeba by było ich prasować. Peter zawahał się przez moment i wyciągnął do niej rękę, żeby pomogła mu się podnieść. Zamiast tego wciągnął ją do łóżka.

*

Jonathan wybrał numer, który podał mu Peter. Radiolog zapytał go o wymiary płótna i poprosił, żeby poczekał przy telefonie. Kilka chwil później Jonathan usłyszał dobrą wiadomość: w laboratorium zostały jeszcze dwie odpowiednie płyty. Umówili się na wczesne popołudnie.

Clara i Jonathan popatrzyli na siebie z wahaniem, zanim zaczęli szukać czegoś, w co mogliby zapakować obraz. W gorączkowym podnieceniu zapomnieli o odpowiedniej skrzyni i właściwie zabezpieczonej furgonetce. Wskoczyli do taksówki i pojechali na małą uliczkę wciśniętą między Park Lane i Green Street. Zadzwonili domofonem i zostali zaproszeni na drugie piętro. Gnany ciekawością i niepokojem, Jonathan prawie biegł na górę, a Clara dotrzymywała mu kroku.

Drzwi otworzyła asystentka w białym fartuchu i zaprosiła ich do poczekalni. Kobieta w ciąży czekała na wynik USG, młody człowiek z nogą w gipsie oglądał ostatnie zdjęcie kontrolne. Kiedy pacjentka z ręką na temblaku nieco podejrzliwie spytała Jonathana, na co jest chory, Clara schowała się za płachtą „Times'a”. W uchylonych drzwiach stanął doktor Jack Seasal. Dyskretnie dał znak Jonathanowi i Clarze. „Nagły wypadek”, mruknął,

uspokajając pozostałych pacjentów.

- No, pokażcie mi to wasze cudo! - powiedział z entuzjazmem, wprowadzając ich do gabinetu.

Jonathan zdjął opakowanie i Jack Seasal, przyjaciel Petera i wielki miłośnik malarstwa, wpadł w ekstazę na widok *Młodej kobiety w czerwonej sukni*.

- Peter nie przesadzał - orzekł, kładąc obraz na stole do prześwietleń. - Chciałbym odwiedzić go pod koniec września w Bostonie, mamy tam zjazd lekarski - dodał, pomagając Jonathanowi równo ułożyć płótno.

Następnie markerami oznaczył obszar napromieniowania.

Wprawnym ruchem wsunął pod blat płytę ze światłoczułym materiałem, wyregulował zawieszony nad płótnem generator promieni, po czym podał gościom dwa ołowiane fartuchy.

- Dla ochrony - wyjaśnił. - To obowiązkowe.

Clara i Jonathan cofnęli się za szybę. Doktor sprawdził wszystko po raz ostatni i nacisnąwszy guzik, uruchomił aparaturę. Wiązka promieni przeniknęła przez wszystkie warstwy obrazu, żeby ujawnić na negatywie kilka spośród tajemnic, które kryło płótno.

- Proszę nie oddychać. Robię drugie zdjęcie - rzucił doktor, zmieniając płytę.

Clara i Jonathan czekali posłusznie na wywołanie filmu. Doktor Seasal pojawił się po piętnastu minutach. Zdjął z podświetlanego ekranu klisze ukazujące kość udową i prawe płuco. Teraz na ekranie ukazało się zdjęcie obrazu Vladimira. Dla każdego konserwatora czy eksperta radiograficzne badanie obrazu jest czymś szczególnym. Promienie X ukazują wewnętrzne warstwy obrazu. Jonathan zobaczył wyraźnie podkład użyty przez Vladimira. Porównując zdjęcia innych jego obrazów, można będzie stwierdzić, czy do namalowania *Młodej kobiety w czerwonej sukni* Radskin użył płótna o takim samym splocie.

Kiedy oglądał kliszę z bliska, wydało mu się, że coś odkrył.

- Czy mógłby pan zgasić światło? - mruknął.

- To są na pewno jedyne zdjęcia, których ja nie mógłbym opisać - skomentował Seasal, podchodząc do wyłącznika. - Mam jednak nadzieję, że doceni pan ich wysoką jakość.

Gabinet pograżył się w ciemności, z którą kontrastował blask ekranu. Serca Clary i Jonathana zabiły tym samym przyspieszonym rytmem. Przed ich zdumionymi oczami, po obu stronach obrazu, ukazały się rzędy notatek zrobionych ołówkiem.

- Co on chciał nam powiedzieć?

- Nie widzę nic poza rzędami cyfr i kilkoma dużymi literami - szepnęła Clara.

- Ja też, ale jeżeli uda mi się zidentyfikować jego pismo, będziemy mieli nasz dowód - odpowiedział Jonathan.

Za ich plecami rozległo się pokasływanie doktora Seasala. Pacjentów w poczekalni ubywało. Jonathan zebrał klisze, a Clara zapakowała obraz. Podziękowali wylewnie doktorowi za jego życzliwość. Wychodząc, obiecali, że kiedy tylko zadzwonią do Petera, nie omieszkają pozdrowić go w jego imieniu.

Po powrocie do galerii usadowili się przy podświetlanym blacie, którego Clara używała do przeglądania diapozytywów. Resztę dnia spędzili na studiowaniu klisz. Clara metodycznie przepisywała notatki Vladimira do notatnika Jonathana. W pewnym momencie Jonathan odszedł, żeby poszukać czegoś w torbie.

Clara niechcący strąciła ten jego wielki notatnik na podłogę. Schyliła się, żeby go podnieść i poszukać strony, na której pisała, lecz jej wzrok padł na inną kartkę. Dotknęła palcem szkicu znajomej twarzy. Jonathan wrócił, a ona szybko zamknęła notatnik i położyła na stole.

Złożone z dużych liter napisy, które Vladimir umieścił na marginesie obrazu, nie dawały podstaw do określenia ich autora. Jonathan mógł natomiast przeanalizować płótno, na którym obraz został namalowany. Pod wieloma względami było ono identyczne z tymi, które badał wcześniej. Miało czterdzieści nitek poziomego wątku i tyle samo pionowej osnowy na centymetrze kwadratowym. A więc dokładnie tak, jak wszystkie płótna dostarczane Vladimirowi przez sir Edwarda. To samo dotyczyło blejtramu, na który płótno zostało naciągnięte. Nadeszła noc. Clara i Jonathan zamknęli galerię i postanowili pospacerować po sąsiednich cichych uliczkach.

- Chciałabym podziękować za to, co pan robi - odezwała się Clara.

- Wciąż jesteśmy bardzo daleko od celu - westchnął Jonathan. - A poza tym, to ja powinienem podziękować pani.

Szli pustymi ulicami i Jonathan wyjaśnił Clarze, że będzie jeszcze potrzebował pomocy, by zakończyć swoją misję w nieprzekraczalnym terminie. Nawet jeśli jest przekonany o autentyczności obrazu, będą konieczne dalsze badania, by ta opinia stała się niepodważalna. Clara przystanęła w świetle latarni i zwróciła ku niemu twarz. Chciała coś powiedzieć, szukała odpowiednich słów, ale może właśnie w tym momencie najodpowiedniejsze było milczenie. Westchnęła i znów zaczęła iść. Jonathan też milczał. Wkrótce doszli do jego hotelu i mieli się pożegnać. Lecz tej nocy pragnęli przedłużyć w nieskończoność kilka kroków, które dzieliły ich od rozstania. Kiedy zwolnili, ich dłonie się zetknęły. Mały palec Clary zaczepił się o jego mały palec, a pozostałe ciasno się splotły. Teraz obie dłonie stanowiły jedną całość. I znowu przyszło oszołomienie.

Imponujące kryształowe żyrandole oświetlały tysiącem świec ogromną salę aukcyjną.

Wszystkie miejsca były zajęte. Mężczyźni we frakach i cylindrach tłoczyli się, wypełniając każdy zakątek amfiteatru. Towarzyszyły im kobiety w długich sukniach. Na podium, za pulpitem, stał dżentelmen, który stuknięciem młotka potwierdził sprzedaż antycznej wazy. Za nim, w kulisach, kilku ludzi w szarych bluzach krzątało się w pośpiechu. Pokryty czerwonym aksamitem postument obrócił się i waza zniknęła. Natychmiast została zdjęta przez jednego z robotników i zastąpiona rzeźbą.

Robotnik obrócił ponownie postument i oczom publiczności ukazała się figura z brązu. Jonathan i Clara popatrzyli na siebie. Po raz pierwszy widzieli się nawzajem w trakcie tych niewytłumaczalnych przywidzeń. Choć jak w poprzednich przypadkach, nie mogli wymówić ani słowa, tym razem nie cierpieli. Wprost przeciwnie, wciąż trzymając się za ręce, czuli, jakby ich ciała uwolniły się od ciężaru upływającego czasu. Jonathan zbliżył się do Clary, a ona oparła się o niego. Poczul zapach jej skóry. Stuk młotka sprawił, że oboje podskoczyli. Na sali zapanowała dziwna cisza. Postument znów się obrócił. Rzeźbę zabrano i robotnik w szarej bluzie umieścił na nim obraz, który oboje od razu rozpoznali. Woźny ogłosił, że zaraz zostanie wystawione na ostateczną licytację wyjątkowe dzieło wielkiego rosyjskiego malarza. Pochodzi ono z prywatnej kolekcji sir Edwarda Langtona, znanego w wysokich sferach Londynu właściciela galerii. Przez salę przeszedł jakiś urzędnik i wspiął się na podium. Pod pachą miał kopertę, którą podał woźnemu. Ten odpieczętował ją, przeczytał pismo i przedstawił je prowadzącemu aukcję, którego twarz stężała. Poprosił młodego notariusza, żeby się do niego zbliżył, i szepnął mu do ucha:

- Pan to odrzucił osobiście?

Notariusz skinął głową. Prowadzący aukcję krzyknął do pomocników, żeby nie pokazywali obrazu, ponieważ chodzi o fałszerstwo.

Potem wskazał palcem człowieka siedzącego w ostatnim rzędzie. Wszystkie twarze zwróciły się ku sir Edwardowi, który szybko wstał. Ktoś krzyknął o skandalu, inny o oszustwie, ktoś jeszcze zapytał, jak zostali opłaceni poręczyciele. „To jeden wielki szwindel!”, zawołał następny.

Przez gęstniejący tłum zaczął przeciskać się dobrze zbudowany mężczyzna. Udało mu się dotrzeć do drzwi prowadzących na główne schody. Zbiegł po stopniach, i goniony przez marszandów, wypadł na ulicę. Sala szybko opustoszała.

„Prędko, prędko”, odezwał się głos w uszach Jonathana. Zobaczył dwoje ludzi, którzy uciekali, zabierając owinięte w koc ostatnie dzieło Vladimira Radskina. Kiedy znikli w drugiej kulisie, wizja się skończyła.

Clara i Jonathan patrzyli na siebie zdumieni. Na pustej ulicy żarówki latarni przestały

migotać. Powoli podnieśli głowy. Na frontonie budynku, przed którym wzięli się za ręce, widać było białą, kamienną tablicę z wyrytym napisem: „W XIX wieku mieściła się tutaj sala aukcyjna hrabstwa Mayfair”.

7

Peter zamykał drzwi swojego biura, kiedy zadzwonił telefon. Zawrócił i nacisnął przycisk głośnego mówienia. Chce z nim rozmawiać pan Gardner. Nie czekając, aż Jonathan się odezwie, Peter powiedział:

- U ciebie musi być bardzo późno, już zbierałem się do wyjścia. - Powiedział, stawiając aktówkę na podłodze.

Przyjaciel poinformował go o postępach swoich badań. Zidentyfikował podkład obrazu, ale nie mógł znaleźć żadnego sensu w notatkach, które Radskin ukrył pod malowidłem, i, co najgorsze, one napisane zostały wersalikami i nie dawały żadnych podstaw do identyfikacji autora. Potrzebuje jego pomocy. Do analiz, które chce przeprowadzić, niezbędna jest specjalistyczna aparatura, którą dysponują tylko nieliczne prywatne laboratoria. Peter miał pewien pomysł, powiedział, że zna kogoś w Paryżu, kto mógłby oddać im taką przysługę.

Zanim odłożył słuchawkę, opowiedział o odkryciu, którego dokonał podczas przeglądania londyńskich archiwów. Chodzi o artykuł w gazecie z czerwca 1867 roku, który przedtem uszedł ich uwagi. Opisany jest tam skandal, do jakiego doszło na aukcji. Niestety autor nie podał żadnych szczegółów.

- Ten dziennikarz był zainteresowany przede wszystkim zniszczeniem reputacji twojego marszanda - stwierdził Peter.

- Mam poważne podstawy, by sądzić, że obraz został tamtego dnia ukradziony, czyli po prostu ktoś go sprzątnął tuż przed prezentacją na aukcji - odpowiedział Jonathan.

- Sir Edward?

- Nie, to nie on schował obraz pod kocem.

- O kim ty mówisz?

- To jest trochę skomplikowane, potem ci powiem.

- Tak czy inaczej to z pewnością nie leżałoby w jego interesie. Sprzedaż podniosłaby poważnie znaczenie jego kolekcji. Mówię ci to jako aukcjoner.

- A ja sądzę, że fortuna, którą się chwalił, wtedy już dawno się rozplynęła.

- Ale skąd ty to wiesz? - zapytał zaintrygowany Peter.

- To długa historia, i nie sądzę, staruszk, żeby chciało ci się jej słuchać. Sir Edward nie był prawdopodobnie takim dżentelmenem, za którego go uważaliśmy. Zdobyłeś jakieś informacje na temat jego nagłego wyjazdu do Ameryki?

- Bardzo niewiele. Ale masz rację, bardzo się spieszył. Nie wiem, co mu się przydarzyło, jednak z artykułu można się dowiedzieć, że tego samego wieczoru, kiedy odbyła się aukcja, ludzie otoczyli jego dom. I że policja musiała ich rozpędzić, bo chcieli podłożyć ogień. A jeśli chodzi o niego, więcej się tam nie pokazał.

Poprzedniego dnia Peter odwiedził archiwum starego portu w Bostonie.

Przejrzał listy pasażerów, którzy w tamtym czasie przyплыли z Anglii. Pewien bryg z Manchesteru, zanim wyszedł na Atlantyk, miał postój w Londynie. Zaczekał w Bostonie w dniu, w którym sir Edward mógł znajdować się na jego pokładzie.

- Co dla nas przykre - ciągnął - nie było tam żadnego Langtona. Sprawdziłem trzy razy. Natomiast natrafiłem na coś zabawnego. Otóż pewna rodzina schodząca z tego brygu zapisała się w miejskim rejestrze imigrantów pod nazwiskiem Walton.

- Co w tym takiego zabawnego? - mruknął Jonathan, pisząc coś na kartce.

- Nic! Sam sobie odpowiedz! To zawsze jest wzruszające, kiedy odkrywamy ślady naszego pochodzenia czy pochodzenia dalekich krewnych. Walton to nazwisko młodej panny, Anny. Twojej przyszłej żony!

Grafit ołówka skruszył się pod palcami Jonathana. Zaległa cisza. Peter wołał kilka razy i naciskał nerwowo klawisz „redial”, ale Jonathan nie odpowiadał. Kiedy odłożył słuchawkę, zadał sobie pytanie: skąd Jonathan wiedział, że obraz był zawinięty w koc?

*

Jonathan i Clara wyjechali z Londynu wczesnym popołudniem. Peter załatwił im spotkanie ze swoją znajomą w Paryżu pod koniec dnia. Ponieważ dzieło nie miało certyfikatu autentyczności, towarzystwa ubezpieczeniowe nie mogły podjąć się transportowania go pod ochroną. Zresztą mieli za mało czasu, żeby coś załatwić. Clara po prostu owinęła obraz kocem i włożyła do skórzanego pokrowca.

Taksówka zawiozła ich na lotnisko City. Stojąc za Clarą na stopniu ruchomych schodów, które wiozły ich na piętro terminalu, Jonathan podziwiał jej figurę. Usiedli w kawiarni zawieszonyj nad płytą lotniska i czekali na odlot. Siedząc blisko okna, patrzyli na

małe prywatne odrzutowce, jeden po drugim kołujące na pasie startowym. Jonathan poszedł kupić Clarze coś do picia. Stojąc przy kontuarze, myślał o Peterze, o Vladimirze, a później o tym, co rzeczywiście wciągnęło go w tę sprawę. Wrócił do stolika i popatrzył na Clarę.

- Zadaję sobie dwa pytania - zaczął. - Ale nie ma pani obowiązku na nie odpowiadać.

- Niech pan zacznie od pierwszego - powiedziała, podnosząc szklanę do ust.

- Jak te obrazy dotarły do pani?

- Wisiały na ścianach dworu, kiedy moja babka go kupiła, ale to ja znalazłam *Młodą kobietę w czerwonej sukni*.

Clara opowiedziała mu, jak dokonała tego odkrycia. Kilka lat temu postanowiła przebudować poddasze. Ponieważ dom uznany został za zabytek, trzeba było bardzo długo czekać na pozwolenie, żeby móc rozpocząć prace. Kiedy pozwolenia odmówiono, Clara zrezygnowała ze swoich planów. Jednak po nocach prześladowało ją trzeszczenie spróchniałych desek. Pan Wallace, cieśla z sąsiedztwa, który bardzo lubił Clarę, zgodził się po cichu powymieniać deski i legary. Gdy wszystko znowu pokryje kurz, nawet inspektor z wydziału ochrony zabytków niczego nie zauważy. Pewnego dnia cieśla przyszedł do niej i powiedział, żeby coś zobaczyła. Clara poszła z nim na poddasze. Znalazł drewnianą skrzynkę o wymiarach metr na metr, ukrytą pomiędzy dwoma legarami. Wyjęli z tej skrzynki i położyli na deskach owinięty w szary koc obraz. *Młoda kobieta w czerwonej sukni* wyłoniła się z przeszłości. Clara natychmiast rozpoznała autora.

Jej opowiadanie przerwał głos z megafonu. Pasażerów zapraszano na pokład samolotu. Jakaś para ucałowała się przed bramką kontrolną. Kobieta leciała sama. Kiedy przeszła bramkę, mężczyzna czule jej pomachał. Kobieta zniknęła za załomem korytarza i jego ręka pozostała na chwilę zawieszona w powietrzu. Jonathan popatrzył na niego, jak przygarbiony zawraca w stronę schodów. Zamyślony, dogonił Clarę idącą do wejścia numer 5.

City Jet Air France doleciał do Paryża w czterdzieści pięć minut. Dokumenty z galerii pozwoliły im przejść bez przeszkód kontrolę celną. Jonathan zarezerwował dwupokojowy apartament w hotelu na Avenue Bugeaud. Zostawili tam bagaże, oddali obraz do sejfów i oczekiwali nadejścia wieczoru. Sylvie Leroy, wysoko postawiona pracownica Ośrodka Badań i Konserwacji Muzeów Francuskich, spotkała się z nimi w hotelowym barze. Zajęli stolik w dyskretnym miejscu, pod kręconymi drewnianymi schodami, które prowadziły na podest przylegający do biblioteki. Sylvie Leroy uważnie ich wysłuchała. Potem poszli razem do saloniku łączącego pokoje w ich apartamencie. Clara rozsunęła suwak skórzanego pokrowca, wyjęła obraz i oparła go o parapet okna.

- Jest wspaniały - wyszeptała dobrą angielszczyzną młoda konserwatorka.

Długo oglądała obraz i zrezygnowana usiadła w fotelu.

- No cóż, nie mogę nic dla was zrobić. Bardzo żałuję. Mówiłam już o tym wczoraj Peterowi przez telefon. Laboratoria Luwru obsługują wyłącznie muzea państwowe. Nigdy nie pracujemy dla prywatnych zleceniodawców. Bez zamówienia złożonego przez kogoś z konserwatorów takiego muzeum nie mogę wyznaczyć zespołu, który byłby do waszej dyspozycji.

- Rozumiem - powiedział Jonathan.

- A ja nie rozumiem - włączyła się Clara. - Przyjechaliśmy z Londynu. Zostały nam zaledwie dwa tygodnie na udowodnienie, że obraz jest autentyczny, a pani dysponuje wszelkimi środkami.

- My nie jesteśmy powiązani z rynkiem dzieł sztuki, proszę pani - odpowiedziała Sylvie.

- Ale tu chodzi o sztukę, nie o rynek! - zaprotestowała gwałtownie Clara. - Walczymy o to, żeby wielkie dzieło malarza zostało mu oficjalnie przypisane, a nie żeby pobiło rekordy na aukcji!

Sylvie zakasłała i uśmiechnęła się.

- Niech pani nie przesadza. To przecież Peter was do mnie skierował!

- Clara mówi prawdę. Ja jestem historykiem sztuki i rzeczoznawcą, a nie marszandem - zaznaczył Jonathan.

- Wiem, kim pan jest, panie Gardner, pańska reputacja pana poprzedza. Bardzo interesują mnie pana prace, a niektóre z nich ogromnie mi się przydały. Byłam nawet na jednym z pańskich odczytów w Miami. Tam zresztą poznałam Petera i zjadłam z nim późną kolację. Nie miałam jednak okazji pana spotkać, ponieważ pan już wyjechał.

Wstała i podała Clarze rękę, a wychodząc z saloniku, powiedziała do Jonathana:

- Bardzo mi było miło pana poznać.

- Co teraz zrobimy? - spytała Clara, kiedy za Sylvie zamknęły się drzwi.

- Prawda jest taka, że potrzebuję urządzenia do obserwacji w podczerwieni, aparatury do oświetlenia poziomego, spektrometru plazmowego i mikroskopu elektronowego. Myślę, że najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić, to przejść się po Paryżu. Mam nawet pomysł, dokąd pójdziemy.

Taksówka pędziła bulwarem nad rzeką. Na wysokości mostu Trocadéro wieża Eiffla błyskała niezliczonymi światłami, które odbijały się w spokojnych wodach Sekwany. Kopuła Inwalidów lśniła na tle czystego nocnego nieba. Wysiedli z taksówki koło Oranżerii. Na placu

Concorde między dwiema fontannami przechodził samotny staruszek. Woda spływała wielkimi strumieniami, które tryskały z ust posągów. Jonathan i Clara szli w milczeniu bulwarem. Kiedy mijali Tuilerie, Jonathan spojrzał w głąb wysadzonej drzewami alei po lewej stronie i pomyślał o ogrodach Boboli.

- Gdy będziemy w Bostonie, pójdziemy przejść się brzegiem Charles River? - zapytała Clara.

- Obiecuję - odpowiedział Jonathan.

Przeszli przez Bramę Lwów. Pod ich stopami, w podziemiu, pod dziedzińcem Luwru, mieściły się laboratoria Ośrodka Badań Naukowych i Konserwacji.

*

Sylvie Leroy właśnie schodziła do metra, kiedy zadzwoniła jej komórka. Zatrzymała się u szczytu schodów i zaczęła grzebać w torebce. Kiedy tylko znalazła telefon i go odebrała, usłyszała głos Petera, który pytał, co robi sama w najbardziej romantycznym mieście świata.

*

Anna stała przy sztalugach, robiąc ostatnie poprawki obrazu. Odsunęła się, podziwiając swoją precyzję. W pracowni rozległo się kilka piszczących sygnałów. Wstawiła pędzel do glinianego dzbanka i podeszła do biurka stojącego pod oknem, w głębi pokoju. Usadowiła się przed komputerem, wystukała hasło i wsunęła kartę czipową do magnetycznego czytnika. Na ekranie otworzyło się okno z serią zdjęć. Pierwsze, zrobione z ulicy, przedstawiało Jonathana i Clarę oglądających jakiś obraz w galerii przy Albermarle Street. Na drugim szli obok siebie pustą uliczką. Mimo słabego, żółtawego światła latarni można było dostrzec, że sposób, w jaki na siebie patrzą nie pozostawia żadnych wątpliwości. Na trzecim Jonathan i Clara spacerowali po ogrodzie angielskiego dworu. Następne zdjęcie pokazywało ich przez szybę, przy stoliku w kawiarni. Kolejne pod hotelem Dorchester. Na szóstym widać było Jonathana opartego o kontuar w barze na lotnisku i Clarę siedzącą przy stoliku koło okna nad pasem startowym. Zdjęcie było tak ostre, że dało się rozpoznać znak linii lotniczych na samolocie, który właśnie wylądował. W dolnym rogu ekranu zamigotała mała kopertka. Anna otworzyła plik załączony do maila, który właśnie przyszedł. Nowa seria zdjęć dołączyła do poprzedniej. Anna otwierała je i przeglądała po kolei. Paryż. Clara i Jonathan wychodzą z hotelu przy Avenue Bugeaud. Ostatnie zdjęcie ukazywało ich, jak wskazują do taksówki. W rogu zdjęcia widniała godzina: 21.20. Anna sięgnęła do telefonu i

wybrała lokalny numer. Natychmiast odezwał się głos:

- Są doskonałe! Co?

- Tak - mruknęła Anna. - Sprawy się wyjaśniają.

- Nie ciesz się za bardzo. Obawiam się, że sprawy, o których mówisz, nie rozwijają się tak szybko, jak by się chciało. Nie mówiłam ci, że ten facet jest nieprawdopodobnie ślamazarny?

- Alice! - krzyknęła Anna.

- Dobrze. Takie jest moje zdanie i je podtrzymuję - odpowiedział głos po drugiej stronie. - Jak by nie było zostały nam tylko trzy tygodnie, żeby wszystko się udało. Oni nie mogą się wycofać. To trochę ryzykowne, ale myślę, że trzeba ich popchnąć.

- Co chcesz zrobić?

- Mam we Francji kilku wysoko postawionych znajomych. A ty nie musisz wiedzieć nic więcej. Zjemy jutro razem lunch?

- Dobrze - odpowiedziała Anna i odłożyła słuchawkę.

Kobieta, z którą rozmawiała, też się rozłączyła. Na jej palcu błyszczał wielki brylant.

*

Clara i Jonathan przechodzili przez Pont des Arts. Wysoko nad nimi widać było sierp księżyca.

- Niepokoi się pan? - zapytała Clara.

- Nie wiem, jak mogę zdążyć na czas z identyfikacją tego obrazu.

- Ale jest pan przekonany, że to jego obraz.

- Na pewno!

- A pana przeświadczenie nie wystarczy?

- Muszę dać gwarancje współnikom Petera. Oni także ryzykują. Gdyby autentyczność obrazu została zakwestionowana po aukcji, musieliby spłacić nabywcę. A chodzi o miliony dolarów. Muszę mieć niezbite dowody. Po to trzeba przeprowadzić analizy, o które mi chodzi.

- Jeżeli laboratoria Luwru są dla nas niedostępne, to co może pan zrobić?

- Nie wiem. Zwykle współpracuję z laboratoriami prywatnymi, ale one są przeciążone. Trzeba zamawiać analizy na kilka miesięcy naprzód.

Jonathan nienawidził pesymizmu, który zaczynał go ogarniać. Jego zadanie nabrało niezwyklej wagi. Potwierdzając autentyczność obrazu, pomógłby Peterowi, który znalazł się

w trudnej sytuacji zawodowej, i w końcu przywróciłby należną chwałę Radskinowi. Być może też zrozumiałby wreszcie dziwne zjawisko, które nie pozwalało mu wziąć Clary w ramiona, bo gdy próbował to zrobić, świat zaczynał wirować. Zbliżył wolno dłoń do jej twarzy i prawie musnął ją palcami.

- Gdyby pani wiedziała, jakbym tego chciał - powiedział cicho.

Clara cofnęła się i odwróciła twarz ku rzece. Oparła się o poręcz. Wiatr rozwiewał jej włosy.

- Ja też - wyszeptała, patrząc na płynącą wolno Sekwanę.

Odezwała się komórka Jonathana. Poznał głos Sylvie Leroy.

- Nie wiem, jak pan to zrobił, ale musi pan mieć bardzo dobre znajomości. Czekam na pana jutro w laboratorium. Wejście od strony Bramy Lwów, na dziedzińcu Luwru. Zapraszam o siódmej rano - dodała i przerwała połączenie.

Peter rzeczywiście ma niesamowite kontakty, pomyślał Jonathan.

*

O tak wczesnej godzinie Ośrodek Badań Naukowych i Konserwacji Muzeów Francuskich był jeszcze zamknięty. Jonathan i Clara zeszli schodami do podziemi Luwru. Sylvie Leroy czekała na nich przed drzwiami laboratorium. Wsunęła do czytnika kartę magnetyczną i płyta z pancernego szkła schowała się w ścianie. Jonathan uściśnął jej rękę, a ona poprosiła, żeby szli za nią.

Wszystko tu było niezwykle nowoczesne. Przechodzili po metalowych pomostach ponad wielkimi salami, które od rana zapelniali naukowcy, konserwatorzy i technicy. W ramach różnych programów badawczych i konserwatorskich pracowało tu sto sześćdziesiąt osób. Specjaliści z ośrodka - wynalazcy najnowszych technik w swojej dziedzinie, strażnicy ogromnej części dorobku ludzkiej cywilizacji - poświęcali całe swoje życie analizowaniu, identyfikowaniu, restaurowaniu, zabezpieczaniu i inwentaryzacji największych zabytków należących do światowego dziedzictwa kulturowego.

Gdyby nie skromność, jaka ich cechowała, członkowie zespołów ośrodka mogliby się chlępić swoją ogromną wiedzą. Banki danych, które tworzyli latami, były wykorzystywane na całym świecie. François Hébrard, kierownik działu malarstwa sztalugowego czekał na nich na końcu korytarza. Teraz on wsunął swoją kartę do czytnika i ciężkie, hydraulicznie sterowane drzwi centrum analiz powoli się rozsunęły. Clara i Jonathan znaleźli się w jednym z najbardziej tajnych laboratoriów na świecie. Wzdłuż korytarza ciągnęły się szeregi sal, a

pośrodku widać było windę ze szkła i stali, która łączyła dół z pomieszczeniami na górnym poziomie. Za szklanymi przepierzeniami, niezliczone ekrany emanowały zielonkawym światłem. Weszli do sali, której wysokość robiła ogromne wrażenie. Znajdował się tu gigantyczny przesuwany na szynach aparat fotograficzny. Badacze umieścili obraz na sztalugach, długo go oglądając. Niezależnie od środków technicznych, które mieli do dyspozycji, nigdy nie pomijali fizycznej integralności badanego dzieła. Technik ustawił wokół obrazu szereg ramp z lampkami. *Młoda kobieta w czerwonej sukni* została sfotografowana w zwykłym świetle, w podczerwieni i w ultrafiolecie.

Zdjęcia te uwidoczniłyby ukryty pod warstwą farby rysunek lub dokonywane w ciągu lat retusze czy prace konserwatorskie. Analiza spektrometryczna w podczerwieni nie dała jednak zadowalających rezultatów. Żeby przeniknąć sekrety obrazu, trzeba było najpierw przeprowadzić analizę kolejnych jego warstw. Dopiero przed samym południem skończono pobieranie próbek, nie większych od główki szpilki, które zostały następnie poddane chromatografii gazowej. Mądra maszyna potrafiła wyizolować poszczególne molekuly, z których składało się malowidło. Skoro tylko uzyskano pierwsze wyniki, François Hébrard wprowadził je do komputera. Kilka minut później zazgrzytała drukarka. Ukazały niekończące się kolumny wzorów i wykresów. Jeden z badaczy od razu zaczął robić zestawienia porównawcze, przygotowując własną bazę danych. Gorączka powoli ogarniała całe laboratorium. *Młoda kobieta w czerwonej sukni*, której twarzy nikt nigdy nie oglądał, zdawała się jednak uśmiechać na ten widok. Od momentu kiedy zjawiała się w laboratorium, zgromadzony tam zespół wciąż się powiększał.

Najdziwniejszy aparat, pod który wsunięto obraz, miał dokonać pomiaru intensywności kolorów. Kolorymetr wyglądał jak staroświecki projektor filmowy. Niemniej był to nowoczesny, precyzyjny przyrząd i podawał wyniki w niecałą minutę. François Hébrard obejrzał je, odczytał po raz drugi i pokazał wydruk Sylvie Leroy. Popatrzyli na siebie, wyraźnie zaintrygowani. Sylvie szepnęła mu coś do ucha. Hébrard zdawał się wahać, a potem wzruszył ramionami, podszedł do telefonu wiszącego na ścianie i wybrał cztery cyfry.

- Czy ACE działa? - zapytał surowo.

Poczekał na odpowiedź i zadowolony, odłożył słuchawkę. Potem wziął Jonathana pod ramię. Po przejściu następnych zabezpieczonych drzwi, znaleźli się w bardzo dziwnym pomieszczeniu. Tuż za drzwiami korytarz przypominał labirynt.

- To chroni przed atomami - wyjaśnił Hébrard. - Nie są dostatecznie sprytnie, żeby znaleźć wyjście!

Na końcu korytarza znajdowała się ogromna hala, w której zainstalowano akcelerator.

Krzyżowały się tam i splatały dziesiątki rur, których przeznaczenie znali tylko nieliczni uczeni i technicy. Kwiatostan tej rośliny stanowił akcelerator cząstek elementarnych, jedyne tego typu urządzenie na świecie przeznaczone wyłącznie do badania dzieł sztuki. Kiedy tylko próbki zostały włożone na miejsce, Jonathan i Clara usadowili się w sąsiednim pomieszczeniu, przed monitorami ukazującymi przebieg analiz, którym ACE poddawał *Młodą kobietę w czerwonej sukni*.

*

Dzień dobiegał końca. Siedząc w swoim biurze, François Hébrard przeglądał dokumentację. Jonathan i Clara usiedli naprzeciwko niego, zdenerwowani niczym rodzice oczekujący na diagnozą pediatry. Rezultaty okazały się zadziwiające. Naturalne materiały, którymi posługiwał się Vladimir, były niezwykle zróżnicowane. Oleje, woski, gumy, pigmenty o niesłychanie złożonym składzie chemicznym. Technicy z Luwru nie mogli ustalić precyzyjnie receptury czerwonego pigmentu użytego do namalowania sukni młodej kobiety. Tak żywy kolor był zaskakujący. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, obraz, który nigdy nie był restaurowany, zdawał się nie podlegać wpływowi czasu.

- Nie wiem, co wam powiedzieć - zakończył Hébrard. - Gdybyśmy nie byli pod wrażeniem wspaniałej techniki malarskiej Radskina, powiedzielibyśmy, że jego obraz jest dziełem doskonałego chemika.

Hébrard nie widział czegoś takiego w ciągu całej swojej kariery.

- Płótno pokryte jest werniksem o składzie, jakiego nie znamy. A przede wszystkim nie rozumiemy! - dodał.

Młoda kobieta w czerwonej sukni przeczyła wszelkim regułom starzenia. Szczególne warunki, w jakich była przechowywana, nie wyjaśniały zagadki, wobec której badacze z Luwru okazali się bezsilni.

- Co zrobił Vladimir, żeby czas upiększał jego dzieło, zamiast je postarzać? - zapytał Jonathan, kiedy wychodzili.

- Znam tylko jedną formułę alchemiczną, która dodaje piękności z wiekiem - odpowiedziała Clara, wchodząc po schodach. - To miłość!

Postanowili skrócić swój pobyt w Paryżu i ledwie starczyło im czasu na zabranie rzeczy z hotelu. W drodze na lotnisko Jonathan zatelefonował do Petera, żeby zdać sprawozdanie z przebiegu dnia. Kiedy podziękował mu za załatwienie, zdawałoby się niemożliwej, wizyty w Luwrze, Peter wydał się zdziwiony.

- Przysięgam ci po raz trzeci i ostatni, że spałem przez całą noc, chowając moją dumę pod poduszką. Sylvie Leroy posłała mnie wczoraj do diabła. Przez telefon!

Samolot, którym Clara i Jonathan przylecieli do Londynu, wylądował pod wieczór na małym lotnisku City.

8

Młoda kobieta w czerwonej sukni spoczywała pod szarym okryciem w taksówce jadącej w stronę centrum. Jonathan odwiózł Clare do Notting Hill, na Westbourne Grove.

- Niech pan wysiądzie - powiedziała. - Nie będzie pan samotnie jadł kolacji w hotelu.

Weszli po schodach i znieruchomieli przed wyłamanymi drzwiami mieszkania Clary. Jonathan kazał jej zejść na dół i poczekać na ulicy, dopóki on się nie rozejrzy. Jednak, jak się spodziewał, weszła pierwsza. Salon był nietknięty. W sypialni panował porządek.

Niedługo potem siedzieli w kuchence, czekając, aż policja zakończy swoje czynności. Nie znaleziono żadnych odcisków palców, nic nie zostało skradzione. Komisarz stwierdził, że włamywaczy coś spłoszyło, zanim weszli do mieszkania. Clara była innego zdania. Niektóre przedmioty nie znajdowały się na swoim miejscu. Wskazała lampkę na nocnym stoliku - była przesunięta o kilka centymetrów. Żaluzja w salonie została ustawiona pod innym kątem niż poprzednio. Policjanci spisali protokół i wyszli.

- Będzie się pani czuła bezpieczniej, jeżeli zostanę na noc? - zapytał Jonathan. - Prześpię się na kanapie w salonie.

- Nie. Wezmę tylko trochę rzeczy i pojedę do dworu.

- Wolałbym, żeby pani nie jechała. Pada i będzie bardzo ciemno.

- Znam drogę na pamięć. Niech mi pan wierzy.

Jonathan jednak niepokoił się, jak Clara dojedzie. A myśl o tym, że będzie sama, podobała mu się jeszcze mniej. Powiedział, co o tym myśli. Popatrzyła na niego i rzekła rozpromieniona:

- Założył pan ręce do tyłu, i zmrużył oczy jeszcze bardziej niż zwykle. I robi pan tę swoją dziecinną minę. A więc nie ma pan wyboru! Jedzie pan ze mną!

Poszła do sypialni, wysunęła szufladę komody i zaintrygowana podniosła zmięty sweter, a potem drugi.

- Ci faceci byli naprawdę chorzy! - krzyknęła do Jonathana czekającego przy drzwiach. - Ukradli wyniki moich analiz!

- Jakich analiz? - zainteresował się Jonathan, zaglądając do sypialni.

- Badania krwi, które robiłam w zeszłym tygodniu. Nie mogę sobie wyobrazić, do czego to może być im potrzebne.

- Pewnie ma pani swój fanklub!

- Na pewno! Te typy są pokręcone i tyle.

Jonathan pomajstrował przy zamku, żeby drzwi jakoś się zamknęły i wyszli na ulicę, zabierając ze sobą *Młodą kobietę w czerwonej sukni*. Kiedy znaleźli się na chodniku, Jonathan przystanął i powiedział:

- Obawiam się, że we troje nie zmieścimy się w pani austinie.

Clara nie odpowiedziała, tylko poprowadziła go na tył domu. Stajnie znajdujące się w zaułku wybrukowanym zniszczoną kostką zostały zmienione w zachwycające rezydencje, których fasady tonęły w kwiatach. Clara otworzyła drzwi garażu i nacisnęła guziczek pilota, którego wyjęła z kieszeni. W głębi zamigotały światła land-rovera.

- Pomóc panu ją włożyć? - zapytała, otwierając bagażnik.

Jonathan się nie pomylił. Kiedy tylko zjechali z autostrady, zaczął lać deszcz.

Szosa była śliska, nawet dla wozu z napędem na cztery koła, a wycieraczki ledwo zdążyły zbierać wodę z szyby. Tawerna przy rozwidleniu dróg zgubiła się gdzieś w ciemności. Wzdłuż wąskiej drogi prowadzącej do lasu ciągnęły się głębokie koleiny wypełnione wodą. Nawierzchnia stawała się coraz bardziej nierówna i terenowy samochód zarzucał, ślizgając się w błocie. Clara mocno trzymała kierownicę, walcząc z wiatrem, który spychał wóz na pobocze. Porywy wiatru wpadały nawet do wnętrza. Wreszcie w świetle reflektorów pojawiły się pnie wysokich drzew. Brama dworu była otwarta.

- Zaparkuję na podwórku - zawołała Clara. - Otworzę drzwi od kuchni, a pan wbiegnie z obrazem.

- Niech pani da klucz mnie.

- Nie. Trudno otworzyć ten zamek, jeśli się go nie zna. Proszę mi wierzyć.

Zachręścił żwir i Clara zatrzymała land-rovera. Musiała dosłownie walczyć z drzwiami, zanim wyskoczyła na zewnątrz. Kiedy tylko otworzyła kuchnię, odwróciła się i dała znak Jonathanowi.

Wysiadł z wozu i podbiegł do bagażnika.

- Prędko, prędko! Niech się pan pospieszy! - krzyknęła, stojąc na progu.

Krew momentalnie zastygła mu w żyłach. Pochylony nad bagażnikiem, patrzył na swoją rękę, w której trzymał szare opakowanie obrazu i kiedy Clara znowu krzyknęła z ciemności: „Prędko, prędko! Niech się pan pospieszy!”, natychmiast rozpoznał głos

pojawiający się w jego przywidzeniach. Schował obraz, zatrzasnął klapę i zaczął powoli oddalać się w światłach reflektorów. Zaskoczona Clara patrzyła na niego, a deszcz spływał jej po policzkach. Widząc jego spojrzenie, zrozumiała, co się dzieje, i ruszyła w jego stronę.

- Czy wierzysz, że można tak kochać, że nawet śmierć nie zatrze tego w pamięci? Czy wierzysz, że miłość może nas przeżyć i przywrócić nam życie? Czy wierzysz, że czas może bez końca łączyć na nowo tych, którzy kochali się na tyle mocno, żeby tego nie stracić? Wierzysz w to, Claro?

- Wierzę w to, że jestem w tobie zakochana - odpowiedziała, opierając głowę na jego ramieniu.

Jonathan objął ją a Clara szepnęła mu do ucha:

- Nawet pomiędzy mrokiem i światłem.

Pocałowali się, równie otwarci na wieczność, jak w pierwszym dniu ich miłości. Topola ugięła się pod naporem wiatru, okiennice dworu otwierały się, jedna za drugą. Wszystko wokół nich zaczęło się zmieniać. W okienku na poddaszu uśmiechał się Vladimir.

Popękane skórzane okładki rozrzuconych na bibliotecznym stole książek nagle stały się gładkie. Wypolerowane drewniane schody błyszcząły w świetle księżycy wpadającymi przez oszklone drzwi salonu. Na piętrze, w pokoju Clary, obicia odzyskały dawne kolory. Clara podeszła do Jonathana i przytuliła się do niego. Spódnica opadła jej do stóp. Kochali się przez całą noc.

*

W pokoju zrobiło się jasno. Clara skuliła się pod kołdrą, którą przykrył ją Jonathan. Poszukała go, dotykając ręką poduszki. Przeciągnęła się i otworzyła oczy. Jonathana nie było. Natychmiast się rozbudziła. Pokój wyglądał zwyczajnie. Clara zrzuciła kołdrę i stanęła naga w świetle budzącego się dnia. Podeszła do okna. Kiedy Jonathan jej pomachał, odskoczyła i owinęła się firanką.

Jonathan uśmiechnął się i wrócił do kuchni. Dołączyła do niego wkrótce, ubrana w peniuar. Krzątał się przy kuchence. Pachniało grzankami. Jonathan zebrał łyżeczką piankę z gorącego mleka i zsunął do filiżanki z kawą a potem posypał czekoladą.

- Cappuccino bez cukru! - oznajmił.

Clara, wciąż zaspana, wsunęła nos do kubka i duszkiem wypijała kawę.

- Widziałeś mnie w oknie? - zapytała nieśmiało.

- Ależ skąd - odpowiedział Jonathan, walcząc z kawałkiem bułki zaklinowanym w

tosterze. - Nie widziałem cię nagiej, więc między nami jeszcze nic nie zaszło.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziała cicho.

Jonathan miał ochotę położyć ręce na jej ramionach, ale się powstrzymał.

- Wiem, że to nie jest śmieszne, trzeba wreszcie z tym skończyć i spróbować zrozumieć, co się z nami dzieje.

- Znasz adres dobrego specjalisty? Nie chcę być pesymistką, ale boję się, że gdybyśmy opisali te objawy jakiemuś lekarzowi z prowincji, zamknąłby nas w szpitalu dla wariatów!

Jonathan wyrzucił do zlewu przypalony tost, który sparzył mu palce.

- Masz ręce za plecami, ale nie widzę twojej twarzy i nie wiem, czy mrużysz oczy.

Nad czym się tak zastanawiasz? - zapytała.

- Kiedyś podczas konferencji spotkałem kobietę, która może mogłaby nam pomóc.

- Co to za kobieta?

- Profesor. Wykłada na uniwersytecie Yale. Mógłbym jej poszukać. W piątek przedstawię moje sprawozdanie dyrektorom Christie's i wieczorem wyjadę.

- Wracasz do Stanów?

Jonathan odwrócił się bez słowa, a Clara wyszła z kuchni. Sprawy, które powinien rozstrzygnąć, zależą tylko od niego. Żeby żyć dla siebie, muszą znowu się rozstać.

Jonathan spędził resztę przedpołudnia przed *Młodą kobietą w czerwonej sukni*. Gdy wrócił do Londynu, zamknął się w pokoju hotelowym, żeby opracować wnioski wynikające z przeprowadzonych badań.

Clara przysłała do niego wieczorem. Kiedy szykowali się, żeby wysłać e-mail do Petera, zapytała go oficjalnym tonem, czy jest pewien tego, co robi. Analiza pigmentów nie pozwala na dokonanie wiarygodnego porównania. Również badania przeprowadzone w laboratoriach Luwru nie dały niepodważalnego wyniku. Jednak Jonathan, który całe życie poświęcił badaniu dzieł Radsquina, zidentyfikował technikę malarza, sposób użycia pędzla i splot płótna. To pozwalało mu podjąć ryzyko. Pomimo braku niepodważalnych dowodów, wykorzysta swoją znakomitą reputację. W piątek rano przedstawi dyrektorom Petera certyfikat autentyczności *Młodej kobiety w czerwonej sukni*, opatrzony swoim podpisem. Popatrzył na Clary i dotknął przycisku „enter” na klawiaturze. Pięć sekund potem na monitorze u Petera oraz wszystkich członków zarządu Christie's zamigotała mała kopertka.

Wieczorem następnego dnia Clara przywiozła Jonathana pod Terminal 4. na Heathrow. Nie chciał, żeby go odprowadziła do bramki kontroli paszportowej. Pożegnali się z ciężkim sercem.

Gdy samochód Clary jechał wiejską drogą, samolot zostawiał na niebie długą białą

smugę, a maszyny drukarskie zapępniały strony „New York Times'a”, „Boston Globe” i „Le Figaro”:

AUTENTYCZNOŚĆ OSTATNIEGO DZIEŁA
WIELKIEGO ROSYJSKIEGO MALARZA
ZOSTAŁA POTWIERDZONA

Zaginiony od przeszło stu czterdziestu lat najwybitniejszy obraz Vladimira Radskina wyłonił się z cienia. Dzieło zidentyfikowane przez znanego eksperta, Jonathana Gardnera, stanowi główną atrakcję prestiżowej aukcji, zorganizowanej przez Dom Aukcyjny Christie's, która odbędzie się 21 czerwca w Bostonie. Prowadzić ją będzie Peter Gwel.

Podobny artykuł, napisany przez redaktora działu sztuki, ukazał się w „Corriere della Sera” i został w całości przedrukowany na pierwszych stronach kilku międzynarodowych czasopism poświęconych sztuce. Dwa amerykańskie i sześć europejskich kanałów telewizyjnych postanowiło wysłać do Bostonu swoje ekipy.

*

Jonathan przyleciał do Bostonu późnym wieczorem. Kiedy włączył komórkę, jego poczta głosowa pełna była nagranych wiadomości. Pojechał taksówką do starego portu i usiadł w kawiarnianym ogródku, z którym jego i Petera łączyło wiele wspomnień. Zadzwoił do przyjaciela.

- Jesteś pewny tego, co robisz? A może ci odbiło? - zapytał Peter.

Jonathan przycisnął telefon do ucha.

- Peter, żebyś mógł zrozumieć, co mi się przydarza...

- No wiesz! Za dużo ode mnie wymagasz! Mam zrozumieć tę dziwną historię, którą mi właśnie opowiedziałeś? Nie! Nie chcę nawet o niej słyszeć. A ty zrób mi przyjemność i nie opowiadaj jej nikomu, a już zwłaszcza Annie. Lepiej, żeby to się nie rozniosło po mieście, bo powiedzą, że jesteś rąbnięty i trzeba cię zamknąć. Zwłaszcza na trzy tygodnie przed aukcją.

- Gwiżdżę na aukcję.

- Miałem rację! Jesteś ciężko chory! Musisz się przeświecić. Pewnie masz tętniaka w mózgu. To cholera może szybko pieprznąć!

- Peter, przestań chrzanić!

Na chwilę zapadła cisza i Peter zaczął go przeproszać.

- Bardzo mi przykro.

- Nie bardziej niż mnie. Ślub za dwa tygodnie. Nie wiem, co mam powiedzieć Annie.

- Ale coś musisz! Nigdy nie jest za późno. Nie żeń się wbrew swojej woli, tylko dlatego że zaproszenia na ślub są już rozesłane! Jeżeli, jak mówisz, kochasz tę dziewczynę z Anglii, to bierz sprawy w swoje ręce i działaj! Wydaje ci się, że wpadłeś w gówna, a ja tak ci zazdroszczę. Gdybyś wiedział, jak chciałbym móc tak kochać! Nie zmarnuj takiej możliwości. Nie będę dłużej siedział w Nowym Jorku. Jutro wracam, żeby cię wesprzeć. Przyjdź w południe do kawiarni.

Jonathan włókł się nabrzeżem. Aż do bólu tęsknił za Claram, a za kilka chwil miał wyznać całą prawdę Annie.

We wszystkich oknach paliło się światło. Zawołał Annę, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Wbiegł po schodach do jej pracowni. Na biurku leżały rozłożone zdjęcia. Na jednym z nich widać było, jak on i Clara patrzą sobie w oczy przed wejściem do budynku lotniska. Jonathan usiadł na fotelu Anny i ukrył twarz w dłoniach.

9

Jonathan przespał noc na kanapie w salonie. Anna wróciła dopiero rano. Poszła do kuchni i zaczęła parzyć kawę. Postawiła na blacie kuchennym dwie filiżanki, z lodówki wyjęła paczkę tostów, a z półki nad zlewem dwa talerze. Wciąż nie mówiła ani słowa. Położyła nóż na maselnicy. Słychać było tylko jej kroki na posadzce. Znow otworzyła lodówkę. I dopiero teraz zwróciła się do Jonathana:

- Czy nadal jadasz na śniadanie dżem truskawkowy?

Jonathan wstał i chciał do niej podejść, ale ona złapała nóż do masła. Spojrzał na dwucentymetrowe ostrze z zaokrąglonym końcem, a ona rzuciła mu nożem w twarz.

- Uspokój się! Anno! Musimy porozmawiać.

- Nie! - krzyknęła. - Nie mamy o czym rozmawiać!

- Anno, wolałabyś, żebyśmy zdali sobie sprawę z naszej pomyłki po paru miesiącach czy po roku?

- Milcz, Jonathanie! Milcz!

- Anno, od miesiąca odgrywamy komedię ze ślubem. I ja ją odgrywałem, na ile mogłem, bo chciałem, żebyśmy się kochali. Naprawdę chciałem. Ale nie można oszukiwać uczuć.

- A można oszukiwać kobietę, z którą ma się wziąć ślub?

- Przyjechałem, żeby powiedzieć ci prawdę.

- A kiedy to, podczas poznawania tej prawdy, nabrałeś odwagi, żeby spojrzeć mi w oczy?

- Wczoraj, kiedy do mnie dotarła. Dzwoniłem do ciebie z Londynu co wieczór.

Anna nerwowo sięgnęła po torebkę, wyjęła kopertę ze zdjęciami i zaczęła rzucać mu je w twarz.

- Tu na tarasie kawiarni we Florencji, tu w taksówce na placu Concorde, a tu w obrzydliwym angielskim dworzyszczu i jeszcze w restauracji w Londynie...

- Od kiedy mnie śledzisz?

- Od czasu, kiedy wysłałeś mi faks, w którym nazwałeś mnie „Clara”! Przypuszczam, że to jej imię?

Jonathan nie odpowiedział. Anna rozkrzyczała się na dobre.

- Clara to na pewno jej imię? Powiedz! Chcę, żebyś wymówił imię tej, która chce mi złamać życie! Masz odwagę? Jonathanie!

- Anno, to nie Clara rozbiła nasz związek. Zrobiliśmy to sami, bez niczyjej pomocy. Nasze drogi się rozeszły, chociaż za wszelką cenę dążyliśmy do tego, żeby były podobne. Nawet nasze ciała już sobie nie odpowiadały.

- Byliśmy zmęczeni przygotowaniem do ślubu. Jonathanie, nie jesteśmy zwierzętami!

- Anno, przecież ty mnie już nie kochasz.

- A ty zapewne kochasz mnie do szaleństwa?

- Zostawię ci dom. To ja odejdę...

Przeszyła go spojrzeniem.

- Niczego mi nie zostawisz, bo nigdzie nie odejdiesz. Nie uciekniesz z naszego życia w ten sposób. Ten ślub się odbędzie. W sobotę, dziewiętnastego czerwca w południe. Czy tego chcesz, czy nie, zostanę twoją żoną. I będę nią, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym się z tobą ożenił, Anno!

- Jonathanie, uwierz mi, mogę!

Nagle się uspokoiła. Jej spojrzenie złagodniało. Ręce, które skrzyżowała na piersi, opadły wzdłuż ciała, a z twarzy znikły zmarszczki gniewu. Rozłożyła gazetę leżącą na blacie. Na pierwszej stronie były zdjęcia Jonathana i Petera.

- Można by pomyśleć, że to fotosy z *Mody na sukces*, prawda? Ale ja mam jedno pytanie. Kiedy prasa się dowie, że ekspert, który zidentyfikował dzieło bijące rekordy na aukcji, jest ni mniej, ni więcej, tylko kochankiem kobiety, która wystawiła je na sprzedaż, to kto pierwszy, Clara czy ty, pójdzie do więzienia za oszustwo? Jak sądzisz, Jonathanie?

Patrzył na nią osłupiały.

Znów wzięła gazetę i zaczęła czytać ironicznym tonem:

- *Obraz ujawniony przez właścicielkę cenionej galerii i zidentyfikowany przez Jonathana Gardnera zostanie wystawiony na aukcji słynnego Domu Aukcyjnego Christie's. Prowadzić ją będzie Peter Gwel... Twój przyjaciel straci zawód, bo zostanie skazany na dwa lata z zawieszeniem za współudział. Ty stracisz twój cenny autorytet, ale dzięki mnie zarobisz tylko pięć lat. Moi adwokaci postarają się przekonać ławę przysięgłych, że twoja kochanka była główną inspiratorką tego oszustwa.*

Jonathan nie słuchał dłużej. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Poczekaj, nie wychodź! - zachichotała nerwowo Anna. - Daj mi jeszcze przeczytać parę linijek. Bardzo ciebie tu chwala. Posłuchaj... *Dzięki autentyfikacji dokonanej przez Jonathana Gardnera obraz wyceniany na dwa miliony dolarów może osiągnąć na aukcji cenę trzy razy wyższą...*

Anna dopadła go w holu i złapała za rękaw, zmuszając, żeby na nią spojrział.

- Za publiczne oszustwo na sześć milionów dolarów ona spędzi co najmniej dziesięć lat za kratkami. A to będzie przykre dla was obojga, bo nie ma więzień koedukacyjnych!

Jonathan poczuł mdłości. Wybiegł na ulicę i zgiął się wpół nad rynsztokiem.

Anna położyła mu rękę na plecach.

- Rzygaj, mój drogi. Wyrzygaj to ze wszystkich bebechów. A kiedy odzyskasz siły, żeby do niej zadzwonić i powiedzieć, że więcej jej nie zobaczysz, że to był tylko zabawny flirt, i że jej nie kochasz, chciałabym przy tym być!

Odwróciła się na pięcie i weszła do domu. Do Jonathana podszedł starszy pan spacerujący z psem. Pomógł mu usiąść na chodniku i oprzeć się o koło zaparkowanego samochodu.

Labrador, któremu zdecydowanie nie spodobał się stan, w jakim znajdował się człowiek siedzący przed nim, podniósł pyskiem jego dłoń i wspaniałomyślnie wylizał. Starszy pan poradził Jonathanowi, żeby głęboko oddychał, zakrywając usta.

- To lekki przypadek spazmofilii - orzekł pan Skardin tonem, który miał brzmieć pocieszająco.

Kiedy po powrocie ze spaceru opowiedział o tym żonie, ta stwierdziła, że nawet na emeryturze lekarz pozostaje lekarzem.

*

Peter czekał od pół godziny na tarasie kawiarni, w której zawsze się spotykali. Kiedy zobaczył Jonathana, jego zniecierpliwienie natychmiast znikło i podniósł się, żeby pomóc mu usiąść.

- Co ci się stało? - zapytał z niepokojem.

- Co się stało nam obu? - mruknął Jonathan, patrząc nieprzytomnie.

Przez godzinę opowiadał Peterowi, jak w ciągu kilku dni zawałił mu się świat.

- Powiem ci, co masz jej powiedzieć! Masz jej powiedzieć: a gówno!

Peter był tak rozwścieczony, że ludzie przy sąsiednim stoliku przerwali rozmowę, żeby go lepiej słyszeć.

- Nie smakuje wam piwo? - warknął ze złością, a oni odwrócili wzrok.

- Wulgarność i agresja nic tu nie pomogą, Peter.

- Nie możesz spać sobie życia. Nawet gdyby ten obraz był wart dziesięć milionów dolarów!

- Nie chodzi tylko o moje życie, ale Clary i twoje.

- No to się wycofaj. Powiedz, że zwątpiłeś w autentyczność obrazu. I tyle.

Jonathan rzucił na stolik „Wall Street Journal”, „New York Times'a”, „Boston Globe” i „Washington Post”, w których przedrukowano informację.

- Dodaj do tego tygodniki ukazujące się po południu, a potem miesięczniki. Za późno, żeby zatrzymać tę maszynę. Podpisałem certyfikat i wysłałem twoim dyrektorom w Londynie. Kiedy Anna udostępni te zdjęcia prasie, wybuchnie skandal. Christie's wniesie oskarżenie, adwokaci Anny mocno je poprą i nawet jeżeli unikniemy więzienia, będziesz skończony. Ja też. A Clara zostanie zrujnowana. Nikt więcej nie postawi nogi w jej galeriach.

- Ale my jesteśmy niewinni, do diabła!

- Tak, ale o tym wiemy tylko my troje.

- Myślałem, że jesteś większym optymistą - mruknął Peter, wyłamując sobie palce.

- Wieczorem zadzwonię do Clary - westchnął Jonathan.

- Żeby powiedzieć, że już jej nie kochasz?

- Tak, powiem jej, że już jej nie Kocham, bo Kocham ją naprawdę. Wolę, żeby była szczęśliwa beze mnie, niż nieszczęśliwa ze mną. To znaczy kochać.

Peter popatrzył na niego z konsternacją.

- No właśnie! - wykrzyknął, biorąc się pod boki. - Wygłosiłeś miłosną tyradę, od której popłakałaby się moja babcia, a może i ja, gdybyś gadał trochę dłużej. Przeżarłeś się puddingiem w Londynie?

- Ale z ciebie palant!

- Może i palant, a jednak się uśmiechnąłeś. Nie gadaj bzdur! Widziałem! Teraz wiesz, że nawet w biedzie trzeba się śmiać. A jeżeli ta twoja przyszła ekszona myśli, że nas zdołuje, to my jej pokażemy, że mamy szansę.

- Masz jakiś pomysł?

- Na razie żadnego, ale nie martw się, w końcu przyjdzie!

Wstali i powlekli się ze zwieszonymi głowami przez brukowany plac starego targowiska. Późnym popołudniem Peter zostawił tam Jonathana. Kiedy wsiadł do samochodu, wyjął komórkę i wybrał numer.

- Jenkins? Mówi Peter Gwel, pański ulubiony lokator. Mam do pana prośbę. Czy

mógłby pan pójść do mojego mieszkania i spakować trochę rzeczy, tak jakby pan się wybierał w podróż. Ma pan klucz, prawda? I wie pan, gdzie leżą moje koszule? Niech pan się nie gniewa, drogi Jenkinsie, że nadużywam naszej przyjaźni, ale kiedy wyjadę, poproszę też pana o zebranie kilku informacji na mieście. Mój instynkt mówi mi, że umie pan po cichu coś wytropić. Będę za godzinę!

Peter wyłączył telefon tuż przed wjazdem do tunelu.

Pod wieczór, przed wyjściem z domu, nagrał długą wiadomość na pocztę głosowej komórki Jonathana.

- Tu Peter. Wiesz, że powinienem cię nienawidzić, bo przez jedno ciupcianie zawałiłeś aukcję mojego życia, zniszczyłeś nam kariery, nie mówiąc o twoim ślubie, na którym miałem być świadkiem. To może paradoks, ale choć wpadliśmy w niesamowite szambo, od dawna nie miałem tak dobrego humoru. Wciąż się zastanawiam dlaczego? Ale teraz chyba już wiem.

Podczas nagrywania wiadomości dla Jonathana Peter przez cały czas szukał czegoś w kieszeniach marynarki. Papierek, który zwędził przyjacielowi, był w jednej z nich.

- Wtedy w Londynie - ciągnął - widziałem was w kawiarni i zrozumiałem, że to nie z powodu obrazu jesteś szczęśliwy. Spojrzenia, jakie wymienialiście, były takie, że łatwo zrozumieć ich sens. Innymi słowy, jeżeli będziesz dzisiaj rozmawiał z Clary, postaraj się powiedzieć jej między wierszami, że nawet w sytuacji bez wyjścia, zawsze pozostaje nadzieja. A gdybyś nie wiedział, jak to zrobić, możesz po prostu zacytować mnie. Nie będę uchwytny do jutra, ale zadzwonię i wszystko ci wyjaśnię. Jeszcze nie wiem jak, ale nas z tego wyciągnę.

Wyłączył telefon. Wciąż gryzły go wątpliwości, ale poczuł satysfakcję.

*

Jonathan wszedł do pracowni Anny. Stała przy sztaludze i malowała.

- Anno! Poddaję się twojemu szantażowi. Wygrałaś!

Odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył do wyjścia.

- Do Clary zatelefonuję sam. Możesz ukraść mi życie, ale nie godność! Od tego nie ma odwołania! - dodał już w drzwiach, nie odwracając głowy.

*

Clara powoli odłożyła słuchawkę. Spod jej przymkniętych powiek popłynęły łzy. Stojąc w oknie, nie widziała nawet topoli chwiejącej się na wietrze. W zapadającym zmroku

rozbrzmiewało łkanie. W małym gabinecie kobieta w czerwonej sukni zdawała się garbić, jak gdyby smutek, który opanował cały dom, przeniknął do wnętrza obrazu i ciążył jej na ramionach. Dorothy została na noc. Nawet jeżeli młoda pani nie mogła podzielić się z nią swoim smutkiem, to widać było, że cierpi i nie należy zostawiać jej samej. Czasem czyjaś obecność uspokaja, nawet jeśli nie wyraża się w słowach.

*

Nad ranem Dorothy rozpałała w kominku i przyniosła herbatę. Postawiła filiżankę na stoliku, usiadła na łóżku i objęła Clarę.

- Zobacz pani, że wszystko zmieni się na lepsze. Nie można nigdy przestać w to wierzyć - szeptała i pozwalała Clarze wyplakiwać się na swoim ramieniu.

Kiedy południowe słońce zaczęło przeświecać przez zasłony, Clara otworzyła oczy i zaraz znowu je zamknęła. Czy to słońce, czy klakson na podwórzu wyrwał ją ze snu? Odrzuciła kołdrę i wstała. Weszła Dorothy, i jakby czas poufnych szeptów skończył się wraz z nadejściem dnia, oświadczyła głośno i wyraźnie:

- Proszę pani! Gość z Ameryki!

Peter spacerował niecierpliwie po kuchni, gdzie na prośbę panny Blaxton miał zaczekać, dopóki ona nie dowie się, czy pani zechce go przyjąć. Tymczasem Clara, stosując się do kategorycznych poleceń Dorothy, pobiegła na górę, żeby się ogarnąć.

- W kraju Jej Królewskiej Wysokości żadna dama nie może okazywać smutku przed nieznanym przybyszem, nawet jeżeli przedtem spotkała go na mieście - oświadczyła gospodyni, idąc za nią po schodach.

*

- Więc on mnie kocha? - zapytała Clara, siedząc naprzeciwko Petera przy kuchennym stole.

- Ech! Dlaczego jeden musi cierpieć za drugiego? Przesiedziałem całą noc w samolocie, gnałem na łeb na szyję dwie godziny samochodem, w którym kierownica była po złej stronie, a pani pyta mnie, czy on panią kocha! Oczywiście! On kocha panią, a pani kocha jego. Ja też go kocham, a on mnie. Wszyscy kochają wszystkich i razem wpadli w tarapaty!

- Pozwolę sobie zapytać, czy jest pan po śniadaniu - spytała gospodyni, wchodząc do kuchni.

- Ma pani męża?

- To nie powinno być przedmiotem pana zainteresowań. Nie jesteśmy w Ameryce - odpowiedziała panna Blaxton.

- Ach, więc jest pani wolna! Mam dla pani wspaniałego kandydata! To Amerykanin. Nazywa się Jenkins. Mieszka w Bostonie i ma bzika na punkcie Zjednoczonego Królestwa!

*

Jonathan siedział sam w domu. Anna wyszła wcześniej rano i miała wrócić dopiero późnym wieczorem. Poszedł na górę do pracowni i włączył komputer, żeby sprawdzić pocztę. Foldery Anny były kodowane i nie mógł ich otworzyć, ale miał dostęp do Internetu. Peter nie przysłał mu niczego, a na odpowiadanie na niezliczone prośby o wywiady nie miał ochoty. Wyłączył komputer. Nagle jego doświadczone oko na jednym z obrazów, które Anna powiesiła na ścianie, zauważyło drobny szczegół. Podeszedł bliżej. Zaintrygowany, obejrzał następny obraz. Gorączkowo otworzył wielką szafę, gdzie wisiały płótna Anny, uszeregowane według dat powstania. Na wielu odkrył ten sam szczegół, który zmroził mu krew w żyłach. Skoczył do biurka i wyjął z szuflady lupę. Znowu obejrzał obrazy. W tle wszystkich wiejskich scen, które namalowała Anna, widać było jakieś zabudowania i nie było to nic innego, jak tylko dwór Clary. Ostatni z obrazów powstał dziesięć lat temu, a więc w czasie, kiedy on jeszcze nie znał Anny. Zbiegł po schodach, przeskoczył chodnik, wpadł do auta i pognał ku wyjazdowi z miasta. Jeżeli nie będzie korków, za dwie godziny dotrze do bramy uniwersytetu Yale.

*

Renoma Jonathana sprawiła, że został przyjęty przez rektora. Czekał w długim korytarzu o ścianach wyłożonych boazerią, na której wisiały dość ponure portrety pisarzy i uczonych. Profesor William Backer zaprosił go do gabinetu. Był zaskoczony prośbą Jonathana, myślał, że będą rozmawiali o malarstwie, a tymczasem chodziło o naukę, i to niezbyt ścisłą. Backerowi było bardzo przykro, ale żaden z wykładowców nie pasował do charakterystyki podanej przez Jonathana. Czy to chodziło o kobiety, czy o mężczyzn. Żaden profesor tytułarny, honorowy lub pełniący funkcję nie nauczał tej dziedziny wiedzy. Wydział, o który chodziło Jonathanowi, rzeczywiście istniał na uniwersytecie, ale to było dawno temu. Jeśli Jonathan sobie tego życzy, może odwiedzić jego dawną siedzibę. Budynek numer 625, niegdyś zajmowany przez katedrę nauk przyszłościowych, stał opuszczony od czasu, gdy ta przestała istnieć.

- Dawno pan tu pracuje? - zapytał Jonathan woźnego, który prowadził go przez kampus.

- Zacząłem, kiedy miałem szesnaście lat, a pięć lat temu mogłem pójść na emeryturę, więc to już dawno - odpowiedział pan O'Malley.

Wskazał imponującą budowlę z czerwonej cegły i zatrzymał elektryczny wózek u stóp schodów prowadzących do wejścia.

- To tu - powiedział, prosząc Jonathana, żeby szedł za nim.

O'Malley szukał właściwego klucza na pęku liczącym dobrą setkę. Po krótkim wahaniu wyciągnął jeden, o długiej łopacie, i wsunął do zardzewiałego zamka.

Zaskrzypiały wielkie drzwi prowadzące do holu budynku numer 625.

- Od czterdziestu lat nikt tu nie wchodził. Niech pan spojrzysz na ten bałagan.

Mimo grubej warstwy kurzu pokrywającej posadzkę i meble wewnątrz wydało się Jonathanowi całkiem dobrze zachowane. O'Malley zaprowadził go do laboratorium. W obszernym pomieszczeniu stało dziesięć stołów o blatach wykładanych białymi kaflami, na których stały dziesiątki szklanych kolb i probówek.

- Wydawało się, że mają zajmować się eksperymentami matematycznymi, ale ja powiedziałem inspektorom, że majstrowali tutaj przede wszystkim jakieś formuły chemiczne.

- Jakim inspektorom?

- To pan nic nie wie? Myślałem, że dlatego pan tu przyszedł. Wszyscy w okolicy znają tę historię.

Idąc korytarzem prowadzącym do gabinetów profesorskich, O'Malley opowiedział Jonathanowi o tym, co doprowadziło do szybkiego zamknięcia wydziału nauk przyszłościowych, jak go tutaj nazwano. Na ten kierunek przyjętych zostało niewielu studentów. Większość kandydatów nie zdała egzaminu wstępnego.

- Trzeba było nie tylko być asem w naukach ścisłych, ale i prawdziwym filozofem. W dodatku, po zdaniu egzaminów, był jeszcze seans hipnotyczny z dyrektorką zespołu badawczego. Odwaliała wszystkich. Nikt nie zasługiwał na jej łaskę. To była dziwna kobieta. Przez dziesięć lat pracowała w tym budynku, a podczas śledztwa nikt nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek spotkał ją na terenie kampusu. Oczywiście z wyjątkiem mnie, ale ja znam tu wszystkich.

- Ciągle nie mówi mi pan, czego dotyczyło śledztwo.

- Czterdzieści lat temu zaginął jeden ze studentów.

- Zaginął? Gdzie?

- No tak. W tym właśnie cały problem, proszę pana. Jeżeli pan wie, gdzie zginęły panu

klucze, to znaczy, że nie zginęły. Prawda?

- Do czego doszła policja?

- Że gdzieś zwiął. Ale ja w to nie wierzę.

- Dlaczego?

- Bo wiem, że ulotnił się w tym laboratorium.

- Może po prostu pan go nie zauważył. Nie może pan widzieć wszystkiego.

- W tamtym czasie należałem do ochrony - ciągnął O'Malley. - A wtedy „ochrona” to było wielkie słowo. Nasza robota polegała na pilnowaniu, żeby chłopcy nie kręcili się nocami koło żeńskich akademików... i odwrotnie.

- A w dzień?

- My wszyscy, nocni strażnicy, śpimy za dnia. Moi dwaj koledzy potrafili się w nocy zdrzemnąć, ja nie. Zresztą nie śpię nigdy dłużej niż cztery godziny, wygląda, że to wrodzone. Dlatego rzuciła mnie żona. A więc tamtego popołudnia grabiłem trawnik i widziałem młodego Jonasa, jak wchodzi do budynku. Nigdy z niego nie wyszedł.

- Policja panu nie uwierzyła?

- Badali mury, przeczesałi park, przesłuchali Starą. Co by pan chciał, żeby jeszcze zrobili? Poza tym ja wtedy trochę popijałem, a więc, wie pan, to nie wpływa dobrze na wiarygodność świadka.

- Co to za Stara?

- Dyrektorka. Niech pan idzie za mną.

O'Malley dobrał nowy klucz, otworzył drzwi jakiegoś gabinetu i wszedł pierwszy. Małe kwadratowe okna były tak brudne, że światło ledwie przedostawało się do środka. Drewniany pulpit, pokryty grubą szarą warstwą kurzu, został odsunięty pod ścianę. Krzesło leżało do góry nogami, w kącie, koło przekrzywionego wieszaka. Stojąca naprzeciwko stara skrzynia z szufladami wyglądała równie fatalnie.

- Nie wiem, dlaczego nazywali to „salą profesorską”, bo tylko ona miała tu zajęcia - powiedział O'Malley.

Podszedł do półek ciągnących się wzdłuż jednej ze ścian i zaczął grzebać w starych pośliskłych gazetach.

- Proszę! To ona, Stara! - zawołał, pokazując Jonathanowi zdjęcie na pierwszej stronie.

Kobieta stojąca z czwórką swoich studentów nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat.

- Dlaczego nazywa ją pan Starą? - zapytał Jonathan, oglądając fotografię.

- Bo ja wtedy miałem tylko dwadzieścia - odburknął O'Malley, strzepując kurz.

Jonathan podszedł do okna, by lepiej obejrzeć pożątkłą fotografię. Twarz kobiety nie była mu znana, ale zwrócił uwagę na jej dłoń. Na serdecznym palcu miała wspaniały brylant.

- A to jest ten Jonas? - Jonathan wskazał młodego człowieka stojącego z prawej strony.

- Skąd pan to wie?! - wykrzyknął zdumiony O'Malley.

- Nie wiem.

Złożył gazetę i schował do kieszeni. Młody człowiek na fotografii miał ręce założone do tyłu i mrużył oczy. Pewnie oślepił go błysk flesza.

- Kiedy nie nazywaliście jej Starą, to jak o niej mówiliście?

- Nigdy nie nazywaliśmy jej inaczej.

- Ale gdy się do was zwracała, nie odpowiadaliście chyba, mówiąc do niej Stara?

- Ona nigdy się do nas nie odzywała, a my nie mieliśmy jej nic do powiedzenia.

- Dlaczego pan jej tak nienawidzi, panie O'Malley?

Stary strażnik popatrzył na Jonathana.

- A dlaczego pan tu przyszedł, panie Gardner? To wszystko stare sprawy, a niedobrze jest ruszać przeszłość. Mam robotę, musimy wracać.

Jonathan złapał go za rękę.

- Skoro mówi pan o przeszłości, to powiem, że jestem zamieszany w wypadki sprzed lat, i mam bardzo mało czasu, żeby dowiedzieć się, o co w nich chodzi. Kolega mojego przyjaciela mawiał, że wystarczy maleńka wskazówka, by odtworzyć bieg wydarzeń. Szukam kawałka łamigłówki, który pozwoli mi odtworzyć cały obraz. Potrzebuję pańskiej pomocy, panie O'Malley.

Strażnik zmierzył Jonathana niechętnym spojrzeniem i odetchnął głęboko.

- Robili tu eksperymenty. To dlatego budynek został zamknięty. Żeby uniknąć skandalu po zniknięciu Jonasa.

- Jakie eksperymenty?

- Ci studenci byli wybierani, bo mieli przywidzenia.

- Jakie przywidzenia, O'Malley?

Strażnik zmarszczył brwi. Odpowiedź na to pytanie wyraźnie sprawiała mu trudność. Jonathan położył rękę na jego ramieniu.

- Wrażenie, że przeżywali na nowo coś, co wydarzyło się dawno temu, tak?

O'Malley potakująco kiwnął głową.

- Ona wprowadzała ich w trans. Mówiła, że chodzi o dotarcie do naszej jaźni głębokiej, o osiągnięcie stanu świadomości podprogowej, co pozwoliłoby nam przywołać

wspomnienie naszych poprzednich egzystencji.

- Pan wtedy nie był ochroniarzem, ale jednym z jej studentów. Prawda, O'Malley?

- Tak, panie Gardner, byłem jednym z jej studentów, a kiedy laboratorium zostało zamknięte, nigdy już nie studiowałem.

- Co się panu przydarzyło?

- Na drugim roku robiła nam zastrzyki dożylnie, mające prowokować „wizje”. Po trzecim zastrzyku Coralia i ja przypomnieliśmy sobie wszystko. Jest pan gotów usłyszeć coś naprawdę strasznego, panie Gardner? Więc niech pan dobrze słucha! W tysiąc osiemset siódmym roku mieszkaliśmy z żoną w Chicago. Ja byłem szanowanym kupcem, dostawcą beczek, do chwili kiedy moja żona, Coralia, zamordowała naszą córkę. Dziecko miało rok i zostało uduszone pieluszką. Kochałem żonę, ale ona zapadła na chorobę wyniszczającą komórki mózgowie. Pierwsze objawy to jedynie przejściowe napady gniewu. Jednak po upływie pięciu lat dotknięci tą chorobą popadają w nieodwracalny stan obłądzenia. Coralia zawisała na szubienicy. Nie wyobraża pan sobie, jak cierpi ktoś, komu kat odmówił łaski tak mocnego zaciśnięcia pętli, żeby przerwała stos pacierzowy. Widziałem, jak moja żona kołysała się na sznurze, a w jej oczach było błaganie, żebym przerwał tę męczarnię. Miałem ochotę pozabijać własnymi rękami wszystkich łajdaków, którzy gapili się, jak umiera. Ale wśród tłumu byłem bezsilny. Odrodziła się w roku tysiąc osiemset czterdziestym trzecim. Pewnie ani ja bym jej nie rozpoznał, ani ona mnie, gdyby nie to, że tak bardzo się kochaliśmy. Takiej miłości dziś się nie spotyka, panie Gardner. W roku tysiąc dziewięćset drugim wszystko zaczęło się od nowa, a Stara powiedziała mi, że jest tylko jeden sposób na ostateczne przerwanie naszych męczarni. Chodzi o to, żeby jedno z nas odrzuciło za życia miłość do tego drugiego. Jeżeli jednak popełni błąd i zdradzi się z tym uczuciem, nowe życie połączy nas po raz kolejny, i powtórzą się te same zdarzenia, te same cierpienia.

- I pan jej uwierzył?

- Gdyby pan poznał koszmary, które przeżyliśmy po obudzeniu, to by jej pan uwierzył, panie Gardner!

Kiedy laboratorium zostało zlikwidowane, narzeczona O'Malleya przechodziła trzeci okres niepohamowanych napadów gniewu. Popelniła samobójstwo w wieku dwudziestu trzech lat. On wyemigrował do Kanady. Po dwudziestu latach wrócił do Yale i zatrudnił się jako woźny. Zmienił się tak bardzo, że nikt go nie rozpoznał.

- Czy nikt nigdy nie pomyślał, co się stało z Jonasem? - zapytał Jonathan.

- Stara go zabiła.

- Skąd ta pewność?

- Jemu też coś się śniło. W dniu zniknięcia oświadczył, że opuszcza wydział. Miał wyjechać do Londynu.

- I pan nic nie powiedział policji?

- Gdybym opowiedział im to, o czym właśnie panu mówiłem, to jak pan myśli, uwierzyliby mi, czy zamknęli w szpitalu dla umysłowo chorych?

O'Malley odprowadził Jonathana aż do samochodu. Kiedy Jonathan zapytał go, czemu tu wrócił, O'Malley wzruszył ramionami.

- Tutaj czuję, że jestem blisko niej. Miejsca też mają swoją pamięć, panie Gardner.

Kiedy Jonathan miał odjechać, O'Malley pochylił się do okna samochodu.

- Stara nazywała się Alice Walton!

10

Peter był zafascynowany techniką malarską Radskina. Po prawej stronie obrazu oddany został z niezwykłą precyzją promień światła przenikający przez gałęzie topoli i małe okienko. Srebrny odcień, który przybierał, muskając podłogę u stóp kobiety w czerwonej sukni, był taki sam jak światło księżyca wypełniające tego wieczoru mały gabinet. Peter wiele razy zabawiał się, gasząc i zapalając lampę, żeby sprawdzić ten efekt, zadziwiony jego prawdziwością. Podszedł do okna, oglądając drzewo, a potem znowu patrzył na obraz.

- Gdzie był pokój Vladimira? - zapytał Clare.

- Dokładnie nad nami. Tam pan zostawił swoje bagaże. Będzie pan spał w jego łóżku.

Zrobiło się późno i Clara zostawiła gościa samego. Peter chciał jeszcze trochę popatrzeć na obraz. Zapytała, czy czegoś nie potrzebuje, a on zapewnił ją, że ma cudowny środek przeciwko skutkom zmiany czasu, w postaci małej pigułki.

- Dziękuję panu - powiedziała, zatrzymując się w drzwiach prowadzących do biblioteki.

- Za co?

- Że jest pan tutaj!

A kiedy Peter się odwrócił, już jej nie było.

*

Leżąc w łóżku, Peter wściekał się na Jenkinsa, który pomylił środek nasenny z antybiotykiem. Na nikogo nie można już liczyć! W Anglii była jedenasta wieczorem, a więc i tak o godzinę za wcześnie, żeby iść spać, ale za to w Bostonie jeszcze nawet nie zaszło słońce. Nie mogąc zasnąć, wziął walizkę z dokumentacją i położył na łóżku. W pokoju było gorąco, więc podszedł do okna i je otworzył. Zaczerpnął głęboko świeżego powietrza, podziwiając srebrną szatę, którą okrywał topole blask księżyca. Nagle coś go zaniepokoiło. Narzucił szlafrok i zszedł do gabinetu. Obejrzawszy dokładnie obraz, wrócił do okna w swoim pokoju. Główny konar sterczał dokładnie nad jego głową, na wysokości dachu. Jak

wiadomo, drzewa rosną, podnosząc do góry koronę. Peter pomyślał więc, że Vladimir musiał namalować obraz, będąc na poddaszu. Obiecał sobie porozmawiać o tym nazajutrz z Clarą. Niepokój połączył się z bezsennością, a kiedy usłyszał, że schody skrzypią pod stopami jego gospodyni, uchylił drzwi i ją zawołał.

- Idę po wodę. Napije się pan? - odpowiedziała Clara ze schodów.

- Nigdy! Nie chcę zardzewieć! - odkrzyknął Peter, wychodząc na podest.

Zszedł do Clary i poprosił, żeby poszła z nim do gabinetu.

- Znam ten obraz na pamięć!

- Nie wątpię, ale niech pani jednak ze mną pójdzie - nalegał Peter.

- Proszę! Niech pani zobaczy sama! Jestem pewien, że Vladimir pracował piętro wyżej - powiedział, gdy znaleźli się w jego pokoju.

- To niemożliwe. Pod koniec życia był bardzo osłabiony. Zbierał wszystkie siły, żeby móc stać przed sztalugami. Już samo wejście po schodach prowadzących na strych jest niebezpieczne. Nikt w jego stanie nie mógłby się tam dostać.

- Niebezpieczne czy nie, ale mówię pani, że nie to okno zostało przedstawione na obrazie. Jest dużo większe, daje inną perspektywę i główny konar drzewa rozciąga się na wysokości dachu, a nie mojego pokoju!

Clara zwróciła mu uwagę, że w ciągu stu pięćdziesięciu lat drzewo urosło, a w twórczości malarza rolę odgrywa również wyobraźnia. Mówiąc to, poszła do siebie.

Peter położył się w złym humorze. W środku nocy znów zapalił światło i podszedł do okna. Jeżeli Vladimir potrafił z taką precyzją oddać refleksy księżycowego światła w koronie drzewa, które widział z okna, to dlaczego miałby przesuwać konary?

Wykorzystał bezsenność na szukanie odpowiedzi. O świcie wciąż siedział na łóżku, ponownie czytając dokumentację aukcji, którą nadal miał nadzieję poprowadzić za dwa tygodnie. Dorothy przyszła o w pół do siódmej i Peter natychmiast zszedł do kuchni, żeby napić się kawy.

- Zimno tu jak w psiarni - stwierdził, rozcierając ręce przed paleniskiem.

- To stary dom - odpowiedziała Dorothy, nakrywając do śniadania na wielkim drewnianym stole.

- Dawno pani tu pracuje?

- Kiedy pani przyjęła mnie do służby, miałam szesnaście lat.

- Która pani? - zapytał, nalewając kawy do kubka.

- Babka panienki.

- Mieszkała tutaj?

- Nie, pani nigdy tu nie przyjeżdżała. Mieszkałam sama.

- A nie boisz się duchów? - zapytał przekornie Peter.

- W porównaniu z żywymi ludźmi stanowią ani lepsze, ani gorsze towarzystwo.

Peter pokiwał głową, smarując masłem grzanekę.

- Dwór bardzo się zmienił od tamtego czasu?

- Wtedy nie mieliśmy telefonu i to właściwie wszystko. Panienska odnowiła kilka pokoi.

Dorothy przeprosiła go, bo miała coś do zrobienia, i wyszła. Peter skończył śniadanie. Przejrzał gazetę, wstawił kubek do zlewu i postanowił pójść do pokoju po swoją dokumentację. Zapowiadał się piękny dzień, postanowił więc pracować na powietrzu, czekając na przyjście Clary. Wchodząc po schodach, zatrzymał się przed oprawioną ryciną przedstawiającą dwór. Widniała na niej data - 1879 rok. Pochylił się, żeby ją obejrzeć, po czym poruszony zbiegł ze schodów, wypadł na zewnątrz i okrążył dziedziniec. Stał pod topolą, oglądając uważnie dach domu. Potem wrócił, znów wszedł na schody, zdjął ze ściany rycinę i wetknął pod pachę.

- Claro! Claro! Niech pani tu przyjdzie! - krzyknął, stojąc na środku dziedzińca. Z kuchni wyrzała rozgniewana Dorothy.

- Panienska śpi. Proszę, niech pan tak nie hałasuje!

- Niech ją pani obudzi! Niech pani powie, że to bardzo ważne!

- Czy mogłabym wiedzieć, co tak ważnego znalazł pan na środku dziedzińca, żeby usprawiedliwiało to budzenie panienska, która tak bardzo potrzebuje snu po tym, co przeżyła z winy pańskiego przyjaciela?

- Czy pani powiedziała to na jednym oddechu, Dorothy? Pani mnie zadziwia! Niech się pani pospieszy, bo sam pójde do jej sypialni.

Dorothy schowała się w kuchni, wznosząc ręce do nieba i burcząc, że ci Amerykanie są naprawdę źle wychowani. Clara, w szlafroku, przybiegła do Petera, który chodził wokół drzewa. Spojrzała na obrazek oparty o pień.

- Jeśli dobrze pamiętam, wczoraj go tu nie było - zauważyła.

Peter schylił się i podał Clarze rycinę.

- Niech pani popatrzy!

- To dwór!

- Ile lukarn widzi pani w dachu?

- Sześć.

Chwycił ją za ramię i obrócił.

- A ile teraz pani widzi?

- Pięć - szepnęła Clara.

Wziął ją za rękę i poprowadził do domu. Pobiegli na górę, przeskakując po kilka stopni naraz, a Dorothy, której nie podobał się strój, jaki miała na sobie Clara w obecności Petera, wyszła z kuchni i poczłapała za nimi aż na poddasze.

*

Jonathan naskrobał kartkę, informując Annę, że spędzi dzień w muzeum, a potem zje kolację z kuratorem. Wróci koło dziesiątej wieczorem. Nienawidził informowania jej o swoich planach. Wyrwał kartkę z bloku i przyczepił namagnesowaną biedronką do drzwi lodówki. Potem wyszedł i skręcił w prawo. Wsiadł do samochodu i spokojnie czekał.

Godzinę później Anna wyszła z domu i skierowała się w lewo. Odjechała na północ, przez Harvard Bridge w stronę Cambridge. Jonathan zatrzymał się u wylotu Garden Street i nie tracił jej z oczu, dopóki nie wbiegła po schodach do eleganckiej kamienicy. Kiedy tylko zniknęła w środku, wysiadł z wozu i podszedł do oszklonych drzwi. W holu czerwone światelko przy drzwiach pokazało, że winda zatrzymała się na trzynastym piętrze. Zawrócił. Anna wyszła po trzech godzinach. Kiedy mijał go jej saab, Jonathan położył się na siedzeniu. Gdy Anna przejechała skrzyżowanie, ruszył zdecydowanym krokiem do domu numer 27 przy Garden Street. Zawahał się na moment przed guzikami domofonu, 13A czy 13B? Zdecydował się wcisnąć oba. Mechanizm natychmiast zadziałał.

Drzwi w głębi korytarza były uchylone. Jonathan popchnął je delikatnie i usłyszał głos, który od razu rozpoznał:

- Zapomniałaś czegoś, kochanie?

Zobaczywszy go w wejściu, kobieta o białych włosach niemal podskoczyła, ale natychmiast się opanowała.

- Pani Walton? - zapytał chłodno.

*

Na poddaszu dworu, wyprostowana niczym grenadier, z rękami wspartymi na biodrach, Dorothy stawiała czoło Clarze.

- Dorothy, niech mi pani da słowo honoru, że moja babka nie przebudowała tego poddasza!

Peter rozglądał się uważnie. Podniósł młot, który przyniósł z szopy, i uderzył w

ścianę. Wszystko zadrżało.

- Nie dam słowa! - odpowiedziała z wściekłością Dorothy.

- Dlaczego nigdy mi pani o tym nie powiedziała? - dopytywała się Clara.

Peter znów uderzył młotem i po ścianie pobiegła pierwsza rysa.

- Nigdy nie miałyśmy okazji, żeby o tym rozmawiać.

- Dorothy, proszę panią! Nasz architekt, pan Goesfield, był zdumiony, że gmina odmawia nam pozwolenia na przebudowę poddasza. Był przekonany, i powtarzał to wiele razy, że tam już prowadzono jakieś prace.

Clara podskoczyła, kiedy Peter znowu uderzył w mur.

- Twierdziła pani, że dwór jest taki, jaki był zawsze. - Pamiętam, jakby to było wczoraj! Poza tym zawsze była pani nieprzyjemna dla pana Goesfielda.

Ściany znowu zadrżały, a ze stropu opadła chmura pyłu. Clara popatrzyła w górę i pociągnęła Dorothy do okna.

- Pani babka zmusiła mnie, żebym złożyła obietnicę! To ona wpisała dwór do rejestru zabytków.

- Dlaczego? - zapytał Peter.

Odsunął nogą płaty tynku pokrywające podłogę. Na dużej powierzchni ściany widać było teraz nagie ciemne cegły. Bolały go ramiona. Odetchnął głęboko i znów zaczął kuć.

- Ja nic nie wiem - mruknęła gospodyni. - Pani babcia decydowała o wszystkim, ale to była uczciwa kobieta. Mówiła, że pani będzie wielką przyrodniczką i że to pani tak chce...

- Chciała, żebym była chemikiem! - przerwała jej Clara. - Chciała też, żebym sprzedała dwór. Pamięta pani?

- Tak - westchnęła Dorothy, która była bardzo przywiązana do tego miejsca.

Spojenia zaczęły się rozstępować. Peter rozpychał szczeliny trzonkiem młota. Ściana wygięła się od kolejnego uderzenia.

- Dorothy, dlaczego ona kazała zlikwidować to okno na poddaszu?

Dorothy patrzyła na Clare, zastanawiając się, co odpowiedzieć, ale wobec zdecydowanej postawy panienki, ustąpiła.

- Dlatego że coś złego stało się z jej córką, kiedy chciała przebić ten mur. Proszę, niech panienka powie temu panu, żeby przestał!

- Czy pani wie, co przydarzyło się mojej matce? - spytała rozgorączkowana Clara.

Peterowi udało się wyjąć pierwszą cegłę. Wsunął rękę do otworu i poruszył dłonią. Przestrzeń za ścianą wydawała się rozległa. Podniósł młot i uderzył ze zdwojoną siłą.

- Pani babka najęła mnie we wsi. Właśnie odkupiła dwór. Senne koszmary jej córki

zaczęły się podczas pierwszych wakacji, które spędziły tu razem.

Peter wyciągnął kolejne spojenie. Wyrwa stała się na tyle szeroka, że mógł włożyć w nią głowę. Po drugiej stronie muru panował mrok.

- Jakie koszmary? - spytała Clara.

- Przez sen wykrzykiwała straszne rzeczy.

- Pamięta pani, co mówiła?

- Wolałabym móc zapomnieć! To było niezrozumiałe. Powtarzała bez końca: „On zaraz przyjdzie”. Lekarstwa, które przepisywał lekarz, nie pomagały, a pani rozpaczała, widząc córkę w takim stanie. Całymi dniami czegoś szukała albo siedziała pod topolą. Kiedyś objęłam ją, żeby się uspokoiła, i wtedy zwierzyła mi się, że rozmawia w snach z jakimś mężczyzną, którego zna od zawsze. Nic z tego nie rozumiałam, a ona powiedziała, że on teraz nazywa się Jonas. I że już kiedyś się kochali. Nie będzie czekał, żeby przyjść, bo teraz wie, gdzie ją znaleźć. A potem nadszedł ten straszny tydzień, kiedy rozpacz ją zabrała.

- Rozpacz?

- Przestała go słyszeć. Mówiła, że nie żyje, że go zabito. Nie chciała jeść i szybko straciła siły. Rozsypałyśmy jej prochy pod drzewem. Babcia kazała zbudować ścianę i zlikwidować to okno na poddaszu. Błagam, niech pani powie panu Gwelowi, żeby przestał, póki nie jest za późno.

Peter po raz setny uderzył młotem. Diabelnie bolały go ręce. Wreszcie udało mu się przecisnąć przez otwór i znalazł się po drugiej stronie muru.

- Czy ten Jonas był moim ojcem? - zapytała Clara.

- Och, nie! Niech Bóg broni! Babcia adoptowała panią dużo później.

Clara oparła się o wnękę okna. Prawie bez tchu patrzyła w dół, na dziedziniec. Smutek, który w niej wzbierał, nie pozwolił jej odwrócić się i spojrzeć w oczy Dorothy.

- Pani kłamie! Nie byłam adoptowana! - wykrzyknęła, powstrzymując łkanie.

- Pani babka była dobrą kobietą! Odwiedzała wiele sierocińców w okolicy. Pokochała panią, kiedy tylko panią zobaczyła. Mówiła, że w pani oczach widzi swoją córkę, że ona się w pani odrodziła. Wymyślała takie historie, żeby się pocieszyć. Po śmierci córki już nigdy nie była sobą. Zabraniała panience zbliżać się do dworu. Sama też nigdy tu nie wchodziła. Kiedy przyjeżdżała z Londynu, żeby przywieźć mi pensję i pieniądze na gospodarstwo, musiałam na nią czekać przy bramie. Zawsze wtedy płakałam.

Peter krztusił się od pyłu. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, znieruchomiał.

- Jak miała na imię córka mojej babki?

Oczy Dorothy wypełniły się łzami. Wzięła w ramiona dziewczynę, którą tak kochała, i drżącym głosem szepnęła jej do ucha:

- Tak jak panienka. Nazywała się Clara.
- Chodźcie zobaczyć, co tu znalazłem! - zawołał Peter zza ściany.

*

Jonathan wszedł do salonu.

- Co pana tu sprowadza? - zapytała lodowato pani Walton.
- Jadę z Yale, i to ja chcę dzisiaj zadać pani kilka pytań. Co robiła u pani Anna? Kobieta o białych włosach patrzyła na niego bystro. W jej spojrzeniu wyczuł litość.
- Tyle spraw panu umyka, mój biedny Jonathanie.
- Za kogo pani się uważa?!
- Za pańską teściową! Tak będzie za kilka dni.

Jonathan zmierzył ją długim spojrzeniem, zastanawiając się ile było prawdy w tym, co powiedziała.

- Rodzice Anny nie żyją!
- To była część naszego planu. Miał pan w to uwierzyć.
- Jakiego planu?
- Zbliżenia pana z moją córką. Począwszy od dnia jej pierwszej wystawy, którą z tak wielkim wysiłkiem zorganizowałam, aż do waszego ślubu. Wszystko było przewidziane, także ten, tyleż wzruszający, co nieunikniony związek z Clarą. Tak się znowu nazywa, prawda?

- To pani śledziła nas w Europie?
- Ja czy kilkoro przyjaciół... Wszystko jedno. Liczy się rezultat! Moje kontakty bardzo się panu przydały w Luwrze, prawda?
- Ale o co pani chodzi?!
- Chcę się zemścić. Chcę oddać sprawiedliwość mojej córce! - krzyknęła Alice Walton.

Zapaliła papierosa. Chociaż chciała zachować spokój, jej dłoń ozdobiona brylantem nerwowo szarpała pled okrywający kanapę, na której usiadła.

- Teraz, kiedy gości zostały rzucone i kiedy pański los został przypieczętowany, pozwoli pan, że dokończę smutną historię sir Edwarda Langtona, który był moim mężem.
- Pani mężem? Przecież Langton umarł ponad sto lat temu!

- Przywidzenia nie mogły ujawnić panu wszystkiego - westchnęła Alice. - Sir Edward miał dwie córki. Był to człowiek niezwykle wspaniałomyślny. Nie dość, że poświęcił kupiecki talent marszanda i fortunę temu malarzowi, Radskinowi, to jeszcze oszalał na punkcie starszej córki. Nic, co dla niej, nie było dość piękne. Może pan sobie wyobrazić, jak cierpiała jego młodsza córka, pozbawiona miłości ojca. Ale ludzie kierują się tylko zachciankami, nie patrząc, ile zła mogą wyrządzić. Jak pan mógł nam to zrobić?

- Co wam miałbym zrobić? Nie rozumiem, o czym pani mówi!

- Jego starsza córka, ta ukochana, znikowała na punkcie pewnego młodego, błyskotliwego znawcy sztuki. Zakochani nie rozstawali się nigdy, byli dla siebie wszystkim. Jednak sir Edward źle znosił to, że jego córka mu się wymykała. Był zazdrosny, jak wielu ojców w momencie, gdy ich dzieci chcą rozwinąć skrzydła i wyfrunąć z gniazda. Co do mnie, to tylko o tym marzyłam. Miałam nadzieję, że Edward znów pokocha Annę. Po śmierci Vladimira nie mieliśmy wielkich perspektyw na spłatę naszych zobowiązań. Jedyne sprzedaż jego ostatniego obrazu mogła uratować nas przed bankructwem. Suma, jaką spodziewaliśmy się uzyskać za ten obraz, była poważna, a wszystkie płótna, które mój mąż zgromadził przez lata, nabrałyby wartości. Byłoby to sprawiedliwe, po tym, jak Edward tak długo zapewniał Vladimirowi niezасłużony dostatek. Kosztem naszego majątku!

*

Clara precyzyjnie przeszła przez otwór poszerzony przez Petera. Wszystko zdradzało panujące tu ubóstwo. Umeblowanie pokoiku składało się z pulpitu, prostego krzesła i małego łóżka, które przypominało nosze w przyfrontowym szpitalu. Na jednej z trzech etażerek stał stary fajansowy dzban. W głębi wąski prostopadły promień światła padał na podłogę, tuż koło sztalug. Peter zapuścił się w ciemność. Podniósłszy głowę, zauważył poprzybijane do sufitu deski. Stał na palcach i zaczął je kolejno odrywać. Na sztalugę padła szarawa poświata. Peter wypchnął obluzowany wywietrznik i podciągnął się na rękach.

Jego ubielona pyłem głowa wysunęła się przez otwór w spadzistym dachu. Popatrzył na rozciągający się wkoło park, a kiedy zobaczył wielki konar topoli, ocierający się o rynnę poniżej, uśmiechnął się i zeskoczył na podłogę.

- Claro! Myślę, że właśnie odkryliśmy pokój Vladimira Radskina. To tutaj namalował *Młodą kobietę w czerwonej sukni*.

*

Alice Walton obróciła pierścionek na palcu. Niedopałek wciąż dymił w popielniczce. Rozgniotła go nerwowym ruchem i natychmiast zapaliła następnego papierosa. Płomyk zapalniczki ponuro oświetlił jej twarz, wykrzywioną cierpieniem i gniewem.

- W dniu aukcji pewien mający złe intencje rzeczoznawca przekazał licytatorowi list, w którym twierdził, że obraz jest fałszywy! To, co spowodowało wstrzymanie aukcji i zrujnowało moją rodzinę, nie było niczym innym, jak intrygą uknutą przez starszą córkę, która w ten sposób zemściła się na ojcu za odmowę zgody na jej zamążpójście. Resztę pan zna. Wyjechalśmy do Ameryki. Mój mąż zgasł kilka miesięcy po przyjeździe. Umarł z powodu utraty honoru.

Jonathan wstał i podszedł do oszklonej wnęki. Nic z tego nie mogło być prawdą. Prześladowało go wspomnienie ostatniego przywidzenia, które przeżył z Clarą. Stojąc tyłem do Alice Walton, przecząco kręcił głową.

- Nie rób z siebie niewiniątka, Jonathanie! Ciebie też dopadły senne koszmary. Nigdy wam obojgu nie przebaczyłam. Nienawiść to uczucie, które długo może podtrzymywać żywotną siłę naszych dusz. Nigdy nie przestałam go podsycać po to, żeby się odrodzić. Zawsze wiedziałam, jak was znaleźć i szkodzić waszemu losowi. Jakże się bawiłam, kiedy byłeś moim studentem w Yale. Oboje znaleźliście się tak blisko celu. W tamtym życiu nazwałeś siebie Jonas. Przyjechałeś na studia do Bostonu i chciałeś, żeby twoje imię było bardziej amerykańskie. Ale to nieważne, nie możesz sobie tego wszystkiego przypomnieć. Byłeś bliski odnalezienia Clary, widziałeś w snach, że jest w Londynie, ale zdążyłam was rozdzielić.

- Pani jest obłąkana!

Jonathan zapragnął opuścić ten dom. Czuł, że się dusi. Zawrócił ku drzwiom. Kobieta o białych włosach przytrzymała go za ramię.

- Wszyscy wielcy odkrywcy mają jedną wspólną cechę: żeby coś wymyślić, potrafią odseparować się od świata. Udało mi się doprowadzić do obłędu Coralię O'Malley i prawie to samo stało się z Clarą, kiedy otrułam Jonasa. Powiedziałam panu podczas naszego pierwszego spotkania w Miami, że kochając lub nienawidząc, nie kontemplujemy życia, ale je tworzymy. Uczucie nigdy nie umiera, Jonathanie. Ono was łączyło za każdym razem.

Jonathan zmierzył ją lodowatym spojrzeniem i zrzucił jej rękę ze swojego ramienia.

- Do czego pani zmierza, pani Walton?

- Do tego, żeby pozbawić energii wasze dusze i na zawsze rozdzielić pana z Clarą. Dlatego trzeba było najpierw pozwolić wam się odnaleźć. Jestem blisko celu. Skoro nie możecie wytrwać w tej miłości, to obecne życie będzie ostatnim dla was obojga. Wasze dusze

już prawie nie mają sił. Nie wytrzymają kolejnej rozłąki.

- A więc to tak? Chce się pani zemścić za coś, co miałyby pani przeżyć przed ponad stu laty? Zakładając, że przyjmuję pani tok rozumowania, zapytam, czy poświęci pani jedną ze swoich córek, żeby zaspokoić to pragnienie?

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Kiedy był już na schodach, Alice Walton krzyknęła za nim:

- Clara nie była moją córką! Była nią tylko Anna! I czy pan tego chce, czy nie, ożeni się pan z nią za kilka dni.

*

- Jedno, co można powiedzieć, to to, że Radskin nie zrujnował sir Edwarda rachunkami za swoje wydatki!

Peter zakasłał. Powietrze w pokoju drażniło gardło, było lekko przesiąknięte wonią czosnku.

- On mieszkał w tej norze? - zapytała z przerażeniem Clara.

- Przynajmniej to nie ulega wątpliwości - powiedział Peter, kładąc na podłodze jeszcze jedną cegłę.

Po godzinie poszerzył otwór na tyle, że światło z pozostałej części poddasza przeniknęło do wnętrza pokoiku. Wskazał ręką na to, co ich otaczało.

- Miejsce, w którym przebywał Vladimir, przypomina raczej więzienną celę niż pokój gościnny.

Peter, zaintrygowany, wpatrywał się w podłogę. Kolor desek był inny niż w pozostałych pomieszczeniach poddasza.

- Oczywiście! Ta część podłogi nigdy nie była wymieniana!

- Na pewno! - potwierdziła Clara.

Peter nadal oglądał pokój. Schylił się, żeby zajrzeć pod łóżko.

- Czego pan szuka?

- Jego palety, jego pędzli, fiolek z pigmentami. Jakiejś wskazówki.

Wszedł na łóżko i przesunął ręką po półkach.

- Coś znalazłem!

Zeskoczył na ziemię i podał Clarze mały czarny kajet.

Dmuchnęła na okładkę, z której uniósł się pył. Peter niecierpliwie wyrwał go z jej rąk.

- Ja otworzę!

- Spokojnie! - Clara go powstrzymała.

- Jestem aukcjonerem, a także, co może wydać się pani dziwne, mam pewną wprawę w postępowaniu ze starymi przedmiotami.

Clara wyjęła mu kajet z ręki i delikatnie otworzyła.

- Co tam jest? - błagalnie dopytywał się Peter.

- Nie wiem. Wygląda na jakiś dziennik, ale jest pisane cyrylicą.

- Po rosyjsku?

- Na jedno wychodzi.

- Wiem, wiem, że to to samo - mruknął z urazą.

- Niech pan zaczeka! Tu są jakieś wzory chemiczne.

- Jest pani pewna? - zapytał, wyraźnie podekscytowany.

- Tak! - zawołała równie podniecona.

*

Siedząc za biurkiem, François Hébrard kończył dzień pracy lekturą sprawozdania, które przyniosła mu Sylvie Leroy. Od czasu wizyty Jonathana eksperci z Luwru kontynuowali prace nad odkryciem tajemnicy czerwonego pigmentu.

- Udało się pani połączyć z panem Gardnerem? - zapytał Sylvie.

- Nie. Poczta głosowa jego komórki jest zapchana, nie można też wysłać SMS-a, a na e-maile nie odpowiada.

- Kiedy ma się odbyć ta aukcja?

- Dwudziestego pierwszego, za cztery dni.

- Ze względu na trud, który sobie zadaliśmy, trzeba go bezwzględnie o tym poinformować. Niech pani zrobi, co uważa za stosowne i go odszuka!

Sylvie wyszła z gabinetu dyrektora i udała się do swojej pracowni. Znała kogoś, kto mógł jej powiedzieć, jak znaleźć Jonathana Gardnera, jednak wcale nie miała ochoty do niego dzwonić. Wzięła torebkę i zgasła lampę nad stołem. Na korytarzu spotkała kilku kolegów, ale była tak zaaferowana, że nie zauważyła, jak ją pozdrawiali. Podeszła do bramki i wsunęła kartę do czytnika. Wielkie drzwi natychmiast się rozsunęły. Weszła na schody prowadzące na zewnątrz. Niebo było rozpromienione, a powietrze pachniało latem. Przemierzyła dziedziniec Luwru, usiadła na ławce i patrzyła na piękny widok, który się przed nią roztaczał. Piramida Pei odbijała czerwony blask zachodzącego słońca aż pod arkady Galerii Richelieu. Sylvie spojrzała na długą kolejkę zwiedzających, ciągnącą się przez esplanadę. Praca w tak

cudownym miejscu była jak sen, z którego nigdy nie chciałaby się obudzić. Z westchnieniem wzruszyła ramionami, wyjęła komórkę i wybrała numer.

*

Dorothy podała kolację na małym stoliku na tarasie. Jedli wcześnie, bo o świcie wracali do Londynu. Ekipa Delahaye Moving powinna stawić się rano w galerii, żeby przygotować do podróży *Młodą Kobietę w czerwonej sukni*. Clara i Jonathan mieli pojechać opancerzoną furgonetką, pod eskortą, na Heathrow. Pięć obrazów Vladimira Radskina znalazłoby się w ładowni boeinga 747 British Airways, lecącego do Bostonu. Na lotnisku Logan ma czekać na nie podobna furgonetka. Jutro, w Londynie, Peter zeskanuje zapisane strony dziennika Vladimira i wyśle e-mailem koledze, Rosjaninowi, który natychmiast je przetłumaczy. Dolał kawy do filiżanki Clary. Oboje błądzili myślami daleko i przy kolacji zamienili niewiele słów.

- Rozmawiał pan z nim dzisiaj? - zapytała Clara, przerywając milczenie.

- W Bostonie jest siódma rano. Jonathan dopiero wstał. Niedługo do niego zadzwonię. Przyrzekam.

Komórka Petera zawibrowała na stole.

- Czy pani wierzy w telepatię? - zawołał radośnie Peter. - Jestem pewien, że to on!

- Peter? Tu Sylvie Leroy. Czy mogę z tobą mówić?

Peter przeprosił Clary i odszedł na bok.

Kierowniczka zespołu z laboratorium Luwru od razu przystąpiła do szczegółowego sprawozdania.

- Udało nam się rozłożyć pigment na cząsteczki. Jest oparty na barwniku otrzymywanym z koszenili gruszkowej. Nie spodziewaliśmy się tego, bo to barwnik o tyle piękny, co nietrwały, i wciąż nie możemy zrozumieć, jak wasz malarz osiągnął to, że kolor nie blednie z upływem czasu. Niemniej wyniki badań są oczywiste. Sądzymy, że tajemnica tego obrazu polega na werniksie jakiego nie znamy, a jego właściwości wydają się niezwykle znaczące. Jeśli chcesz poznać moją opinię, to pełni on rolę filtra, podobnie jak taśma filmu, która w jednych miejscach jest przejrzysta, a w innych nie. Znaleźliśmy też bardzo lekkie cienie na zdjęciach rentgenowskich, ale są zbyt delikatne, żeby mogły oznaczać przemalowania, nawet gdyby nie wszyscy w laboratorium co do tego się zgadzali. Ale teraz trzymaj się mocno, bo odkryliśmy coś ważnego. Radskin używał też czerwieni z Adrianopola. Wyślę ci jej dokładną formułę, pochodzącą ze średniowiecza. Dla osiągnięcia żywego i

trwałego koloru do pigmentu dodawano tłuszcz, urynę i krew zwierzęcą.

- Myślisz, że zarznął jakiegoś psa? - przerwał jej Peter. - Pozwolę sobie pominąć ten szczegół podczas aukcji, jeśli ci to nie przeszkadza!

- Nie miałbyś racji. Vladimir nie skrzywdził nawet muchy. Sądzę, że wytwarzał swoją czerwień z tego, czym dysponował, a wyniki analizy DNA są niepodważalne. W jego pigmentcie znaleźliśmy ludzką krew.

Mimo szoku Peter natychmiast zrozumiał, że ma wreszcie sposób na to, by potwierdzić autentyczność obrazu. Jeżeli malarz użył swojej własnej krwi, wystarczy zestawić analizy DNA. Jednak jego podniecenie natychmiast się ulotniło. Przecież ciało Vladimira zmieniło się w proch i nie istnieje żaden materiał, który pozwoliłby dokonać porównania.

- Odkryliście coś jeszcze? - zapytał zmartwiony.

- Tak. Coś dziwnego. Chodzi o obecność realgaru, zbędnego koloryzatora, którego Vladimir na pewno nigdy nie chciałby używać.

- Dlaczego? - zapytał zdezorientowany Peter.

- Dlatego że jego czerwień jest gorsza niż inne, a poza tym zawiera krańcowo niebezpieczną dawkę arszeniku.

Peter przypomniał sobie zapach przypominający czosnek, który poczuł, kiedy wsunął głowę do otworu w murze. Była to woń charakterystyczna dla tej trucizny.

- Realgar, jeżeli się go wdycha, ma takie samo działanie, jak trutka na szczury. Inaczej mówiąc, jeżeli za jego pomocą popełnia się samobójstwo.

- Możesz wysłać mi kopię tego sprawozdania do mojego biura w Bostonie?

- Zrobię to, jak tylko wrócę do laboratorium. Ale pod jednym warunkiem.

- Co tylko chcesz!

- Więcej do mnie nie dzwoń!

Wyłączyła się, nim zdążył otworzyć usta.

Księżyc wzeszedł ponad linią wzgórz.

- Tej nocy będzie pełnia - powiedział Peter, spoglądając na niebo.

Clara wyglądała tak smutno, że położył rękę na jej ramieniu.

- Claro, znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Uważam, że powinniśmy wszystko wstrzymać - odpowiedziała zamyślona. - Pójdę pewnie do więzienia na tyle, na ile mnie skazą, a potem znowu go odnajdę.

- Aż tak go kochasz?

- Jeszcze bardziej. Tak, że się tego boję - dodała, wstając.

Przeprosiła go. Było jej zbyt ciężko na sercu. Odprowadził ją do drzwi kuchni i wrócił do stolika, korzystając z pięknego wieczoru.

Było już dobrze po północy, księżyc oświetlił okno Clary, a Peter poszedł do swojego pokoju, żeby uporządkować rzeczy. W połowie drogi skręcił i wszedł do małego gabinetu. Po kilku chwilach wdrapał się na poddasze, usiadł na starym krzeselku i umieścił *Młodą kobietę w czerwonej sukni* na sztaludze Vladimira Radskina.

- Jesteś na swoim miejscu - mruknął, osamotniony wśród nocy.

- To piękny prezent dla Vladimira. Dziś jest rocznica jego śmierci - dodała Clara zza pleców Petera.

- Nie słyszałem, jak pani weszła - powiedział, nie odwracając się.

- Wiedziałam, że pan tu będzie.

Księżyc był coraz wyżej i jego blask przenikał przez okienko w dachu. Nagle wszystkie promienie połączyły się w błękitno-srebrny welon. Światło dotarło do obrazu i werniks na płótnie je wchłonął. Z wolna, na oczach osłupiałego Petera i Clary, spod długich włosów kobiety w czerwonej sukni zaczęła wyłaniać się twarz. Księżyc wznosił się, a im był wyżej, tym mocniej jego promienie oświetlały płótno. O północy, kiedy znalazł się w zenicie, w kącie obrazu ukazał się podpis Radskina. Peter zerwał się z krzesła i wziął Clarę w ramiona.

- Niech pan spojrzy! - zawołała, wskazując obraz.

Twarz była coraz lepiej widoczna. Najpierw oczy, potem nos, policzki i wreszcie delikatnie zarysowane usta. Peter wstrzymał oddech. Spoglądał to na *Kobietę w czerwonej sukni*, to na Clarę: ich rysy były identyczne. Sto pięćdziesiąt lat temu Vladimir ukończył największe dzieło swojego życia. Siedząc tutaj, przed świtem. Księżyc się obniżył i kiedy jego światło opuściło płótno, twarz i podpis znikły. Clara i Peter spędzili większą część nocy w pokoju malarza, patrząc na obraz. Spotkali się znowu o brzasku. Po spakowaniu rzeczy i umieszczeniu obrazu w bagażniku samochodu Peter desperacko próbował dodzwonić się do Jonathana.

- Nic nie poradzę. Śpi!

- Spróbujemy w Londynie, a potem na lotnisku.

- Jak będzie trzeba, zadzwonię z kabiny pilotów - dodał Peter.

Do galerii przyjechali o dziewiątej. Clara, zanim podniosła metalową żaluzję, popatrzyła na błyszczącą w słońcu witrynę kawiarenki. Niedługo potem przewoźnicy zamknęli skrzynię, w której znalazła się *Młoda kobieta w czerwonej sukni*.

O dwunastej furgonetka Delahye odjechała z Albermarle Street eskortowana przez

nieoznakowany samochód policyjny. Clara siedziała w kabinie kierowcy, Peter z tyłu, przy obrazie.

- Tutaj nie ma zasięgu - powiedział konwojent Peterowi, który walczył z komórką. - Ściany są ognioodporne i opancerzone.

- Może na najbliższych czerwonych światłach mógłbym wyskoczyć na dwie minuty? Naprawdę muszę kogoś złapać.

- Nie sądzę, proszę pana - odpowiedział z uśmiechem kierownik ekipy.

Konwój zatrzymał się na pasie koło boeinga 747. Peter podpisał pięć oświadczeń o odpowiedzialności za przesyłkę. Na podstawie tych dokumentów stał się, aż do czasu sprzedaży, prawnym opiekunem ostatnich dzieł Vladimira. Od tej chwili odpowiadał za obrazy. Oboje z Clarą podeszli do schodków ewakuacyjnych przy rampie załadunkowej samolotu. Peter podniósł głowę i popatrzył na salę odlotów, w której czekali pasażerowie.

- To jednak lepsze niż podróżowanie z małymi dziećmi! - zauważył.

- Zadzwonimy do Jonathana po przylocie do Bostonu - powiedziała Clara.

- Zadzwonimy do niego stamtąd - odpowiedział Peter, pokazując na niebo, i wszedł na schodki.

*

Jonathan spał krótko. Kiedy wyszedł spod prysznic, usłyszał kroki Anny idącej do pracowni. Narzucił szlafrok i zszedł do kuchni. Rozległ się dzwonek telefonu wiszącego na ścianie. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Petera.

- Gdzie ty jesteś? Szukam ciebie od dwóch dni! - wykrzyknął Jonathan.

- Ten świat rzeczywiście stoi na głowie! Jestem dziesięć tysięcy metrów nad Atlantykiem.

- Lecisz na twoją bezludną wyspę?

- Jeszcze nie, staruszkule, wszystko ci wyjaśnię. Mam jedną, bardzo dobrą wiadomość, ale najpierw oddam słuchawkę komu innemu.

Peter podał telefon Clarze. Kiedy Jonathan usłyszał jej głos, mocno przycisnął słuchawkę do ucha.

- Jonathanie! Mamy dowód! Opowiem o wszystkich szczegółach, jak tylko przylecimy. To nie do wiary! Będziemy na Logan o siedemnastej.

- Czekam na was na lotnisku! - zawołał Jonathan, którego nagle opuściło całe zmęczenie.

- Bardzo bym chciała od razu cię zobaczyć, ale odpowiadamy za bezpieczeństwo obrazów. Musimy jechać z nimi aż do skarbcza Christie's. Zamówiłam pokój w Four Seasons. Przyjdź do hotelu. Będę czekała w holu o dwudziestej.

- A ja obiecuję, że zabiorę cię na spacer po nabrzeżach w starym porcie. Wieczorem jest tam przepiękny widok. Obiecuję!

Clara odwróciła głowę do okienka.

- Jonathanie, bardzo mi ciebie brakowało.

Oddała aparat Peterowi, który pożegnał się z przyjacielem i umieścił telefon przy podłokietniku swojego fotela.

Jonathan odwiesił słuchawkę na aparacie w kuchni, a Anna odłożyła ją w swojej pracowni. Wzięła komórkę i wybrała numer w Cambridge. Kwadrans później wyszła z domu.

*

Stewardesa rozdawała formularze imigracyjne.

- Nie chciała pani, żeby Jonathan pojechał z nami furgonetką?

- Byłam gotowa czekać dziesięć lat, zdobędę się więc na to, żeby jeszcze poczekać. Wpadnę do hotelu. Widzi pan, jaką mam głowę?

*

Dzięki policyjnej eskorcie w zaledwie dwadzieścia minut dotarli do miasta. Kiedy tylko ostatni obraz został zamknięty w skarbcu, Clara złapała taksówkę i pojechała do hotelu. Peter wsiadł do innej, żeby wziąć ze sobą walizkę, a potem odebrać swojego jaguara. Jenkins, na jego polecenie, wysłał kierowcę z domowego parkingu, który zostawił mu wóz na lotnisku.

Po drodze Peter zadzwonił do kolegi, który tłumaczył dziennik Vladimira. Tamten spędził nad tekstem cały dzień i całą noc. Wysłał mu pocztą elektroniczną pierwszą przełożoną część. Jeśli chodzi o resztę, to składa się z samych wzorów chemicznych i trzeba by poszukać innego tłumacza. Peter serdecznie mu podziękował. Taksówka podjechała pod apartamentowiec. Przebiegł przez hol, nie zwracając uwagi na spojrzenie portiera, i przytupywał niecierpliwie w windzie. Kiedy tylko znalazł się w mieszkaniu, włączył komputer i wydrukował tłumaczenie.

Dziesięć minut potem zszedł na dół. Zdążył tylko wziąć prysznic i zmienić koszulę. Jenkins oczekiwał go na podjeździe. Otworzył swój wspaniały parasol i osłonił Petera przed siąpiącym deszczykiem.

- Wezwałem pański samochód - oświadczył, wskazując zachmurzone niebo.
- Paskudna pogoda - stwierdził Peter.
- W wyjeździe z parkingu zaświeciły wielkie, okrągłe reflektory jaguara XK 140 coupé. Peter, idąc do wozu, nagle zawrócił i objął Jenkinsa.

- Jenkins, czy jest pan żonaty?

- Nie, proszę pana. Jestem kawalerem. Niestety!

Po drodze Peter zadzwonił do Jonathana i zawołał, zbliżając usta do mikrofonu przy osłonie przeciwsłonecznej:

- Dobrze wiem, że tam jesteś! Wciąż nie wiesz, jak to twoje miganie się mnie wkurza. Cokolwiek robisz, zostało ci dziesięć minut. Jadę!

*

Jaguar zatrzymał się przy krawężniku. Jonathan wskoczył do środka i Peter od razu ruszył.

- Chcę żebyś mi wszystko opowiedział - zażądał Jonathan.

Peter opisał dokładnie swoje niezwykle odkrycie z ubiegłej nocy. Vladimir położył werniks, dzięki któremu jedynie światło o specyficznym widmie, padające prostopadle na obraz, może wydobyć właściwy efekt. Dokładne odtworzenie warunków, w jakich powstało takie zjawisko, jest sprawą bardzo złożoną, ale za pomocą komputera da się to osiągnąć.

- Jej twarz naprawdę przypominała Clare? - zapytał Jonathan.

- Wierz mi! Tu chodzi o coś więcej niż o zwykłe podobieństwo!

Jonathan zaniepokoił się, czy na pewno i on będzie mógł zobaczyć na obrazie to, co przyjaciel ujrzał zeszłej nocy. Peter go pocieszył, zapewniając, że chemicy rozszyfrują formuły Vladimira, i nawet jeżeli upłynie sporo czasu, to pewnego dnia obraz odzyska pierwotny stan.

- Myślisz, że on właśnie tego chciał? Radskin musiał mieć powód, żeby ukryć swój podpis.

- Miał bardzo ważny powód. Trzymaj, to jest przekład jego dziennika. Coś, co naprawdę cię zaciekawi.

Peter wziął papiery z tylnego siedzenia i podał przyjacielowi. Tłumacz dołączył do tekstu przekładu kserokopie kartek z oryginału dziennika. Jonathan przesunął palcami po rękopisie Vladimira, a potem zaczął czytać tłumaczenie.

Claro,

nasze życie od chwili śmierci Twojej matki z pewnością nie było łatwe. Pamiętam ucieczkę, podczas której oboje przemierzaliśmy równiny Rosji. Niosłem Cię na plecach. Wystarczało, że czułem Twoje rączki na moich włosach, żebym nigdy się nie poddał. Myślałem, że się uratujemy, kiedy wywiozę Cię do Anglii. Lecz w Londynie czekała na nas bieda. Gdy rysowałem przechodniów na ulicy, zostawiałem Cię na całe dni u opiekunek. W zamian za to zabierały wszystko, co z rzadka, sprzedawszy nieliczne szkice, udawało mi się zarobić. Naprawdę myślałem, że sir Edward będzie naszym zbawcą. Może kiedyś wybaczysz mi naiwność, z powodu której od naszych pierwszych dni tutaj zostaliśmy rozdzieleni? Wybierając Cię na swoją córkę, zarazem zyskał i zdradził moje zaufanie. Miałś zaledwie trzy lata, gdy mi Cię wyrwał. Noszę w sobie zapach tego ostatniego dziecięcego pocałunku, który tak dawno temu złożyłaś na moim czole. Dopadła mnie choroba i Langton skorzystał z mojej słabości, żeby przewieźć mnie do klatki, z której do Ciebie piszę. Mija już sześć lat, odkąd nie wychodzę z mojej celi. Nawet po to, by wziąć Cię w ramiona, zobaczyć, jak światło odbija się w Twoich oczach. A masz oczy Twojej matki.

W zamian za obrazy, które maluję, Langton zajmuje się Tobą, karmi i uczy. Często odwiedza mnie stangret i opowiada o Tobie.

Czasami śmiejemy się, gdy mówi mi o Twoich postępach, i że jesteś zdolniejsza od córki Langtona. Kiedy bawisz się na podwórzu, pomaga mi wspiąć się do okienka na poddaszu. Słyszę Twój głos, i mniejsza o to, że bolą mnie kości, bo mogę zobaczyć, jak urosłaś. Cień starego człowieka, który dostrzegasz pod dachem i którego czasem się boisz, to cień Twojego prawdziwego ojca. Kiedy stangret odchodzi, widzę, jak się garbi. Zapewne ciąży mu wstyd spowodowany tym, że milczy. Stracił całą odwagę w chwili, gdy padł jego koń. Namalowałem mu portret, ale Langton go zabrał.

Claro, nie mam już sił. Niedawno stangret powiedział mi coś, co mnie zdziwiło. Hazard wpędził Langtona w wielkie tarapaty finansowe, a żona zwróciła jego uwagę na to, że kiedy umrę, moje obrazy staną się więcej warte, i to uratuje ich od ruiny. Od kilku dni strasznie cierpię. Obawiam się, że on nie oparł się namowie do złego uczynku. Moja córeczko, gdyby Ciebie nie było, gdyby Twój śmiech, tam na dole, nie sprawiał, że przeżywam najpiękniejsze chwile w życiu,

oświadczam, że przyjąłbym śmierć jak wyzwolenie. Nie mogę jednak odejść w spokoju ducha, bez świadomości, że pozostawię Ci wyjątkowy podarunek.

Oto mój ostatni obraz. Moje arcydzieło, bo go dla Ciebie, moje dziecko, maluję. Masz dopiero dziewięć lat, ale już jesteś podobna do matki. Żeby Langton nie mógł zabrać Ci tego obrazu, zasłoniłem Twoją twarz i ukryłem mój podpis pod warstwą werniksu, którego skład znam tylko ja.

Widzisz, lata młodości w Sankt Petersburgu, kiedy tak się nudziłem na wykładach w Instytucie Chemii, nie okazały się bezowocne. Stangret przysiągł, że w dniu, gdy ukończysz szesnaście lat, odda Ci ten kajet. Zaprowadzi Cię do moich rosyjskich przyjaciół, a oni go przetłumaczą. Wystarczy, żebyś posłużyła się wzorem chemicznym podanym na dalszych stronach, a usuniesz werniks, którym pokryłem płótno. Odkrywając malowidło i ujawniając dziennik, będziesz mogła udowodnić, że obraz należy do Ciebie. To jedyny spadek po mnie, córeczko, ale to dar od ojca, który tak bliski i tak daleki zarazem, nigdy nie przestał Cię kochać. Mówi się, że prawdziwa miłość nigdy nie umiera. Ja będę Cię kochał długo po mojej śmierci.

Chciałbym wiedzieć, jak dorastasz, jak stajesz się kobietą. Ale skoro mam prawo mieć tylko nadzieję, to moim najgorętszym pragnieniem jest, żeby życie pozwoliło Ci spełnić wszystkie Twoje marzenia. Osiągnij to Claro, nigdy nie bój się kochać. Ja kocham Cię tak, jak kochałem Twoją matkę i będę ją kochał do ostatniego tchnienia.

Ten obraz jest Twój. Twój, moja Claro, moja córko.

Vladimir Radskin, 18 czerwca 1867

Jonathan poskładał kartki. Nie mógł wymówić ani słowa.

*

Clara wyszła z kąpieli i owinęła się ręcznikiem. Skrzywiła się, obejrzawszy siebie w lustrze nad umywalką. Na łóżku stała otwarta walizka, a jej rzeczy były rozrzucone po całym pokoju. Wszystko, co przypominało sukienkę, kołysało się na wieszakach przyczepionych do abażuru stojącej lampy, wisiało na gaśnicy i na każdym uchwycie szafy. Pozostałe części garderoby leżały zwinięte w kłęb koło okna i pod nóżkami wielkiego fotela. Największe szanse miały dzinsy, bowiem męska koszula, którą właśnie przymierzyła, dobrze układała się

na biodrach.

Zostawiwszy ten bałagan, wyszła z pokoju i zamknęła drzwi, a na klamce powiesiła plakietkę z napisem: „Proszę nie przeszkadzać”. Winda otworzyła się w holu. Clara spojrzała na zegarek. Za dziesięć ósma. Czekaając na Jonathana, poczuła ochotę, żeby czegoś się napić. Kieliszek wina dobrze jej zrobi. Poszła do baru i usadowiła się na stołku.

*

Stary jaguar dojeżdżał do centrum miasta. Kiedy znaleźli się pod Four Seasons, Jonathan zwrócił się do Petera:

- Czy ona to czytała?
- Nie, jeszcze nie. Tłumaczenie przyszło do mnie, zanim zacząłem cię szukać.
- Peter, chcę cię o coś poprosić.
- Wiem. Musimy wycofać obraz z aukcji.

Jonathan położył z wdzięcznością rękę na ramieniu przyjaciela. Kiedy wysiadł z auta, Peter zawołał:

- Ale chyba przyjedziesz poszukać mnie na bezludnej wyspie?

Jonathan pomachał mu ręką.

Jonathan z bijącym sercem wszedł do holu Four Seasons. Szukając Clary, podszedł do recepcji. Recepcjonistka zadzwoniła do pokoju, ale nikt nie odpowiadał. Przy wejściu do baru zebrała się grupa ludzi. Jonathan pomyślał, że pokazują transmisję z meczu baseballowego i nie wszyscy zmieścili się w środku. Nagle usłyszał syrenę karetki. Zaczął torować sobie drogę przez tłum. Clara leżała koło kontuaru, a barman wachlował ją ręcznikiem.

- Nie wiem, co jej się stało! - powtarzał przerażony.

Clara wypła kieliszek wina i kilka minut potem upadła. Jonathan ukląkł i wziął ją za rękę. Jej długie włosy były rozrzucone wokół poblądłej twarzy. Oczy miała zamknięte, z ust sączyła się krew. Wino z rozbitego kieliszka zmieszało się z krwią, tworząc na marmurowej posadzce karminowy strumyk.

Do holu wbiegli sanitariusze z noszami. Kobieta o białych włosach, która wyszła zza kolumny, grzecznie ustąpiła im z drogi.

Jonathan wsiadł do karetki. Błyski sygnału odbijały się w wystawach na wąskiej ulicy. Kierowca obiecywał, że za dziesięć minut będą w szpitalu. Clara wciąż nie odzyskiwała przytomności.

- Ciśnienie spada - stwierdził jeden z sanitariuszy.

Jonathan pochylił się nad nią.

- Nie rób mi tego - szeptął, obejmując ją.

Lekarz odsunął go, żeby zrobić jej zastrzyk. Lek przeniknął do żył i popłynął do serca. Wskaźnik ciśnieniomierza podniósł się o kilka kresek. Zadowolony lekarz położył uspokajającym gestem rękę na ramieniu Jonathana. Nie wiedział jednak, że wpuszczony do krwiobiegu płyn, rozprowadził tysiące obcych cząsteczek, atakujących natychmiast komórki organizmu. Jonathan gładził twarz Clary. Kiedy dotknął palcem jej ust, wydało mu się, że się uśmiechnęła. Kiedy tylko karetka zatrzymała się przed wejściem, sanitariusze położyli Clare na noszach. Zaczął się szalony bieg przez korytarze. Przesuwające się pod sufitem jarzeniówki oślepiały Jonathana. Trzymał rękę Clary aż do drzwi izby przyjęć. Peter, do

którego potem zatelefonował, natychmiast przyjechał i usiadł na ławce w korytarzu, po którym Jonathan chodził tam i z powrotem.

- Nie denerwuj się tak - powiedział Peter. - To pewnie nic groźnego. Zmęczenie podróżą, przeżycia ostatnich dni, to, że cię odzyskała. Żebyś ją widział po przylocie. Gdybym jej nie złapał, sama otworzyłaby drzwi, choć samolot jeszcze się nie zatrzymał! O proszę, jednak się uśmiechnąłeś! Zobaczysz, jeszcze będziesz się śmiał. Musisz mnie częściej widywać. Tylko ja umiem cię rozruszać. Kiedy pogranicznik zapytał, na jak długo przyjechała, myślałem, że wyrwie mu paszport z ręki.

Jednak Jonathan, który wciąż przemierzał korytarz, w przesadnej wymowności swojego przyjaciela dostrzegł niepokój. Dwie godziny później przyszedł do nich lekarz.

Profesor Alfred Moore, którego wezwał Peter, nie potrafił powiedzieć, co stało się Clarze. Wyniki badań przeczyły wszelkiej logice. Organizm Clary zaczął nagle wytwarzać ogromne ilości przeciwciał, które zaatakowały czerwone krwinki i płytki krwi, niszcząc je błyskawicznie. Przy tym tempie ścianki jej naczyń krwionośnych szybko popękają.

- Ile czasu zostało, żeby ją uratować? - zapytał Jonathan.

Moore nie był nastawiony optymistycznie. Doszło już do kilku podskórnych krwotoków, organy wewnętrzne również zaczęły krwawić. Najpóźniej jutro żyły i tętnice zaczną się rozpadać.

- Na pewno nie ma ratunku? Zawsze jakiś jest! Na Boga, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! Medycyna nie jest już bezsilna! - wykrzykiwał Peter.

Moore popatrzył na niego smutno.

- Gdybyśmy spotkali się tu za dwieście, trzysta lat, miałby pan rację. Żeby uratować tę młodą kobietę, musielibyśmy znać przyczynę jej choroby. Jedyne, co mogę teraz robić, to stosować płukanie z koagulantów i starać się opóźnić zapaść, ale to nie potrwa dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Moore pożegnał ich z powagą i odszedł. Jonathan dogonił go na korytarzu. Spytał, czy nie ma najmniejszej wątpliwości, co do tego, że Clara została otruta.

- Podejrzewa pan kogoś? - zapytał ostrożnie lekarz.

- Niech pan odpowie na moje pytanie - nalegał Jonathan.

- Poszukiwanie toksyn nic nie dało. Mogę je zintensyfikować, jeżeli ma pan dobre podstawy, żebym uwierzył w to przypuszczenie.

Profesor Moore miał wątpliwości. Wyjaśnił Jonathanowi, że gdyby w grę wchodziła trucizna, to przekształciłaby białe ciała Clary w taki sposób, że zawierałyby one, oprócz płytek i czerwonych komórek jej krwi, także i ciała obce. Ale w tym wypadku zaatakowane

zostały naturalne siły obronne organizmu i uruchamiają proces autodestrukcji.

- Ale czy jest technicznie możliwe? - dopytywał się Jonathan.

- Powiedzmy, że takie otrucie nie jest całkiem nieprawdopodobne. Jednak mielibyśmy wówczas do czynienia ze specjalnie sporządzoną trucizną. Żeby wyprodukować coś takiego, trzeba by dysponować dokładną analizą krwi potencjalnej ofiary.

- A czy nie można oczyścić lub wymienić jej krwi? - spytał błagalnie Jonathan.

- Musielibyśmy dysponować bardzo dużą ilością...

Jonathan natychmiast mu przerwał i zaproponował swoją krew. Dodał, że ma grupę A Rh plus.

- Ona ma inną grupę i Rh minus. Gdyby jedno z was oddało swoją krew drugiemu, to by je natychmiast zabiło.

Moore dodał, że bardzo mu współczuje, ale to, o co prosi, jest nie do zrealizowania. Obiecał, że skontaktuje się z laboratorium serologicznym i rozszerzy poszukiwania ewentualnej trucizny.

- Nie będę przed panem ukrywał, że nasza jedyna nadzieja w tym, iż na niektóre trucizny można znaleźć antidotum.

Jednym słowem, doktor przygotowywał go na najgorsze i czas nie pracował na ich korzyść. Jonathan podziękował mu i pobiegł do Petera. Poprosił, żeby o nic go nie pytał i żeby został przy Clarze. Wróci za kilka godzin. Gdyby jej stan się pogorszył, niech Peter dzwoni na komórkę.

Pognał przez most i przejechał na czerwonym wszystkie skrzyżowania na Camden Avenue. Zostawił samochód przy krawężniku i pobiegł pod numer 27. Z domu wychodził właśnie mężczyzna z psem. Jonathan skorzystał z tego, wślizgnął się do holu i dopadł do windy. Zastukał do drzwi w głębi korytarza. Kiedy Alice mu otworzyła, złapał ją za gardło i wepchnął do salonu. Kobieta potknęła się o stolik, pociągając go za sobą. Próbowała się uwolnić, lecz Jonathan ścisnął jej gardło oburącz. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, a oczy zaszyły jej czerwoną mgłą. Czując, że traci przytomność, resztką sił wykrztusiła, że ma odtrutkę. Ucisk zelżał. Zaczerpnęła powietrza.

- Gdzie?! - wrzasnął Jonathan, przyciskając ją do ziemi.

- Nie boję się śmierci. Naprawdę. Dobrze pan wie dlaczego. Jeżeli chce pan uratować Clarę, musi pan zmienić swoje postępowanie.

Jonathan wyczytał z jej spojrzenia, że nie kłamie. Puścił ją.

- Oczekiwałam pana, ale nie tak prędko - powiedziała, wstając.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Bo jestem uparta - odpowiedziała, rozcierając łokcie. - Clara musi zapłacić za to, co zrobiła.

- Pani kłamała. Clara nie była starszą córką Langtona.

- Tak. I to w moich oczach czyni ją jeszcze bardziej winną. Po śmierci jej ojca, mój mąż oficjalnie ją adoptował. Kochał jak własne dziecko, był jej dobroczyńcą. Kradnąc ten obraz, zdradziła go.

- Langton zamordował jej ojca! - krzyknął Jonathan.

- Nie, to nie on - powiedziała, a w jej głosie brzmiała satysfakcja. - Mój mąż był tylko marnym, tonącym w długach hazardzistą, trzeba było kogoś, kto uleczyłby jego słabości i uratował nas przed bankructwem. Inicjatywa należała do mnie. On nigdy jej nie miał.

- Ale Clara to wiedziała. Odnalazła dziennik Vladimira. Nie zdradziła Langtona. Nawet się nie zemściła. Zadowolona się wypełnieniem ostatniej woli ojca. Powstrzymaliśmy was od sprzedaży obrazu, który mu ukradliście.

- Taka będzie pańska wersja wydarzeń, ale czekając na jej ogłoszenie, to ja będę trzymała antidotum.

Wyjęła z kieszeni zakietu mały flakonik z bursztynową cieczą. Powiedziała Jonathanowi, że lekarze nie będą mogli znaleźć najmniejszego śladu trucizny, którą podała Clarze, ani przed, ani po jej śmierci. Nie ma innego sposobu, żeby ją uratować, jak tylko postępując dokładnie według instrukcji. Jutro, na ślubie córki, zbierze się cała bostońska śmietanka. Ona z pewnością nie zniosłaby afrontu, jakim byłoby odwołanie zaślubin. Oboje z Clarą już pozbawili honoru jej męża, i teraz to samo nie może spotkać jej córki. W południe Jonathan poślubi Annę. Po ceremonii sama odwiedzi Clarę i poda jej antidotum.

- Dlaczego miałbym pani wierzyć?

- Bo czas, jaki pozostał, nie daje panu innego wyboru! A teraz proszę wyjść. Zobaczymy się jutro w kościele.

*

Szpitalny pokój skąpany był w białawym świetle. Peter siedział na krześle przy łóżku Clary. Weszła pielęgniarka, żeby pobrać jej krew. Odłączyła perfuzję i do wenflonu tkwiącego w żyłę na ręce Clary przystawiała kolejno sześć fiolek, do których sphywała krew. Napełniały się, jedna po drugiej, coraz rzadszym i coraz mniej czerwonym płynem. Gdy były pełne, korkowała je i energicznie nimi potrząsała, a potem wstawiała do specjalnego pojemnika. Po napełnieniu wszystkich fiolek podłączyła płukanie, ściągnęła rękawiczki i

poszła wyrzucić je do kosza. Kiedy była odwrócona plecami, Peter wziął jedną z próbek i schował do kieszeni.

*

Drzwi z hukiem zamknęły się za Jonathanem. Anna wyszła ze schowka, w którym się ukrywała. Usiadła w fotelu i uważnie patrzyła na matkę.

- Po co to wszystko? On się natychmiast rozwiedzie.

- Moja biedna córeczko. Jeszcze tyle cię muszę nauczyć! Jutro on ciebie poślubi, a przed Bogiem nie można się rozwieść. Wyrazi swoją wolę w momencie, gdy Clara będzie umierała, i złamie przysięgę, która ich łączy. Tym razem zostaną rozdzieleni na zawsze.

Odkręciła korek buteleczki z antidotum, wlała jego zawartość w zagłębienie dłoni i potarła sobie kark.

- To moje perfumy! - zawołała wesoło. - Okłamałam go!

Anna wstała, nie powiedziawszy ani słowa, wzięła torebkę i skierowała się do wyjścia. Popatrzyła z namysłem na matkę i zamknęła drzwi. Wychodząc na ulicę, szepnęła smutno:

- Mnie też okłamałaś.

*

Jonathan wszedł do pokoju. Peter zostawił ich samych.

Usiadł na łóżku i dotknął wargami czoła Clary.

- Widzisz, całuję cię i jesteśmy razem - wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

Powieki Clary nieco się uniosły. Uśmiechnęła się leciutko i zdołała wymówić kilka słów.

- Można powiedzieć, że już nie mam zbyt wiele sił. Ty wiesz. - Ścisnęła dłoń Jonathana i słabym głosem mówiła dalej: - Nawet nie zdążyliśmy przejść się po nabrzeżach twojego starego portu.

- Zabiorę cię tam. Przyrzekam.

- Teraz muszę opowiedzieć ci, kochany, o końcu naszej historii. Poznałam go we śnie tej nocy.

- Claro! Proszę, musisz oszczędzać siły.

- Czy wiesz, co zrobiliśmy, kiedy Langton uciekł z dworu? Kochaliśmy się. Do końca życia nie przestaliśmy się kochać.

Przymknęła oczy. Na jej twarzy odmalowało się cierpienie.

- Adoptując mnie, Langton uczynił mnie swoją spadkobierczynią. Dzięki ciężkiej pracy udało nam się spłacić jego długi i zachować posiadłość. Tam żyliśmy w miłości, aż do ostatniego dnia. Kiedy umarłeś, ułożyłam cię pod topolą. Ukryłam obraz na poddaszu, położyłam się obok ciebie i leżałam, dopóki życie i mnie nie opuściło. Podczas tej jedynej nocy bez ciebie złożyłam przysięgę, że będę cię kochała nawet po śmierci i odnajdę, gdziekolwiek będziesz. Widzisz, że jej dotrzymałam. Ty też.

Objął Clare i wtulił jej głowę w zagłębienie swojego ramienia.

- Gdybyś wiedział, jak cię kocham, Jonathanie. Nie liczy się żadna chwila bez ciebie. Posłuchaj. Myślę, że zostało mi już mało czasu. Te ostatnie tygodnie były najpiękniejsze w moim życiu. Nic, co przeżyłam przedtem, nie jest warte szczęścia, jakie mi dałeś. Musisz mi teraz przyrzec, że i ty będziesz szczęśliwy. Chcę, żebyś żył. Nie odrzucaj szczęścia. Na dnie twoich oczu kryje się tyle czaru. Któregoś dnia pewnie się spotkamy. Jeszcze raz.

Pod powiekami Jonathana wezbrały łzy. Clara uniosła rękę i pogładziła go po policzku.

- Przytul mnie mocniej, Jonathanie, tak mi zimno.

To były jej ostatnie słowa. Powoli zamknęła oczy, a jej twarz stawała się coraz spokojniejsza. Serce biło słabo. Jonathan czuwał przy niej przez całą noc. Przytulał ją i czule kołysał w ramionach. Wstał rano i stan Clary pogarszał się z godziny na godzinę. Jonathan długo całował jej usta. Wstał. Zanim wyszedł z pokoju, odwrócił się i wyszeptał:

- Nie pozwolę ci umrzeć.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, krew wyciekająca z ciała Clary zabarwiła czerwienią prześcieradło. Długie włosy otaczały spokojną twarz. Światło dnia przemieniło jej pokój w obraz przedstawiający *Młodą kobietę w czerwonej sukni*.

Z głębi korytarza nadszedł Peter. Wziął Jonathana pod rękę i zaprowadził do automatu z napojami. Wrzucił monetę i dotknął przycisku z napisem: espresso.

- Na pewno tego ci trzeba. Mnie też - powiedział, podając filiżankę przyjacielowi.

- Wydaje mi się, że śnię na jawie - szepnął Jonathan.

- Mam nadzieję, że mnie tam widzisz, bo ja mam takie samo wrażenie - westchnął Peter. - Zadzwoń do mojego przyjaciela z policji. Posłałem mu przez Federal Express próbkę z krwią, którą podprowadziłem pielęgniarce. Zmobilizuje najlepszych specjalistów od medycyny sądowej. Zaręczam ci, że zalezie za skórę tej kanalii.

- Co dokładnie opowiedziałeś temu kumpłowi z policji?

- Całą historię. Obiecałem, że przyślę mu nasze relacje i kopię dziennika Vladimira.

- I nie miał ochoty zamknąć cię u czubków?

- Nie martw się. Pilguez to spec od niesamowitych historii. Kilka lat temu opowiadał mi o takiej sprawie w San Francisco, że nasza wygląda przy niej zupełnie zwyczajnie.

Jonathan wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia.

- Do zobaczenia! - krzyknął Peter. - Będę przy tobie, pamiętaj! A nawet jeżeli ta twoja historia zrobi ze mnie wariata, to gdy uratujemy Clare, też będę świadkiem!

*

Wszystkie ławki w kościele Świętego Stefana były zajęte. Śmietanka towarzyska Bostonu wyznaczyła sobie spotkanie po obu stronach głównego przejścia. Wjazd w Clark Street blokowały dwa radiowozy. Peter z ponurą miną zajął miejsce po prawej stronie Jonathana. Zagrały organy i wszyscy zebrani się odwrócili. Za Anną, prowadzoną pod rękę przez matkę, która była jej świadkiem, ciągnął się tren sukni. Ceremonia zaczęła się o jedenastej. Siadając po lewej stronie swojej córki, Alice posłała uśmiech Peterowi. Triumfowała.

*

Do pokoju Clary wszedł profesor Moore. Położył rękę na jej czole. Gorączka wciąż wzrastała. Usiadł na brzegu łóżka i smutno westchnął. Wziął ze stolika papierową chusteczkę i otarł strumyczek krwi wypływający z nosa Clary. Wstał i wyregulował aparat do płukania krwi. Przygarbiony, wyszedł z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Clara otworzyła oczy, wydała cichy jęk i znów zasnęła.

*

Nabożeństwo trwało już od pół godziny i ksiądz szykował się właśnie do odebrania przysięgi od nowożeńców. Pochylił się ku Annie i uśmiechnął się do niej życzliwie, ale Anna nie spojrzała na niego. Oczami pełnymi łez patrzyła na matkę.

- Wybacz mi - szepnęła.

Spojrzała na Jonathana i wzięła go za rękę.

- Dla niej nie możesz już nic zrobić, ale możesz dla was obojga!

- Co ty mówisz?

- Dobrze wiesz. Idź stąd, póki nie jest za późno. Nie możesz jej uratować, ale możesz ją odzyskać. Uciekaj.

W kościele odbiło się echo ryku wściekłości, który wydała z siebie Alice Walton, gdy

Jonathan i Peter rzucili się do wyjścia. Ksiądz zastygł z rękami w górze, wszyscy podnieśli się w ławkach. Ze schodów Peter krzyknął do policjanta opartego o radiowóz:

- Pracuję dla komisarza policji kryminalnej w San Francisco, Georges'a Pilguez. Będziecie to mogli sprawdzić po drodze. To sprawa życia lub śmierci. Zawieźcie nas natychmiast do szpitala Boston Memorial!

Przyjaciele nie zamienili w wozie ani słowa. Syrena torowała im drogę. Jonathan oparł czoło o szybę. Oczami pełnymi łez patrzył na przesuwające się w oddali dźwigi starego portu. Peter objął go i przytulił.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami pokoju Clary, Jonathan odwrócił się do swojego najlepszego przyjaciela i popatrzył na niego z powagą.

- Peter, obiecaj mi coś!

- Wszystko, co chcesz!

- Choćby zajęło ci to nie wiem ile czasu, musisz oddać sprawiedliwość Vladimirowi. Przrzeknij mi, że doprowadzisz sprawę do końca. Clara by tego chciała.

- Przrzekam. Zrobimy to razem. Nigdy cię nie zostawię.

- Będziesz musiał to zrobić sam, stary. Ja już nie będę mógł.

- Chcesz wyjechać z Bostonu?

- W pewnym sensie, tak.

- Dokąd się wybierasz?

Jonathan objął przyjaciela.

- Ja też coś przrzekłem. Obiecałem zabrać Clare na przechadzkę po nabrzeżach...

Następnym razem.

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Peter usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza.

- Jonathanie! Co ty robisz? - zapytał z niepokojem.

Zaczął walić w drzwi, lecz przyjaciel nie odpowiadał.

Jonathan usiadł na łóżku koło Clary. Zdjął marynarkę i podwinął rękaw koszuli. Wyciągnął przewód z aparatu do płukania krwi i wbił igłę w żyłę na swojej ręce. Połączył w ten sposób ich ciała. Kiedy położył się na łóżku obok Clary, jej krew już w nim płynęła. Poglądził jej bładzie policzek i przysunął usta do ucha.

- Kocham cię, i nie wiem, jak mógłbym przestać cię kochać. Kocham cię, nie wiedząc jak i dlaczego. Kocham cię tak, bo inaczej nie umiem. Gdzie nie ma ciebie, nie ma i mnie.

Jonathan zbliżył usta do ust Clary, i po raz ostatni w życiu wszystko wokół niego zawirowało.

*

Zaczynała się jesień. Peter szedł samotnie przez targowisko. Zadzwoiła jego komórka.

- To ja - odezwał się głos w telefonie. - Przyskrzyniliśmy ją. Obiecałem ci najlepszych ekspertów w kraju i dotrzymałem słowa. Zidentyfikowaliśmy truciznę. Mam zeznanie barmana, który rozpoznał panią Walton. Ale najlepsze zachowałem na koniec. Jej córka jest gotowa zeznawać. Stara już nigdy nie wyjdzie z więzienia. Może wpadłbyś kiedyś do San Francisco? Natalia bardzo by się ucieszyła - dodał Pilguez.

- Przysięgam, przed Gwiazdką.

- Co zamierzasz zrobić z tymi obrazami?

- Ja też muszę dotrzymać przyrzeczenia.

- Powinienem powiedzieć ci coś jeszcze, i przysięgam, że zachowam to dla siebie. Tak jak mnie prosiłeś, zrobiłem porównanie testu DNA z twojej dokumentacji z testem tej młodej kobiety, która została zamordowana.

Peter stanął i wstrzymał oddech.

- Laboratorium nie ma żadnych wątpliwości. Obie próbki wykazują bezpośrednie pokrewieństwo. Inaczej mówiąc, krew na obrazie to krew jej ojca. A więc, jak widzisz, jeżeli weźmie się pod uwagę daty, które mi podałeś, to... to się nie klei!

Peter wyłączył komórkę. Oczy mu zwilgotniały. Popatrzył w niebo i zaszlochał z radości.

- Brakuje mi ciebie, stary. Brak mi was obojga.

Włożył ręce do kieszeni i uśmiechając się, poszedł wzdłuż nabrzeża.

Kiedy wrócił do domu, spotkał Jenkinsa, który czekał pod wiatą. Obok niego stały dwie walizki.

- Jak leci, Jenkins? - zapytał Peter.

- Nigdy nie będę wiedział, jak mam podziękować za wyjazd, który mi pan podarował. Całe życie marzyłem, że pojedę do Londynu. To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

- Na pewno ma pan adres i telefon, które panu podałem?

Jenkins skinął potakująco głową.

- No to szczęśliwej podróży, mój drogi.

I Peter, uśmiechając się, wszedł do Stapledonu, a Jenkins, zanim wsiadł do taksówki, która miała zawieźć go na lotnisko, pomachał mu na pożegnanie.

Petersburg, wiele lat później...

Dzień miał się ku końcowi. W Ermitażu zamykano już drzwi. Zwiedzający salę poświęconą obrazom Vladimira Radskina kierowali się do wyjścia. Jeden ze strażników dał dyskretny znak koledze. Razem zbliżyli się do dwojga młodych ludzi podchodzących do drzwi. Kiedy upewnili się, że nikt nie patrzy, poprosili ich, żeby bez sprzeciwów poszli z nimi. Turyści nie wiedzieli, o co chodzi, ale wobec zdecydowanej postawy funkcjonariuszy ochrony, zgodzili się. Przeszli przez długi korytarz do ukrytych drzwi i znaleźli się na schodach. Odczuwając pewien niepokój - bądź co bądź zagłębiali się w podziemia gmachu - zostali zaprowadzeni do dużego gabinetu. Poproszono, żeby zajęli miejsca przy stole konferencyjnym i powiedziano, że zaraz ktoś do nich przyjdzie. Po chwili wszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki, w eleganckim garniturze, i usiadł naprzeciwko nich. Położył przed sobą teczkę z dokumentami, które zaczął przerzucać, przez cały czas spoglądając na młodych ludzi.

- Muszę powiedzieć, że to zdumiewające - powiedział po angielsku z lekkim obcym akcentem.

- Chciałbym wiedzieć, czego pan od nas chce? - zapytał młody człowiek.

- Już trzeci raz w ciągu tygodnia przychodzicie państwo oglądać obrazy Vladimira Radskina. Prawda?

- Uwielbiamy tego malarza - odpowiedziała młoda kobieta.

Jurij Jegorow przedstawił się im. Jest dyrektorem Ermitażu i ma wielką przyjemność gościć ich w swoim muzeum.

- Obraz, na który tak długo patrzyliście tego popołudnia, zatytułowany: *Młoda kobieta w czerwonej sukni*, został przywrócony do obecnego stanu dzięki niezwykle żmudnej pracy konserwatorskiej, podjętej za sprawą pewnego amerykańskiego aukcjонера. To on ofiarował pięć obrazów Radskina, które są tu eksponowane. Zbiór ma nieoszacowaną wartość, i my

sami nie moglibyśmy pewnie nigdy pozyskać go w całości. Jednak dzięki temu szlachetnemu donatorowi wielki rosyjski malarz, po tak wielu latach, powrócił do ojczyzny. W zamian za podarunek, który ofiarował naszemu narodowi, ów Amerykanin zobowiązał muzeum Ermitażu do czegoś nieco dziwnego. Mój poprzednik, odchodząc kilka lat temu na emeryturę, przekazał mi obowiązek spełnienia tego żądania.

- Jakiego? - zapytali oboje.

Dyrektor, zanim odpowiedział, zasłonił usta dłonią i odkaszlnął.

- Pan Peter Gwel zobowiązał nas do tego, że jeżeli pewnego dnia przed obrazem przedstawiającym *Młodą kobietę w czerwonej sukni* pojawi się osoba, której twarz będzie w niepokojący sposób do niej podobna, będziemy mieli obowiązek przekazania towarzyszącemu jej mężczyźnie listu napisanego jego ręką. Długo panią obserwowaliśmy i doszedłem do wniosku, że przyszedł czas, abyśmy wypełnili nasze zobowiązanie.

Dyrektor otworzył teczkę i podał im list. Młody człowiek rozerwał kopertę. Czytając, wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Kiedy skończył czytać, złożył kartkę i w milczeniu schował ją do kieszeni marynarki.

Potem założył ręce do tyłu, zmrużył oczy i się uśmiechnął... I od tego dnia nigdy nie przestał się uśmiechać...

PODZIĘKOWANIA

Nathalie André, Stéphanie Bataille, Kamei Berkane, Antoine Caro, François Curiel, Marie Drucker, Julie Dupage, Guillaume Gallienne, Sylvie Gendron, Philippe Guez, Etienne Hellman, Katrin, Asha, Mark & Kerry, Marie Le Fort, Sophie Lefevre, Raymond i Daniele Levy, Jean-Pierre Mohen, Pauline Normand, Marie-Eve Provost, Robert i Laure Zaigue.

French Bookshop w Londynie.

Wszyscy pracownicy Wydawnictwa Robert Laffont.

Centre de recherche et de Restauration des Musées de France,

Christie's

Susanna Lea i Antoine Audouard.